

**IVAN BROŽ**

# **CYROGRAF**

TYTUŁ ORYGINAŁU: INŽINIER, KTORY SA NEVRÁTIL  
PRZEKŁAD: STANISŁAW MAJEWSKI



WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ WARSZAWA 1987

## WSTĘP DO WYDANIA POLSKIEGO

*W USA dwukrotnie nastąpiła pomyłka komputerów systemu wczesnego ostrzegania, zainstalowanych w bazie wojennej Colorado Springs, co spowodowało ogłaszanie alarmów o ataku rakiet radzieckich na Stany Zjednoczone. Mogło to wywołać katastrofę na naszej planecie, ale na szczęście pomyłkę zdołano w porę spostrzec. A więc relacja o istnieniu bazy wojskowej w Colorado Springs, ściślej w granitowej górze Cheyenne (2915 m n.p.m.), jest zgodna z rzeczywistością. Mieści się tam sztab dowodzenia „wojnami gwiazdowymi” (Space Command), na czele którego stoi gen. James Hartinger, były dowódca amerykańskiego północnego obszaru obrony.*

*W tym samym rejonie rozmieszczono Centrum Operacyjne połączonych sztabów, którego zadaniem ma być koordynacja w kosmosie militarnych operacji USA i NATO. Nie od rzeczy będzie powiedzieć, że Pentagon od czterech lat prowadzi rozbudowę tego Centrum, włączając w nie udział licznych gigantów przemysłu zbrojeniowego, takich jak Boeing, General Electric Company, Lockheed, Martin Marietta, Rockwell International, a także dziesiątki pomniejszych. Głównie uczestniczą w tym przedsięwzięciu firmy reprezentujące branże mikro- i optoelektronikę, technikę laserową i komputerową. Rodzi się też międzynarodowe centrum naukowe — „Technopolis” — skupiające naukowców i ekspertów z wielu krajów, zajmujących się technologią oraz badaniem i rozwojem licznych gałęzi nauk związanych z kosmosem. W stosunkowo krótkim czasie w Colorado Springs powstało blisko dwieście supernowoczesnych zakładów przemysłowych, nastawionych na produkcję wszystkiego, co służyć ma zbrojeniom kosmicznym. W sumie pracuje tam już ponad ćwierć miliona naukowców, inżynierów, techników i robotników. Przemysł zbrojeniowy i sztab dowodzenia „wojnami gwiazdowymi” są na miejscu. Stąd też mają być prowadzone ataki kosmiczne, od sterowania niszczycielami rakiet po laserowe „działa”. To tyle, jeśli chodzi o autentyczność miejsca. Dotyczy to jednak również strategii i doktryny, sposobu postępowania ludzi związanych z Colorado Springs. Autentyczne są np. opisy doświadczeń przeprowadzanych na żołnierzach amerykańskiej piechoty morskiej, podczas prób na pustyni Nevada. Można zresztą przeczytać o tym w książce dokumentalnej „Countdown to zero”, jaka ukazała się w USA, w niewielkim zresztą nakładzie, autorstwa kpt. Thomasa Savverai i st. sierż. Orville Kelly'ego (ten zmarł już na raka krwi) — obu uczestników eksperymentu, pozostawionych później własnemu losowi. Próbowali oni tą książką poruszyć opinię publiczną, a także wywalczyć dla siebie i swych kolegów państwową opiekę lekarską oraz odszkodowanie za poniesiony uszczerbek na zdrowiu (w licznych przypadkach zakończył się on śmiercią). Niestety, niczego nie zdołali osiągnąć, bowiem oficjalna zgoda czynników państwowych na objęcie tych ludzi opieką i wypłata im odszkodowania byłyby równoznaczne z przyznaniem się Pentagonu do popełnienia zbrodni. Jest to temat sam w sobie. W mojej opowieści zasygnalizowałem go tylko.*

— Halo! Numer 5286?  
— Kto mówi, proszę — odezwał się mężczyzna za biurkiem.  
— Czy to inżynier Edward Stephens? — spytał ktoś po drugiej stronie.  
— Z kim mam przyjemność?  
— Jeszcze raz pytam, czy to Stephens, szef Centrum Komputerowego NORAD?  
— I ja raz jeszcze pytam, z kim mam przyjemność?  
— Chcę mówić z konstruktorem komputera Gier Wojennych. Aparatu, który w NORAD-zie nazywają „Jimmim” — nalegał nieznajomy.  
— O czym pan mówi? O co chodzi?  
— Wie pan bardzo dobrze — przerwał Stephensowi szorstki głos. — NORAD, czyli North American Aerospace Defense Command. A zatem dowództwo frajerów, którzy trzymają palce na cynglu broni strategicznej Ameryki Północnej..  
— Kim pan jest? Czego pan sobie życzy? — przerwał nieznajomemu zniecierpliwiony Stephens.  
— To ja zadaję pytania! Wkrótce odczuje pan to na własnej skórze. A więc do rzeczy! Czy rozmawiam z facetem, który zna się na bebechach tego „Jimmiego”?  
— Dość tego! Nie mam czasu na idiotyczne rozmowy! — krzyknął Stephens i rzucił słuchawkę na widełki żółtego aparatu.  
Barwa skrzynki zdradzała, że jest to linia łączności służąca wyłącznie do rozmów służbowych. Z czerwonego aparatu można połączyć się z salą operacyjną. Przez zielony — z sekretarką, oraz na zewnątrz — z całym okręgiem federacyjnym. Biały łączył tylko w jednym kierunku: z zastępcą ministra obrony do spraw techniki w Waszyngtonie.  
Dziwne, bardzo dziwne! — rozmyślał inżynier. Ktoś nieznajomy bezczelnie włącza się do wewnętrznej sieci telefonicznej. Zna utajniony numer. Zna jego nazwisko. Funkcję. „Jimmiego”. Nie ulega kwestii, że wie za dużo, gdyż mówi o rzeczach znanych ściślemu i nielicznemu gronu sprawdzonych ludzi. Jeśli tę rozmowę nagrano, mogą wyniknąć nieprzyjemności. Trudno byłoby wyjaśnić goryłom z S-2, odpowiedzialnym za ochronę dowództwa NORAD, że nigdzie nie wypowiedział słowa więcej niż było to konieczne.  
Dla uspokojenia samego siebie rozważał, czy by nie połączyć się z centralą telefoniczną. Po chwili zmienił jednak zdanie: lepiej będzie bezpośrednio zawiadomić kierownika S-2. Powinien zrozumieć. Na pewno uwzględni też fakt, że Stephens sam, bezzwłocznie, zamedlował im o dziwnym telefonie. Mógł to być po prostu czyjś głupi żart. W trakcie rozmyślań, kiedy już miał wetknąć palce w tarczę, znowu rozległ się brzęczyk. Szybko podniósł słuchawkę.  
— Halo! Waszyngton?  
— Żaden Waszyngton! To znowu ja. Nie mam wiele czasu na konwersacje. Tu chodzi o życie pańskiej córki, Stephens. Rozmawiam ze Stephensem, chyba nie mylę się?  
— Tak, tak... tak — inżynier oniemiał. Nie mógł uwierzyć własnym uszom.  
— No, to już lepiej, rozsądniej. Zaczynamy się rozumieć — jadowicie szeptał nieznajomy. — Niech pan możliwie szybko opuści ten „bunkier”. Z automatu na przystanku autobusowym proszę połączyć się z Cedar City. Numer wywoławczy CDO-22, później numer właściwy: 843219.  
— Cedar City?..  
— Tak. Nie przesłyszał się pan. Chodzi o Cedar City w stanie Utah. Usłyszysz pan, co się stało z pańskim dziewczętakiem. To wszystko!  
— Ależ... — Inżynier usiłował coś powiedzieć, ale tamten przerwał:  
— Niech pan nie traci czasu, Stephens! Naszych ludzi w Utah przyciskają okoliczności. Stają się coraz bardziej nerwowi... Chyba pan dobrze rozumie...

— Nie bardzo! — odpowiedział z rozpaczą.

— Wkrótce pan wszystko zrozumie. A więc powtarzam: numer wywoławczy CDO-22. Później numer 843219. Ma pan papier pod ręką?

— Oczywiście...

— To dobrze. I ostrzegam: żadnych głupstw, Stephens. Numer radzę zapamiętać. Nigdy więcej nie wolno panu się nim posłużyć!

— Myślę, że bym jeszcze... — wykrztusił inżynier, ale telefon umilkł.

Stephens pospiesznie narzucił płaszcz. Przemknął obok zdumionej sekretarki i popędził do głównego wyjścia. Nikt, patrzący na jego sylwetkę, na to, jak żwawo się poruszał, nie dałby mu pięćdziesięciu lat. Ani tytułu doktora nauk. Nie mówiąc już o funkcji szefa, odpowiedzialnego za wojskowe komputery.

Usiłował przebiec przez opancerzone drzwi, ale strażnik, w hełmie i z automatem w dłoni, zdołał go zatrzymać. Inżynier nie miał identyfikatora w klapie. W roztargnieniu pozostawił go w kieszeni płaszcza. Bez tego kawałka papieru w igelitowej oprawce nie mógł uczynić kroku. Kiedy wreszcie przymocowywał identyfikator do klapy płaszcza, w duchu dziękował strażnikowi za to, że zmusił go do powrotu, gdyż teraz dopiero spostrzegł, iż na krawędzi biurka leży gazeta z zapisanym numerem telefonu w Cedar City. Diabli wiedzą, skąd musiałby wracać, ile zajęłoby to czasu. A tamci ponoć są bardzo nerwowi. Co, na Boga, stało się z Barbarą...

Stephens opuszcza wreszcie budynek, który „siedzi” wprawdzie na skalnym masywie, ale na gigantycznych hydraulicznych amortyzatorach. Obszar jaskini, w której mieści się ten budynek wraz z innymi, wynosi około trzech hektarów. Dobrze się spoci, zanim przebiegnie taki szmat drogi. Kolejne żelazobetonowe drzwi. Metr grubości i dwadzieścia pięć ton wagi. Starczy jednak trzydzieści sekund, aby stanęły otworem. Później jeszcze pięćsetmetrowy tunel, który wyprowadzi go z tej skalistej góry. W dolinie rozpościera się Colorado Springs.

Idylla u podnóża Gór Skalistych, otoczonych wiecznie białymi czapami szczytów. Raj dla turystów. Łyżwiarzy, narciarzy, hokeistów. Miejsce, gdzie spotykają się mistrzowie świata. Urządzają zawody. Saint Moritz Ameryki. Spokój i pokój.

Około stu trzydziestu tysięcy mieszkańców tego zielonego miasta korzysta z wygód, na jakie nie mogą sobie pozwolić ludzie tam, gdzie najpierw stawiają domy, ulice i aleje, aby później zapaskudzić to wszystko dymiącymi fabrykami chemicznymi, rafineriami, elektrowniami i hałaśliwą motoryzacją. Tutaj jeszcze można wdychać czyste powietrze. W mgiełce wije się Fountain Creek. Rzeka. Raczej większy strumyk, jak ktoś zauważył. Wiernie towarzyszy autostradzie numer 25, łączącej Pueblo z Colorado Denver. Później biegnie daleko na północ. Aż gdzieś do Wyoming. Rzeka i szosa tworzą naturalną granicę między wschodem a zachodem tej krainy. Między prerią a górami.

Tutejsza ziemia kryje wielkie bogactwa. Molibden. Cynk. Ołów. Węgiel. Piryt. Złoto. Uran.

A także NORAD.

Inżynier Edward Stephens akurat wydostał się zeń, jak kret z nory, pokrytej wielkim kocem. Znowu przyspieszył kroku. Zapewne wyglądało to dziwnie, gdyż wokół przystanku była pustka. O tej porze nie kursowały autobusy. Zatrzymał się przy automacie telefonicznym. Uważnie zamknął za sobą drzwi, żeby przypadkiem nikt nie podsłuchiwał rozmowy.

W poczekalni autobusowej, na składanych krzeselkach, siedziało dwoje starszych ludzi i jakiś wojskowy, pochylony nad rozpostartą gazetą; ale trudno było odgadnąć: czyta czy śpi? Stephens szybko ocenił odległość. Najwyżej dziesięć kroków. Uznał, że może swobodnie rozmawiać. Chwycił słuchawkę. Wykręcił numer kierunkowy i docelowy.

Kiedy rozległ się głos operatorki z taśmy magnetofonowej oznajmiający, że musi wrzucić dwa razy po dwadzieścia pięć centów za pierwsze dwie minuty, roztrzęsionymi palcami wcisnęła monety do otworu.

— Halo!... Halo! — przełknął ślinę, kiedy usłyszał niezrozumiałe mamrotanie.

— Halo! Czy to Cedar City?

— Tak. Cedar City. A pan na pewno jest tym przystojniakiem Edwardem Stephensem?

— rozległo się w słuchawce.

— Co jest z Barbarą!? — wykrzyknął Stephens.

— Bez nerwów, Stephens. Wy, intelektualści, gotowi jesteście zaraz narobić w gacie. Koteczek, pardon, panna Stephens, czuje się wyśmienicie — odpowiedział nieznajomy.

— Czy mogę wreszcie dowiedzieć się, o co chodzi. Co się dzieje? — spytał szybko inżynier.

— Mamy dla pana godziwą propozycję! Nie do odrzucenia!

— Jaką propozycję?

— Powiadam: nie do odrzucenia — zarechotało w słuchawce.

— Może wreszcie dowiem się, o co chodzi? — nalegał Stephens.

— Chodzi o robotę. W pańskim fachu, ma się rozumieć.

— Ja mam roboty powyżej dziurek w nosie. Żadnej innej już nie chcę. Powiedzcie, na Boga, co się właściwie dzieje? Co z moją córką?

— Wszystko gra — sucho odpowiedział nieznajomy.

— To czemu przeganiacie mnie, jak jakiegoś smarkacza, od telefonu do telefonu?

— Żeby mieć pewność, iż z tego waszego podziemnego bungalowu nikt nie będzie podsłuchiwać — odburknął nieznajomy. — Chcemy, żeby pan popracował jeden miesiąc dla naszej firmy.

— To nonsens! Gdzie jest Barbara?

— Córeczka jest w sąsiednim pomieszczeniu. Z utęsknieniem czeka na rozmowę z panem...

— Jak, na Boga, znalazła się aż w Utah? — przerwał inżynier.

— Te sprawy niech pan zostawi nam. Udzielę panu jednej rady: jeżeli chce pan widzieć ją całą i żywą — obcy głos przycichł na chwilę, jak gdyby jego właściciel poszukiwał właściwego słowa, i zaraz dodał. — Niech pan szybko przyjmie naszą propozycję.

— Ty kanalio! — zasyczał Stephens i otarł pot z czoła.

— Stephens, w ten sposób niczego pan nie osiągnie. Do tej chwili pańskiej córce nic się nie stało. Włos nie spadł jej z głowy. Ale, jak pan sam wie, między dwoma tuzinami wypożyczonych mężczyzn, a tylu nas tutaj jest, jednej jedynej kobiecie, zwłaszcza tak apetycznej, może przydarzyć się wiele... Niech pan to rozważy, Stephens.

— Wy świnię! Świnię! — inżynier stracił panowanie nad sobą i zaczął pięścią łomotać w oszkloną ścianę kabiny telefonicznej. Staruszkowie z poczekalni patrzyli ze zdumieniem w jego stronę. Wojskowy ocknął się.

— Nie żądamy od pana wiele, Stephens. Potrzebna jest nam ekspertyza tych waszych cyferek i literek. Jak tylko przekroczy pan próg naszego domu, natychmiast pokażemy panu córeczkę, niewinną i czystą jak zakonna nowicjuszka. Ha, ha, ha, ha!...

— Kanalie!

— ... Wykona pan zadanie numer jeden, a my natychmiast odwieziemy córeczkę do Kalifornii. Po wykonaniu drugiego zadania córeczka znajdzie się bliżej miejsca stałego zamieszkania, w Oregonie. No i wreszcie, kiedy wykona pan trzecie zadanie, paniątka będzie mogła zatelefonować do tatusia z tej zafajdanej oregońskiej farmy swego dziadka, skąd właśnie przedwczoraj wypożyczyliśmy ją sobie. To wszystko, Stephens.

— Kanalie! Kanalie!

— Damy panu trochę czasu na zastanowienie. Niech pan teraz wraca do biura. Tylko bez kawałów, jeśli nie chce pan popsuć interesu. Tam odbierze pan we właściwym czasie telefon. Żeby pana przekonać, iż nie jesteśmy amatorami, tym razem odezwie się ten najbardziej „gorący”. Czerwony! Jeszcze raz ostrzegam: niech panu nie przyjdzie do głowy myśl o

wykiwaniu nas. Odezwie się bowiem pańska córeczka. Będzie mówić krótko. Usłyszysz pan tylko: „Cześć, ojczulku! U mnie wszystko w porządku! Przyjeżdż!” Po tych słowach odłoży pan słuchawkę. Wieczorem zatelefonujemy do pańskiego mieszkania...

— Co za wyrafinowany scenariusz... — wtrącił inżynier.

— Tylko niech pan nie próbuje nas przechytrzyć, Stephens. Bo za kilka dni doręczymy panu kasetę z interesującym wideozapisem. Bardzo plastycznie i barwnie sfilmowane sceny zabawy naszych chłopaków z pańską jedynaczką. A jako scenę finałową, zobaczy pan jej egzekucję. Nie boimy się mokrej roboty.

— Łotry! Nikczemnicy! — wykrztusił inżynier i przełknął łzy.

— Stephens, niech pan natychmiast wraca do biura. I proszę pamiętać: czerwony telefon.

Nieznajomy odłożył słuchawkę. Edward Stephens opuścił kabinę telefoniczną. Wojskowy znowu drzemał. Starsze małżeństwo zajmowało się sobą.

Stephens z trudem powłóczył nogami. Ciężyły jak ołowiane. Powrotna droga do biura była dlań marszem na Golgotę. Przed gabinetem oczekiwał któryś z urzędników, w długim białym płaszczu.

— Ed, przyszedłem w tej sprawie... Zaakceptowałeś już?

— O co chodzi? — tępo odezwał się Stephens.

— Mówiłeś przecież, że mam się dzisiaj zgłosić — z irytacją w głosie odpowiedział mężczyzna w białym kitlu. Oczyma poszukiwał poparcia u sekretarki. Ta uniosła się z krzesła stojącego za biurkiem i zajęła się kartkowaniem grubego notatnika.

— Tak, panie Stephens. Pan Meyerson miał się dzisiaj zgłosić po wiadomość o projekcie CVB-58. Przedłożyłam panu do podpisu w popołudniowej poczcie.

— Dajcie mi teraz święty spokój! — wykrzyknął nieoczekiwanie Stephens i zatrzasnął za sobą drzwi. Chwilę stał jak porażony. Potem rzucił się ku biurku, zastawionemu aparatami telefonicznymi. Szeroko rozwartymi oczyma spoglądał na aparat, który na pierwszy rzut oka jedynie tym odróżniał się od pozostałych, że był w kolorze czerwonym. Dla Stephensa miał w tej chwili cenę życia. Jego córki i jego własnego.

Nie musiał długo czekać. Dzwonienie wtargnęło w atmosferę biura.

Szybkim ruchem przyciągnął telefon, by mieć go bliżej, pod ręką. Chwilę stał nieporuszenie. W słuchawce coś zacharczało. Uniósł ją do warg, odezwał się:

— Stephens.

Zdawało mu się, że czeka na odzew całą wieczność. Jak gdyby nikogo nie było po drugiej stronie. A może telefonowano z sali operacyjnej? Czy to przypadkiem nie generał?

— Cześć, ojczulku! U mnie wszystko w porządku! Przyjeżdż!

W chwilę później Edward Stephens wyszedł z gabinetu. Chciał być jak najdalej od tego przeklętego telefonu. Oddychał z trudem. Serce mu łomotało, czuł, jak pulsuje mu w skroniach. Zroszone potem czoło oparł o szklaną ścianę, dzielącą go teraz od bojowego centrum operacyjnego. Nieprzytomnym wzrokiem wpatrywał się w jego wnętrze. We wnętrze tego Kryształowego Pałacu, jak wszyscy tutaj nazywali to pomieszczenie. Wszędzie ekrany monitorów. Większe i mniejsze. Skaczące literki i cyferki. Nad nimi cały szereg jeszcze większych ekranów. Ściany pełne niebieskich punkcików na elektronicznych mapach. Światelka i krzem. Krzem i lśniący metal. Lśniący metal i elektronika. Centralny układ nerwowy sił strategicznych Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Punkt, z którego kontrolować można raketowe pojedynki bez względu na to, gdzie się toczą. Dosłownie i w przenośni punkt Archimeda, z którego można poruszyć bryłę świata. Odchylić jej oś. Bombowce dalekiego zasięgu sprzężone są z komputerami. Komputery z międzykontynentalnymi raketami balistycznymi. Międzykontynentalne rakety balistyczne z okrętami podwodnymi o napędzie atomowym. A wszystkie te rzeczy mają w swoich wnętrznościach głowice bojowe ze śmiertcionośnym ładunkiem, wystarczającym do wielokrotnego zniszczenia ludzkości. Do tego, by przemienić

planetę w kamienną pustynię na podobieństwo Księżyca.

Pod czaszką Stephensa wirują myśli. Całe roje. Nie sposób tego uporządkować. Ktoś porwya mu dziecko. Żywe. Zdrowe. Piękne. To drugie — poświęcone bogowi Marsowi — pozostawia. Martwe. Zimne.

Elektronicznie precyzyjne. W splocie migotliwych informacji jakby widział siebie samego. Roztargnionego. Niezdolnego do działania. Co się z nim dzieje? Na ekranie monitora pamięci dostrzega młodego mężczyznę. Kim jest ten jasnowłosy człowiek, pochylający się nad dziecięcym łóżeczkiem? Biegający później po trawniku z dziewczątkiem na karku? Czy to nie on sam? Ależ tak, tak właśnie wtedy wyglądał! W początkach lat sześćdziesiątych. Z entuzjazmem oddawał się pracy. Nie sypiał. Nie dojadał. Budowali Centrum Dowodzenia. Ściągnięto go z budowy na peryferiach Colorado Springs. Wspaniałe miejsce, ale zbyt otwarte. Dlatego zdecydowali się znaleźć inne. Ukryte głęboko pod ziemią. Albo pod jakąś skałą. Takie miejsce, na które nie podziała fala podmuchu i nie przenikną promienie śmierci wywołane wybuchem jądrowym. Wybrali Cheyenne Mountain. Górę, która wzięła nazwę od dumnego indiańskiego szczepu Czejenów.

Ileż razy wtedy przysięgał sobie, że kiedy przyjdzie do domu, na przykład akurat dziś, opowiadać będzie Barbarze o dziejach Czejenów. O ich wielkim wodzu — „Wilczej Skórze”. O tym, jak odważnie stawili czoło największemu indianobójcy, majorowi Chivingtonowi. O czejeńskich dziewczętach, które miały cerę jak jedwab, ręce zaś zręczniejsze od męskich. O tym, jak potrafili stawiać tipi, namiot ze skór bizonów. O tym, jak miłowali matkę ziemię, silny grom, a zwłaszcza słońce, na cześć którego każdego lata gromadził się cały szczep, by odbyć Taniec Słońca. I o opowiastkach indiańskich dzieci.

Żadnego z tych postanowień nie zdołał zrealizować. Budowa NORAD-u pochłonęła go bez reszty. Od drażenia wielokilometrowych tuneli przebijanych na wysokości dwóch i pół tysiący metrów powyżej morza, którymi przewiercili indiańską górę, aż po betonowanie gigantycznej jaskini. Piętnaście obiektów ze stali, które tu postawili, musieli szybko wyposażyć w najnowsze osiągnięcia elektroniki. Komputery, systemy wartościujące, węzły komunikacyjne, aerokosmiczne panele, terminale wszystkich rodzajów, czujniki, badające dale wszechświata, przez które nie śmie przemknąć najmniejsza „kosmiczna mysz”, banki informacji, w których rzetelnie, ustawicznie i systematycznie zbiera się nawet te najbardziej naiwne dane ze wszystkich wątpliwych i całkiem pewnych, rozproszonych po całej kuli ziemskiej baz Stanów Zjednoczonych.

Stephensowi nie pozwolono odpocząć. Potrzebowali go dla dalszego kompleksu, który znalazł lokum również we wnętrzościach indiańskiej góry. NORAD's Missile Warning and Space Operations Center — Centrum Ostrzegania przed Rakietowym i Kosmicznym Atakiem. Następnie Office of the Civil Defense National Warning Center — czyli Centrum Ostrzegawcze Obrony Cywilnej. A wreszcie tutaj również znalazł swoją siedzibę NORAD's Weather Support Unit — pomocniczy organ NORAD-u w dziedzinie meteorologii. Nie bronił się. Pracował. Wytężał wszystkie siły. Harował.

Elektronika, elektronika, elektronika.

Do domu wracał wyczerpany do ostatka i fizycznie, i psychicznie. Jeżeli w ogóle mógł wrócić do domu. Śpiącą Barbarę jedynie głaskał. Najpierw dłonią, później tylko wzrokiem. A wreszcie zadowalał się tym, że z ciemności w kącie pokoju dziecięcego słyszeć mógł równy jej oddech.

Potem narodził się „Jimmi”. Prawie dwa tysiące ludzi z lotnictwa amerykańskiego, marynarki wojennej i sił lądowych w napięciu oczekiwało jego narodzin. Miał to być superkomputer. Supermen w swojej branży. Mózg strategicznych gier wojennych. Aparat, który po otrzymaniu odpowiedniej informacji o sytuacji podaje cały szereg wariantów rozwiązań. Powiesz mu, że we współrzędnych takich a takich zlokalizowano obcy okręt podwodny, podsuniesz zestaw własnych środków, przydasz algorytm uogólnienia politycznej i wojskowej

sytuacji, a on udzieli ci odpowiedzi. Wszystko trwa zaledwie kilka sekund. Sam później decydujesz i wybierasz odpowiedni wariant. Kiedy jednak włożysz odpowiedni kod, zestawiony z analogii poprzednich gier, a to się udało na razie tylko Stephensowi, otrzymasz odpowiedź bez alternatywy. Odpowiedź z ostatecznym rozwiązaniem.

Było to mistrzowskie osiągnięcie inżyniera Edwarda Stephensa. Dało mu pierwsze miejsce wśród niekoronowanych królów nauki o komputerach i ich technologii. Tysiące godzin i setki dni. Soboty, niedziele, święta, urlopy. Wszystko na ołtarz NORAD-u. Zdobył wiele. Nawet bardzo wiele. A jednak stracił wszystko. W takim samym tempie, w jakim zżył się z „Jimmim”, zaczął wyobcowywać się z rodziny. Ani się spostrzegł, kiedy został sam. Zupełnie sam pośród tysięcy ludzi, z którymi stykał się codziennie. Sam był w domu, kiedy rozmawiała z nim żona. Był sam, kiedy leżeli w uścisku. Nie odczuł też żadnej zmiany nawet wtedy, kiedy mieli już oddzielne sypialnie. Nie rozumiał, że jego talent tonie wcale nie w pracy, lecz w pośpiechu. Niezdolny pojąć, że człowieka, który ciągle się spieszy, trudno nazwać cywilizowanym. Żył w newtonowskim świecie einsteinowskiej fizyki, który był opanowany logiką godną Frankensteina. Logiką horroru. Nie zrozumiał niczego, kiedy pewnego ranka wyskoczył z NORAD-u, który mieścił się około sześciu kilometrów od peryferyjnej dzielnicy Colorado Springs, gdzie zajmowali mały domek, i zastał go pusty. Zjawił się, by po kilku bezsensownych nocach zmienić bieliznę, ale zamiast czystych koszul znalazł list.

„Żyj ze swoim Jimmim. Wyjeżdżam z Barbarą do moich rodziców”. Bez podpisu.

Znał ten charakter pisma. Literki były tak samo lekko pochylone, jak podpis na ślubnym dokumencie. Wiadomości zagęszczonym tekstem na minimalnej powierzchni. Jednak czegoś się ode mnie nauczyła — pomyślał, przeczytawszy kartkę. Dokładnie taka informacja, jakie serwują jego komputery. Postąpiła tak, jak postąpiłaby na jej miejscu każda inna żona. Epizod. Na pewno wróci. Zaczął kurczowo trzymać się tej myśli. Żyć ze starymi rodzicami, na nie mniej starym ranczo, gdzieś w Oregonie? Szybko jej się znudzi. Jak każda kobieta przed czterdziestym rokiem życia na pewno ma prawo do podobnej przekory, ale zabraknie jej rodzinnego ciepła. Męża. Ojca szesnastoletniej, dorastającej córki.

Po rocznej rozłące okazało się, że Stephens był w błędzie. Żaden komputer nie zdołałby odpowiedzieć tak precyzyjnie i zdecydowanie, jak samo życie. Jego była żona po prostu nie potrzebowała już ani rodzinnego ciepła, ani męża. Ani ojca dla córki, ponieważ i przedtem on nigdy dla nich nie istniał.

Stephens tracił grunt pod nogami. Tracił chęć do pracy. Z coraz baczniejszą uwagą wpatrywał się w ekran monitorów bezkrwistego „Jimmiego”. Poszukiwał odpowiedzi na to, co się stało. Stwierdzał, że nie zasługuje na prawdziwą odpowiedź. Pragnął więc jedynie miłosiernego kłamstwa. Ale tego maszyna nie mogła mu dać. Zaczynał przeczuwać, że jego prawdę, której nie śmie nigdzie i nigdy ujawnić, a na którą nie zasługuje, stanowi tęsknota do człowieka. Mieć u swego boku wreszcie jakąś istotę. Współzależność genów i krwi. Rysy twarzy. Gest. Sposób wysławiania się. Cokolwiek, co daje poczucie przynależności do kogoś naprawdę bliskiego. Nawet gdyby go miał nie słyszeć przez wiele długich godzin, dni, a może miesięcy. Byle wiedzieć, że ten ktoś jest nastrojony na taką samą frekwencję uczuciową. Dławić się pychą, że jest kimś więcej niż ojcem nawet najdoskonalszego aparatu. Mieć poczucie, że żywa istota, która dopiero rozgląda się po świecie, zależy od ciebie.

Jego prawdą była Barbara. Dotychczas nie poznana. Wyobcowana. Nie kochająca. Obojętna. Zdradliwa. Udręka niepewności dokuczała mu coraz bardziej. Opowiadałeś jej kiedyś jakąś bajkę? Ani razu. Byłeś z nią choć raz w kinie? Nigdy. Wybraliście się kiedyś razem na wędrowną po górach? Na wycieczkę? Na najzwyczajniejszy południowy piknik? Tak bardzo tego chciał. Nie zdążył. Jego prawdą był teraz opustoszały przystanek. Czyżby pociąg o imieniu Barbara odszedł na zawsze? Szyny poprowadziły go w nieznaną dal i nikt nie wystawi biletu powrotnego. Marzył, by zostać mistrzem nad mistrzami, a przy tym być ubóstwianym ojczulkiem... Rzeczywistość przywołała go do porządku.



Kim są ci ludzie?... Czego chcą?... Dlaczego właśnie w Utah? I dlaczego właśnie on? Stephens usiłował odzyskać utraconą równowagę. Próbował logicznie odpowiedzieć sobie na najprostsze pytania, rozumiał, że porwanie Barbary będzie ceną, którą należy uiścić. Słoną ceną. Porywacze wiedzą o nim zbyt wiele. Może nawet więcej niż on sam wie o sobie. Nie ulega wątpliwości, że zechcą wykorzystać Jego wiedzę. Ale czemu akurat wybrali jego, a nie innego specjalistę z NORAD-u, Jeżeli wszystko tak dobrze znają?

Czy Heller nie jest lepszy od niego w teorii informatyki? On przecież zdołał, jeszcze w czasach drugiej generacji samoczynnych maszyn liczących, zbudowanych na półprzewodnikach i ferrytowej pamięci, tak precyzyjnie przepowiedzieć narodziny aparatów o zawrotnych szybkościach, opartych na technice laserowej. Albo na przykład taki Lindsay. Mistrz miniaturyzacji. Zbudował komputer ważący zaledwie dziewięć kilogramów, z oddzielną klawiaturą, który można schować pod fotelem w samolocie. Ekran o przekątnej dwanaście centymetrów. Pamięć sto dwadzieścia osiem „K”, czyli sto dwadzieścia tysięcy bajtów.

A czemużby nie McIntyre? Złota rączka. Ten potrafi w sześćdziesiąt siedem minut, a więc o kwadrans szybciej niż ktokolwiek inny, zmontować wynalazek Lindsaya, oparty na mikroprocesorze Motorola-68000. Nic dziwnego, że takim zdolnym facetem zainteresowali się w Instytucie Badawczym towarzystwa „Xerox” w Palo Alto, obiecując mu góry złota.

Porywacze mogli przecież wybrać ludzi, którzy by im w nieprawdopodobnie krótkim czasie mogli zbudować komputer, za pomocą którego, jak myślał Stephens, mogliby elektronicznie wejść na konta bankowe, żeby z nich dokonywać przelewów na konto własne. Wszak takie wypadki były już znane. I nie tylko w Ameryce. Mogli również szantażować i wykorzystywać sowicie opłacanych pułkowników i generałów w NORAD-zie. Skoro już dobrali się do sieci telefonicznej i znają pozycję Stephensa, muszą również wiedzieć, że trzygwiazdkowy generał Frank Barber, szef NORAD-u, ma o wiele grubszy portfel niż on. Dlaczego wybrali akurat jego? Jak mogli ich obu porównywać? Generał mógłby im złożyć nieporównywalnie większy okup.

Znalazłszy się w domu zaparzył mocną kawę. Do ósmej brakowało jeszcze trzech godzin. Był niezdolny do zajęcia się czymkolwiek. Nerwowo chodził po wielkim pomieszczeniu, w którym znajdował się inkrustowany stolik pod telefon. Tam i z powrotem. Miotał się, jak ptak schwyty w klatce.

Co robić z czasem? Posunięcie wskazówek zegara na nic się nie zda. Człowieka czynu, jakim był Stephens, zadreżczała bezczynność. Męczył pamięć wspomnieniami cytatów sławnych ludzi na temat czasu. Przypomniał sobie Bernarda Berensona, wybitnego przedstawiciela metody eksperymentalnej w historii sztuki. Podszedł do półki, gdzie bez ładu poukładane były książki o pierwszym elektronicznym digitalnym komputerze ENIAC z Uniwersytetu Pensylwańskiego, z czterdziestego szóstego roku. Zerknął na „Historię USA” pióra Hofstadtera, powieści Steinbecka, Rotha i Sinclaira. Przypomniał sobie eseje Berensona o rysunkach malarzy florentyńskich, skąd wy dobył kartonik papieru, na którym zapisał kiedyś cytat autora: „Gdybym mógł, stanąłbym na rogu ruchliwej ulicy z kapeluszem w dłoni i żebrałbym u ludzi, by wrzucali doń wszystkie godziny, jakie zmarnowali”.

Stephens dotychczas niewiele mógłby dać Berensonowi. Dzisiejszy dzień był wyjątkowy. Gdyby teraz faktycznie ujrzał go na tej ruchliwej ulicy, na pewno byłby mu te trzy godziny подарował.

Nagle rozdzwonił się telefon. W słuchawce odezwał się zupełnie nieznamy głos. Stephens daremnie usiłował rozpoznać akcent, żeby przynajmniej móc zidentyfikować, skąd pochodzi rozmówca. Nie było w nim lakoniczności północy ani wschodniej układności czy charakterystycznego dla zachodu „zaciągania”.

— Stephens, mam panu przekazać instrukcje...

— Żadnych instrukcji nie przyjmuję! Chcę wiedzieć, co jest z moją córką — przerwał inżynier.

— W takim razie uprzedzam pana, że wkrótce otrzyma pan wideokasetę — rozległy się groźne słowa.

— Na Boga! — wykrzyknął Stephens.

— A więc niech pan uważnie słucha! Jutro rano w NORAD-zie oznajmi pan szefowi, że z ważnych przyczyn osobistych musi pan natychmiast otrzymać miesięczny urlop. Sekretarce poleci pan załatwić bilet lotniczy na popołudniowy lot z Denver do Myrtle Beach, gdzie jednocześnie zarezerwuje dla pana, na pańskie nazwisko, pokój w hotelu „Beach”. Stamtąd do pańskiego rodzinnego Summerville, bo przecież stamtąd pan pochodzi, to tylko krok. Jadąc tam nie wysiądzie pan na końcowej stacji, lecz na pierwszym przystanku, w Saint Louis. To wszystko ma pan zrobić jutro!

— To idiotyczne! Mam przecież poważne obowiązki. A do tego... zmuszacie mnie, bym kłamał, że lecę do Karoliny, dokąd nie dolecę. Mam zarezerwować hotel, w którym nie zamieszkać. Miałbym spotkać się z krewnymi, których faktycznie nie ujrę...

— Jeśli nie spełni pan tego, co powiedziałem, wszystkiego co do joty, pozostanie mi współczuć panu! Czyżby pańska córka nic warta była tego, aby na miesiąc opuścić „Jimmiego” i generała Barbera? Ma pan okazję wydostać się z tego grobowca w górach, na słońce...

Stephens umilkł. Spojrzał ponuro na wnękę za telefonem. Przypatrywał się skomplikowanemu wzorowi, który rozgałęział się na wielobarwnej tkaninie wyświechtanej tapety. Nigdy nie potrafił sobie wyobrazić, co akurat ów wzór powinien przedstawiać. Kiedyś przypominał mu deszcz w gęstym lesie. Innym razem z sieci linijek, wężyków i kropek ułożył sobie obraz obnażonych ciał dwojga kochanków, skądś przychodzących i dokądś odchodzących. Ileż razy powtarzał sobie, że Napoleon miał rację twierdząc, że światem rządzi wyobraźnia. Właśnie „Jimmi” nigdy nie powstałby bez wyobraźni.

— Halo! Stephens, jest pan tam jeszcze?

— Być może!

— Niech pan sobie daruje absurdalne dowcipy. Teraz chodzi o rzecz szczególnie ważną. Przynajmniej dla pana.

— Słucham — posłusznie odpowiedział inżynier.

— Proszę sobie dobrze wbić do głowy to, co teraz panu powiem. Odleci pan rejsem 8601 towarzystwa „Delta”. Z Denver, szesnasta zero pięć. Jeżeli nie zdąży pan na ten lot, odleci pan następnym samolotem tego samego towarzystwa. Rejs 8654. Odlot o osiemnastej dwadzieścia. Pierwszy samolot ląduje w Saint Louis o siedemnastej pięćdziesiąt, drugi o dwudziestej zero pięć.

— I co dalej? — niecierpliwie zapytał Stephens.

— Przy obu samolotach będzie oczekiwać przewodnik, facet w obszarpanym ubraniu, któremu będzie pan bezwzględnie posłuszny. To pańskie oczy i uszy w podróży. Facet będzie z psem dźwigającym tabliczkę na karku, na której wypisana jest prośba o datek dla ślepego.

— Ślepiec? Żebak? Jak taki człowiek może być przewodnikiem?

— To pan będzie jego przewodnikiem, Stephens. W prawej kieszeni płaszczka tego faceta znajdzie pan wszystkie wskazówki i dokumenty na dalszą podróż. Pieniądze również. Pod dostatkiem. Wypowie pan jedynie hasło: „Ten piesek na pewno będzie się podobać Barbarze!” W odpowiedzi usłyszysz pan: „Zbędna gadanina. Samolot już czeka”.

— Chwileczkę! — nerwowo zareagował Stephens. — Jaki znowu samolot? Po co ta cała komedia? Zupełnie jak w szpiegowskim filmie! Chcę przede wszystkim usłyszeć, co jest z Barbarą? Kiedy ją wreszcie zobaczę?

— Powtarzam. Powie pan jedynie „Ten piesek na pewno będzie się podobać Barbarze!”

— Człowieku, jaką mam gwarancję, że to nie pułapka zastawiona przez jakąś mafię?

Stephens nie spoglądał już na tapetę. Zalewała go złość i czuł, że coś go chwyta za gardło. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale usłyszał trzask odkładanej słuchawki.

Znowu zaczął przemierzać pokój. W krótkim włosiu długo nie czyszczonego dywanu

pozostawiał dwa rzędy śladów. Dwie linie ruchu w przód, w tył zwrot i wędrówka powrotna. Co robić? Komu się zwierzyć? Pewne jest tylko jedno: Barbara pozostaje w ich rękach. Jeżeli teraz im się przeciwstawi, nie uratuje córki. Musi podjąć grę. Nie ma wyboru. Już sam sposób, w jaki się z nim obchodzą i wszystko, co wiedzą, a zwłaszcza dokąd potrafią się wcisnąć, świadczy, że ich łapy sięgają daleko. Ma do czynienia z ludźmi, którzy nie zawahają się zlikwidować Barbarę i jego samego, gdyby teraz zatelefonował do głównego goryla z S-2. Ma nawet jego domowy telefon. Czy naprawdę nie powinien zatelefonować? Czy nie popełnia przestępstwa już przez sam fakt, że przystąpił do pertraktacji z tymi łotrami przez czerwony telefon? I nikomu o tym nie zameldował? Właściwie miał zamiar to zrobić. Już prawie wykręcał numer do kierownika. Ale co teraz?...

Zatrzymał się przy barku. Szybko napełnił kieliszek. Wrzucił kostkę lodu, dodał wody sodowej, utopił plasterek cytryny. Trzeba mu było odrobiny alkoholu. Zbawienne ciepło rozplynęło się po wnętrzu. Zatelefonować czy nie? Oto jest pytanie.

Czy byłoby to wzywaniem pomocy? A co będzie jeśli mają go pod „szpilką” i podsłuchują każdą jego rozmowę? A może zatelefonować od sąsiadów? A jeśli obserwują każdy jego krok? Na pewno liczą się również z taką ewentualnością i rozstawili swoje „uszy”... — Nie, to już szaleństwo — powiedział sam do siebie. Łyknął kolejnego drinka. Męczące pytania pozostawały bez odpowiedzi. Jak to się właściwie mogło stać, że Barbara znalazła się w ich rękach?

Stanął przy telefonie. Szybko wykręcił numer. Ile to już lat upłynęło, jak dzwonił pod ten numer? Szmata czasu. Żona powiedziała mu wtedy bezbarwnym głosem, że niczego nie potrzebują od niego i poprosiła, by więcej nie usiłował się z nimi kontaktować. Słyszał wtedy również głos Barbary, która zwracała się do matki, by przerwała z nim rozmowę. Poprzysiął sobie, że nigdy więcej nie będzie telefonować do Oregonu. Dziś odstąpił od tego postanowienia. Telefon po drugiej stronie był zajęty. Podjął wędrówkę po pokoju. Ślady na dywanie pogłębiały się, jak tropy na świeżym śniegu. Mózg Stephensa pracował na pełnych obrotach. Nic jednak nie zdołał wymyślić. Znowu przystanął przy barku. Tym razem nic skorzystał z kieliszka, pociągnął wprost z butelki, jaki czynią to notoryczni alkoholicy. Łyknął i pomaszerował tam i z powrotem. Dlaczego nakazują mu, by wysiadł w Saint Louis?! Co wspólnego ma z tym wszystkim jakiś ślepiec? Jak to możliwe, żeby w jego własnym kraju, w najbardziej demokratycznym i najdoskonalszym kraju świata, czołowego naukowca pozostającego w służbie ojczyzny, w służbie najważniejszej formacji sił zbrojnych, jakaś banda szantażystów mogła tak przycisnąć do muru? Jak wyglądają ci szaleńcy? Maniacy! Narkomani! Gangsterzy!

Bandycie, który jest maniakiem i narkomanem, lepiej się nie sprzeciwiać. W każdym razie nie należy z nim walczyć po amatorsku. Do tego potrzebni są profesjonaliści. Czy naprawdę nie powinien zatelefonować do szefa goryli? A co będzie, jeśli porywacze również są profesjonalistami? Dlaczego by maniak, narkoman czy gangster nie mógł być profesjonalistą? Może z takimi właśnie ma do czynienia? Tym gorzej dla ofiary porwania, tym gorzej dla niego.

Zmobilizował wszystkie siły fizyczne i psychiczne, jakie mu jeszcze pozostały. Skoncentrował się na tym, co zamierza powiedzieć byłej żonie, aby ustrzec się błędów, które mógłby popełnić pod wpływem wypitego alkoholu. Wykręcił numer do Oregonu. Jest sygnał, dzięki Bogu. Słuchawkę podniosła teściowa.

— A cóż to się stało, że tak nagle przypomniałeś sobie o nas? — spytała nie bez kpiny w głosie.

— Tak, po prostu... Chciałem dowiedzieć się, co słychać. Jak żyjecie, czy nie potrzebujecie czegoś — zachowując spokój, mówił Stephens.

— Wszystko po staremu. Ale źle trafiłeś, gdyż poza mną nikogo więcej nie ma.

— Gdzie one są? — chciał wiedzieć.

— Dziadek przebywa w Carvallise. Pojechał tam na zlot weteranów wojny. Barbara

udała się do przyjaciółki z uniwersytetu — do Kalifornii. Właśnie telefonowała przed chwilą, że przedłuża pobyt o kilka dni. No, a ta, która najbardziej cię interesuje i dla której nigdy nie miałaś czasu, jest na wypoczynku w górach. Na nartach. W Idaho. Ale nie jest tam sama — zachichotała.

— Ja również wybieram się na urlop. Od jutra. Proszę pozdrowić wszystkich ode mnie — szybko powiedział inżynier.

— A dokąd się wybierasz? — spytała zaciekawiona teściowa.

— Do swoich, do Karoliny.

— Sam?

— Sam — odrzekł głosem pełnym melancholii i pożegnał się.

A więc to prawda. Barbarę ktoś gdzieś wywiózł. Zmusił ją też, aby poinformowała dom, iż przebywa w Kalifornii. A teraz, że przedłuża pobyt o kilka dni...

Wziął prysznic i poszedł do łóżka.

Wychylił puszkę piwa marki „Horal”, które firma „Bush Anheuser” rozprowadzała nie tylko po całych Stanach, ale również w ich strefie powietrznej. Piegowata stewardesa wyjęła mu z dłoni pustą blaszankę, gdy w głośniku rozległ się komunikat, że pośród chmur pod lewym skrzydłem będzie widać Missouri, która niedaleko stąd wlewa się do Missisipi.

Boeing-727 towarzystwa „Delta” lecący z Denver rejsiem numer 8601, z przewidywanym lądowaniem w Saint Louis o 17.50, zaczął zniżać lot. Stephens domyślił się, że kapitan zatacza większe koło, by przygotować się do manewru lądowania, które nastąpi gdzieś przy Altonie. Akurat przy zbiegu tych dwu największych północnoamerykańskich rzek. Dwa szare gady łączą się tam w splocie, aby płynąć dalej jako jedna olbrzymia anakonda, aż do Zatoki Meksykańskiej.

Zapiął pas bezpieczeństwa i oparł głowę o fotel. Stara rzeka. Żyją do dziś w zmęczonej pamięci lekcje geografii w podstawowej szkole na Dwunastej ulicy w Summerville. Musieli obowiązkowo znać na pamięć nazwy wszystkich jej dopływów. Ma to w głowie do dziś. Przynajmniej powinien. Zaczął wydobywać te nazwy z zakamarków pamięci. Z lewej: Chipe-wa, Wisconsin, Rock, Illinois, Ohio, Yazoo. Teraz te z prawej: Minnesota, Des Moines, Missouri, Arkansas, Red. Nauczyciel, chuderlawy pan Patrick, ciągle im powtarzał:

— Co ważnego wiąże się z Missisipi oprócz tego, że bez niej Samuel Clemens nigdy by nie mógł zmienić nazwiska na Mark Twain?

Stephens zgłaszał się jako pierwszy, by powiedzieć po raz nie wiadomo który, że jest to „nasza najpotężniejsza rzeka i dzięki Missouri również najdłuższa” dlatego, że od jej źródła, czyli od źródła Missouri, liczy trzy tysiące siedemset mil. Stephens miał wyjątkową pamięć do liczb, posługując się zawsze jakąś mnemotechniczną metodą zespołowych wyobrażeń...

Obojętnym wzrokiem spoglądał w kierunku, z którego przybliżała się rzeka. Zaczął rekonstruować minione przedpołudnie. Generał Barber siedział głęboko w skórzanym fotelu. Jego niebieskiego koloru marynarka przerzucona była przez oparcie jednego z krzeseł przy stole konferencyjnym. Nawet w bluzie pozostawał głównodowodzącym generałem. Zresztą na jej ramionach również błyszczały trzy wielkie srebrne gwiazdy. Na pewno dałby je sobie przymocować również pomiędzy gęstymi kudłami na piersiach, gdyby zdecydował się urzędować nago. Był żołnierzem z krwi i kości. Posługiwał się też prostą żołnierską argumentacją. Jedyńm sposobem przekonywania, jaki uznawał, było unikanie wszelkiej argumentacji. Równocześnie swoim podwładnym zawsze wbiiał do głowy: Nie znajdziemy wspólnego języka, jeżeli nie zredukujemy mowy do siedmiu wyrazów. Im mniej słów w rozkazie, podobnie jak symboli w komputerze czy na radarowym ekranie, tym rzeczy są jaśniejsze i sukces pewniejszy. Zasadzie tej pozostawał wierny, jak sam chętnie opowiadał, we wszystkich walkach powietrznych, które miał za sobą. Demonstrował przy tym najwyższe odznaczenie lotnicze, które z dumą nosił na piersi. Wielka gwiazda otoczona wawrzynem, pod nią biało-czerwone

pasy z niebieską tarczą. A wszystko na podwójnym skrzydle. Tak samo dumny był z czterech rzędów pstrokolorowych baretek, licznych odznaczeń, jakie otrzymał podczas trzech wielkich wojen, prowadzonych przez Stany Zjednoczone w ostatnich latach.

Zdażył też jeszcze uczestniczyć w drugiej wojnie światowej, chociaż tylko w ostatnich jej tygodniach. W marcu trzydziestego piątego roku skierowano go, jako absolwenta przyspieszonego kursu Akademii Lotniczej, do lotnictwa morskiego. Bazę miał na lotniskowcu „Interpid”, z pokładu którego kilkanaście razy startował jako dwudziestojednoletni podporucznik i pilot myśliwca F-6-F, jednego z owych „piekielnych kotów”, jak zwykło się w armii nazywać te maszyny. Rzeczywisty chrzest bojowy przeszedł jednak podczas tropienia japońskiego okrętu wojennego „Jamato”, który zatopili na Wschodniochińskim Morzu szóstego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Pięć lat później, już z kapitańskimi gwiazdkami, osłaniał w eskadrze desant wojsk generała Douglasa MacArthura w Indochinach. To było w listopadzie pięćdziesiątego roku. Koreańska wojna rozszerzała się nader niebezpiecznie. Barber, chociaż nigdy nie miał okazji widzieć osobiście sławnego generała, zawsze należał do jego gorących wielbicieli. Bez najmniejszych zastrzeżeń akceptował jego koncepcję użycia bomby atomowej przeciwko koreańskim i chińskim komunistom. On, Barber, gdyby tylko mógł, poszedłby nawet dalej. Kiedy się dowiedział, że ówczesny dowódca połączonych sztabów, generał Omar Bradley, pozostający w opozycji do MacArthura, nie kryje poglądu, iż „amerykańska wojna w Korei jest błędem, na błędnym miejscu i przeciwko błędnemu nieprzyjacielowi”, ku zaskoczeniu wielbicieli MacArthura zaczął po tych słowach bić brawo. Zachował się tak dlatego, że wypowiedź Bradleya odczytał całkiem opacznie, po swojemu. Przed młodszymi kolegami w kantynie entuzjastycznie wykrzykiwał, że właściwa wojna, na właściwym miejscu i przeciwko właściwemu nieprzyjacielowi, to wojna atomowa w Azji i w Europie, i to niezwłoczna, przeciwko Rosji! Później stuknęło mu czterdzieści lat. Stał się najstarszym pułkownikiem, który jeszcze zaciskał dłoń na sterowniczej dźwigni. Pozwolił się dobrowolnie — jak chętnie mawiał — przykuć tradycjami demokracji i nienawiścią wobec nieprzyjaciela do dowódczego fotela w ciężkim bombowcu B-52, który rozsypywał tony śmierci na wietnamskie wioski. Powierzono mu pułk bombowców strategicznych. Najpierw na wyspie Guam. Później były inne lotniska tych gigantycznych strategicznych nosicieli bomb jądrowych. Blytheville w Arkansas, Castle w Kalifornii, Wurtshmit w Michigan, Griffith w stanie New York. Ukończył roczny kurs Akademii Wojennej. Następnym rok spędził w Pentagonie. Aż wreszcie został dowódcą NORAD-u.

O tym wszystkim i o wielu innych rzeczach musiał wiedzieć każdy, kto odważył się stanąć przed jego obliczem. Stephens, podobnie jak lekcję o Missisipi, i ten temat opanował dogłębnie. Narastało w nim również przekonanie, że generał usiłuje prowadzić zajęcia uniwersyteckie ze wszystkimi podwładnymi. Bez wyjątku. Jakby realizował koncepcję, że ludzie powinni ślepo wierzyć w to, czego po prostu nie rozumieją. Posługiwał się przy tym własną sentencją, że „lepiej jest, kiedy rozumiemy niewiele, niż gdybyśmy wiele nie rozumieli”.

Ten trójgwiazdkowy generał, zapalony lotnik, twarogłowy strateg, osobliwy filozof i samolubny przełożony, początkowo nawet słyszeć nie chciał o udzieleniu urlopu Stephensovi. Sytuacja była wszak niewątpliwie trudna. Akurat doniesiono mu o nowych ćwiczebnych wariantach obrony terytorium USA przed atakami nieprzyjaciół. Powinien zatem mieć pod ręką kompletny zespół ludzi wokół „Jimmiego”. Stephens postawił wszystko na jedną kartę, nie ustępował. Posłużył się argumentacją nieznanego, że musi wreszcie wydostać się z ciemności na słońce, z gór nad morze. Generał nie przyjmował takich argumentów. Stephens dodał, że ma ciężko chorą matkę. Barber pozostawał zimny. Nie pomógł też wybieg, że Stephens potrzebuje spokoju, by zastanowić się nad nowym sposobem numerycznej przekładni automatycznego procesu wczesnego wykrywania błędów w obliczaniu szybkości nadlatujących rakiet z kierunku, który dotychczas nie został jeszcze przećwiczony. Przez północny biegun magnetyczny. Generał pozostawał nieporuszony. Było to niegodne targowanie się o

prywatne sprawy doktora nauk z człowiekiem, który nie mógł tego urlopu nie otrzymać. Nic też dziwnego, że Stephens nie wytrzymał. W pewnym momencie ryknął z całej mocy płuc:

— Mam urlop! Nikt mi w tym nie przeszkodzi!

Barber zdębiał. Stephens nabrał powietrza i dorzucił:

— Panie generale! Powiedziałem dokładnie siedem słów! Do widzenia!

W dziesięć minut później, kiedy Stephens pakował już rzeczy do podróży, odezwał się telefon. Czerwony. Stephens przeraził się, że znowu nękają go tamci. Był to jednak generał Barber. Na pewno przeszedł już do sali operacyjnej, skąd oznajmiał Stephensowi, że gotów jest na kompromis. Udziela inżynierowi urlopu, ale tylko na trzy tygodnie. Czasy są zbyt ciężkie. Życzył mu jeszcze przyjemnego wypoczynku i szczęśliwego powrotu.

Od wylądowania samolotu na lotnisku Lambert w Saint Louis nie upłynęło nawet dziesięć minut, kiedy spośród ciżby ludzkiej wynurzył się ślepiec w znoszonym i brudnym płaszczu. Płaszcz ten przypominał raczej dar innego żebraka, który go wcześniej używał pod jakimś mostem jako podściółki. Z twarzy ślepca trudno było cokolwiek odczytać. Duże czarne okulary. Broda przetykana siwizną. Ciemny kapelusz nasadzony aż do połowy uszu. Czarne rękawice trzymające białą laskę i smycz psa przewodnika.

Stephens podszedł i przemówił:

— Ten piesek z pewnością podobałby się Barbarze!

Ślepiec przystanął i skłonił się lekko.

— Bez zbędnej gadaniny. Samolot już czeka — odezwał się.

— Dokąd lecimy? — indagował inżynier.

— Najpierw do Dallas. Stamtąd do Las Vegas.

— Po co tyle wędrówki? Takie okrażenie?

— Nie moja rzecz — odpowiedział ślepiec.

— Czy w Las Vegas zobaczę córkę?

— Nie moja rzecz — odciął się ślepiec.

— Niech pan przynajmniej powie, kiedy odlatuje samolot.

— Siedemnasta dwadzieścia.

— To ruszajmy. Proszę o bilety! — inżynier sięgnął ręką do kieszeni płaszcza żebraka.

— Chwileczkę! — zawołał ślepiec tonem, który zaskoczył inżyniera. — Przed odlotem musimy jeszcze załatwić coś ważnego.

— Co znowu?

— Tu są dwie pocztówki — żebrak wyciągnął je z kieszeni płaszcza. Inżynier spojrział na widokówki. Jedna była z Południowej Karoliny, druga przedstawiała jakąś plażę.

— Co za pomysł? — zdziwił się.

— Ma pan czym pisać?

— Mam. Chce pan, żebym w jego imieniu do kogoś napisał?

— Napisze pan we własnym imieniu. Na tej z Karoliny proszę napisać, że miał pan przyjemny lot i cieszy się pan z wypoczynku. Tylko wyraźnie, żeby nie mieli wątpliwości, iż pisał pan to własnoręcznie.

— Do kogo mam to adresować?

— Do swego generała. A tę drugą proszę zaadresować do kogoś z przyjaciół w miejscu pracy, z kim utrzymuje pan bliskie stosunki.

— Ależ ta pocztówka jest z Coral Gables. Z Florydy. Cóż to za idiotyzm?

— Nie pańska rzecz. Będzie pan na Florydzie za tydzień. Przynajmniej adresaci będą wiedzieć, że przyjemnie spędza pan urlop.

Kiedy Stephens napisał drugą widokówkę, żebrak, który zaglądał zza jego pleców, powiedział, aby kupić znaczki i nalepił je. Potem obie pocztówki wepchnął do przygotowanych kopert z adresami. Pozwolił Stephensowi, by podprowadził go do skrzynki pocztowej; znajdowała się kilkanaście metrów dalej.

Później czekał ich korytarz prowadzący do wnętrza dwumotorowego samolotu DC-9, który wziął kurs na szóste największe lotnisko w świecie: Dallas — Fort Worth Airport. Mieli przed sobą około godziny lotu. Kabina na sześćdziesięciu siedmiu pasażerów była w połowie pusta.

W Dallas mieli półtorej godziny oczekiwania. Wszystko szło gładko. Siedzieli w restauracji, która przypominała sportową halę. Ślepiec sporo pił. Czystą whisky. Nie miał żadnych skrupułów. Teraz wszystko pokrywał Stephens. Tak zresztą brzmiała telefoniczna dyrektywa. Inżynier miał również w tym swój cel: chciał upić to indywiduum, żeby coś od niego wydobyc. Nie powiodło się. Nie dowiedział się niczego godnego uwagi. Próbował raz jeszcze w drodze do Las Vegas. Daremnie. Aż wreszcie usnął, ukołyszany monotonnym odgłosem silników, wtulony w fotel ogonowej części lockheeda L-10011 „Tristar”.

Kiedy lądowali w Las Vegas, było kilka minut po dziewiątej wieczór. Wesoły gejzer światła pośród ciemnej, nieprzyjaznej pustyni Nevada. Ciekaw jestem, co nastąpi dalej — pomyślał Stephens. Ślepiec pochylił się ku niemu, kiedy szli korytarzem i szepnął:

— Niech pan rozejrzy się za kremowym samochodem dostawczym dodge. Numer arizoński — Phoenix 22137.

— Na parkingu?

— Nie. Powinni czekać na nas tuż przed wyjściem.

— Przed którym?

— Przed wyjściem z tego budynku, a więc z American Western. Jest tylko jedno wyjście — zdumiewająco pewnie odpowiedział ślepiec.

— Dokąd udajemy się później?

— Nie moja rzecz.

— Kiedy zobaczę córkę?

— Moja robota kończy się przy samochodzie.

Przed wyjściem, oświetlonym reflektorami zawieszonymi na wysokich słupach, stał długi sznur samochodów, autobusów, wozów dostawczych i wszelkich innych pojazdów.

— Tam jest Phoenix 22137 — wskazał dłonią Stephens. Odniósł wrażenie, iż ślepiec odwrócił głowę w tym samym kierunku. Ten jednak skłonił się przed inżynierem i powiedział:

— Niech pan słucha, Stephens! Teraz proszę się nie rozglądać w lewo ani w prawo. Nikogo o nic nie pytać. Wsiądzie pan tylnymi drzwiami do wozu. Wewnątrz jest ciemno, zupełnie ciemno...

— Co to za zabawa? — przerwał inżynier.

— Tak trzeba. Nie będą panu przecież wiązać oczu ani kneblować ust! — zasyczał ślepiec. — Nie mogą pana wieźć do bazy cadillakiem z proporczykiem. Gdyby to było możliwe, odbywałby pan całą podróż pośród białego dnia.

— O jakiej bazie pan mówi?

Odpowiedzi nie było. Stali przy wozie dostawczym. Tylne drzwi były uchylone. Motor pracował cicho. Nikt ich nie witał.

Stephens poczuł się nieswojo i przez chwilę się zawahał. Zanim jednak zdołał się opamiętać, poczuł nagłe pchnięcie w plecy i wleciał do wnętrza wozu. Czyżby ten ślepiec? Taki niedołęga potrafiłby cisnąć osiemdziesięciokilogramowym facetem? Drzwi zatrzasnęły się za nim jak żelazna maska na twarzy więźnia z powieści Aleksandra Dumasa.

— Halo, Stephens! — z zewnątrz ktoś zastukał po karoserii. Rozpoznał głos ślepcy, z którym przeleciał prawie połowę Stanów Zjednoczonych. — Dziękuję za współpracę!

Samochód gwałtownie ruszył. Podążał gdzieś w nieznaną. Stephens widział zaledwie kontury wnętrza. Rozpoznał, a raczej wyczuł żebra konstrukcji. Skórzane ławy wzdłuż obu ścian. W pobliżu ktoś oddycha. Tak, w kącie siedzi jakiś człowiek. Stephens poczuł skurcz w gardle. Po całym ciele przebiegły roje mrówek. Instynktownie przesunął się do przeciwległe-

go kąta. Dłońmi macał wokoło siebie, poszukując jakiegoś przedmiotu do obrony. Nie trafił na nic. Goła podłoga. Gołe ściany.

— Panie Stephens — rozległ się głos z kąta — witam pana w Nevadzie. Proszę nam wybaczyć, że odbywa pan podróż w takich warunkach. Musimy przestrzegać pewnych zasad konspiracji.

— Kim pan jest? — rozedrganym głosem spytał Stephens.

— Od tej chwili pańskim opiekunem.

— Też ślepiec? — zapytał inżynier ironicznie.

Nieznajomy odpowiedział śmiechem. Samochód raptownie skręcił w prawo.

— Dokąd jedziemy? Kiedy spotkam się z córką?

— Jedziemy do naszej bazy. Będziemy tam za dwie i pół godziny. Wtedy zobaczy pan córkę.

Ten głos chyba już słyszałem — intensywnie myślał inżynier. — Czy to nie jeden z tych, którzy rozmawiali ze mną telefonicznie?

Zapytał:

— Czy to pan telefonował do mnie?

— Jestem tylko pańskim przewodnikiem.

— Nieustannie ktoś mnie pilotuje. A ja wciąż nie wiem, dokąd zmierzam i kiedy wreszcie skończy się ta wcale niewesoła zabawa.

— Panie Stephens, zbliżamy się do celu. Spodziewamy się, że będzie pan, zgodnie z umową, rzetelnie dla nas pracować. Pańskie wysokie kwalifikacje zostaną odpowiednio wykorzystane i uhonorowane. Ponieważ mamy określony cel, który, szczerze mówiąc, pozostaje w kolizji z prawem ustanowionym w tej na wskroś przegniłej krainie, musimy występować przed najmowanymi ekspertami, jak na przykład przed panem, absolutnie utajnieni.

— Jak mam to rozumieć?

— Tak, że nikogo z nas, przynajmniej do pewnego czasu, nie ujrzy pan na własne oczy. W każdym razie na pewno nie pozna pan naszych twarzy. Będziemy spotykać się jedynie w tym zaciemnionym wozie. Ze mną załatwiać pan będzie sprawy prywatne. Wszystko, poza pańskimi zadaniami roboczymi. Będę pańskim sekretarzem osobistym. Ze swojej pracowni w każdej chwili będzie pan mógł wezwać mnie telefonicznie. Później spotkamy się w tej skrzyni. Zawsze będę czekać na pana, jak dziś, by mu służyć.

— A jeśli pana już poznam, wszak podczas dnia nie będzie to takie trudne, to co później ze mną zrobicie? Zlikwidujecie mnie? — nagabywał Stephens.

— To nedorzecznosc! Pana zlikwidować? Czy pan wie, jaki worek dolarów wyłożyliśmy już na pana? Bez obaw, Stephens. W każdym razie zadbamy o to, by nie ujrzał pan naszych twarzy.

— Może wreszcie dowiem się, kto i czego żąda ode mnie?

— Dowie się pan od szefa bazy.

Bazą był ogromny betonowy bunkier. Podziemny kompleks służący niegdyś jako centrum obliczeniowe Komisji do Spraw Energii Atomowej, placówka podlegała Ministerstwu Obrony podczas prób z naziemnymi eksplozjami jądrowymi. Stephens znajdował się w pomieszczeniu byłej, teraz już całkowicie opuszczonej, bazy wojskowej „Frenchman Flat”, o czym dowiedział się nieco później od szefa bazy. Szef był niskim człowieczkiem o nerwowych ruchach. Rozmowy ze Stephensem prowadził przez lokalną telewizję. Siedział zawsze odwrócony tyłem tak, że na monitorze Stephens widział tylko jego plecy.

— Stephens, będę z panem szczerzy — mówił szef. — Za chwilę ujrzy pan córkę. Ona pana nie będzie widzieć. Przekona się pan, że jest cała i zdrowa, a nawet w dobrym humorze.

— Cieszę się. Chciałbym też wreszcie wiedzieć, co mi każecie robić?

— Ma pan prawo wiedzieć. Wyłożę przed panem wszystko, bez owijania w bawełnę. Stanowimy organizację, która zajmuje się handlem narkotykami i podobnym towarem na ska-



lę hurtową. Korzystamy z inteligentnych komputerów. Brakuje nam jednak bardziej sensownego i niezawodnego mózgu. Taki mózg mieści się właśnie w pańskiej czaszce.

— Obawiam się, że jeśli chodzi o narkotyki, pożytek ze mnie będzie niezmiernie skromny.

— Ocenę proszę pozostawić nam. Potrzebujemy pana do czegoś, o czym pan jeszcze nie może mieć pojęcia.

— Nie rozumiem.

— Popracuje pan dla nas przez jakiś czas, żebyśmy mogli zgarnąć piramidę dolarów. Większą niż ta wasza Cheyenne Mountain! — zaśmiał się szef i łyknął czegoś ze szklanki.

— Nic z tego nie rozumiem! — zachnął się Stephens.

— Po prostu narobi pan trochę bigosu w eterze! — wykrzyknął mały człowieczek, który był Wielkim Szefem. Jego dłonie zacisnęły się w pięści.

— Czy może mi pan jaśniej powiedzieć, o co chodzi? — Stephens starał się zachować spokój.

— Powiem panu tyle, że przed kilkoma laty, jak sam pan dobrze wie, system ostrzegawczy USA zainstalowany w Grenlandii ogłosił alarm. Jego indykatory sygnalizowały zmasowany atak na Amerykę. Rzecz w tym, że system ostrzegawczy uruchomiły wtedy odbicia radarowe z Księżyca...

— A co ja mam z tym wspólnego?

— Otóż to! Spowoduje pan takie echo. Uruchomi pan w ten sposób systemy ostrzegawcze. Na tyle, na ile nam to będzie potrzebne.

— Pan zwariował! — wykrzyknął Stephens i nie panując już nad sobą zerwał się z fotela.

— Spokojnie, Stephens. Już panu powiedziano, że to pan zwariuje, jeżeli tylko odrzuci pan nasze żądania.

— Tego nie wolno robić! — opuścił głowę inżynier.

— Dlaczego?

— Mogłoby się to skończyć straszliwą katastrofą!

— No, wreszcie zaczynamy się rozumieć! Właśnie w tym cała rzecz, że ma to zrobić taki mózg, jak pana, a nie mój, na przykład. Pan jest człowiekiem, który potrafi wywołać alarm, ale też w porę go odwołać. Ja, z moimi chłopcami, mógłbym to uruchomić, ale nie mamy pojęcia, jak później wyciszyć. Pan zna kod NORAD-u i programy gier wojennych. Tego właśnie my nie znamy i znać nigdy nie będziemy.

— Co, konkretnie, miałbym zrobić?

— Jeszcze dziś po południu wciśnie pan „Jimmiemu” kod o ataku na ten wasz NORAD. To ich porządnie przestraszy. Później nada pan inny sygnał, w którym zakomunikuje, że to jedynie gra. My zażądamy od tych panów odpowiedniego honorarium. Będzie ono, oczywiście, tak wysokie, żebyśmy nie musieli powtarzać tej niebezpiecznej zabawy. W przeciwnym razie...

— W przeciwnym razie, co? — przerwał Stephens.

— W przeciwnym razie zmuszeni będziemy powtarzać alarmy o nadlatujących rakietach, które zdążają na Waszyngton albo na Chicago czy Los Angeles bądź gdzie indziej. Będziemy ich nękać tak długo, aż zmiękną. Ale to już nie pańska sprawa — machnął ręką mały człowieczek.

— Obawiam się, że technicznie nie będzie to wykonalne.

Stephens usiłował grać na zwłokę, chcąc znaleźć drogę wyjścia z tej sytuacji.

— Technicznie? Dlaczego?

— Od tego zdarzenia z odbiciem echa od powierzchni Księżyca upłynął szmat czasu.

Wyciągnięto odpowiednie wnioski, zainstalowano nowe, doskonalsze systemy ostrzegawcze.

Szef pochylił się nad jedną z szuflad w biurku i wy dobył z niej jakiś arkusz papieru.

Następnie sięgnął po okulary i ceremonialnie osadzał je na nosie. Prawdopodobnie wysliznęły mu się z dłoni, gdyż uczynił ręką raptowny ruch, jak gdyby chwycił muchę, przelatującą tuż przed jego nosem. Jak potrafi odegrać scenkę z okularami, taki boss od narkotyków pomyślał Stephens. — A jak czyta. Patos. Dramatyzm. Występ był jednak krótki. Niewątpliwie kieruje się zasadą, że święci i bogowie oszczędnie posługują się słowami.

— W marcu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku Richard Olson, jeden z czołowych pracowników agencji rządowej, zajmującej się studiami nad programem zbrojeń, oznajmił przed Kongresem, że z tego błędu należy wysnuć dwa wnioski. Po pierwsze: takie zjawiska zdarzają się. Po drugie: można je w porę ujawnić, ale trzeba mieć również na uwadze, iż podobne incydenty mogą mieć miejsce przy najdoskonalszym systemie.

Człowieczek odłożył papier. Następnie z takim samym ceremoniałem zdejmował okulary. Rozłożył ręce:

— Co pan na to, Stephens? Czyżby mylił się pański renomowany kolega? Albo świadomie wprowadzał w błąd Kongres?

— Nie mylił się i nie wprowadzał w błąd. Bardzo dobrze pamiętam treść tego wystąpienia. Rzecz w tym, iż Olson wyrażał obawy przed pochopnym wprowadzaniem nowych mechanizmów, przy których decydowanie o wojnie lub pokoju wisi na bardzo cieniutkiej nitce. To znaczy na systemach, które w ułamku sekundy, od momentu odbioru ostrzegawczego sygnału elektronicznego z komputera, odpalą broń jądrową. Szybciej, zanim zdążą sprawdzić, czy jest to rzeczywisty atak na Stany Zjednoczone, Tak to Olson powiedział, i to właśnie miał wtedy na myśli. A później dopiero dodał, jak dobrze pamiętam, że przy takim sposobie podejmowania decyzji człowiek nie ma nic do powiedzenia.

— Stephens, skończmy z tym. Teraz pan jest od decydowania. Proszę się zastanowić. No, ale czas, by ujrzał pan swoją córkę. Później zabierze się pan do roboty. Nasze ścisłe instrukcje doręczy panu łącznik. Będzie zamaskowany, niech pan się nie przełęknie. Zaręczam, że to spokojny chłopak, niech pan go jednaki nie drażni, bo gdyby zauważył, że czyni pan jakieś podejrzanе ruchy, błyskawicznie zareaguje, używając swojej bokserkiej krzepy. On też pokaże panu naszą aparaturę elektroniczną i telekomunikacyjną. Kod z programem gry strategicznej oraz telekomunikacyjne warianty połączeń do waszego „Jimmiego” ma pan w głowie. Honorarium za dzisiejszą robotę otrzyma pan natychmiast. Pańska córka, w towarzystwie naszego człowieka, wyjedzie do Kalifornii, skąd zatelefonuje do pana. To wszystko. Powodzenia, Stephens.

— Kto mi zaręczy, że Barbara naprawdę wyjedzie? Jak mogę wam wierzyć, jeżeli mam do czynienia... — zawołał inżynier i znowu poderwał się z fotela.

Nie doczekał się odpowiedzi. Monitor ściemniał i Stephens pozostał sam na sam ze swymi myślami.

Trzej mężczyźni w mundurach lotnictwa amerykańskiego, oficerowie operacyjni dowództwa NORAD w Colorado Springs, siedzą przy roboczych stołach w pomieszczeniu z niskim sufitem, skąd sączy się światło żarówek.

Wprost trudno uwierzyć, że ci ludzie potrafią rozeznąć się w skomplikowanej aparaturze, która jest tutaj wbudowana wszędzie, poza jednym jedynym sufitem. Sala operacyjna wypełniona jest elektronicznymi systemami, tablicami rozdzielczymi, telefonami, dyktafonami, magnetofonami, wielkimi ściennymi tablicami z geograficznymi, meteorologicznymi, jak również wojskowo-strategicznymi danymi o całej strefie Ameryki Północnej, Oceanu Spokojnego, Azji oraz reszty świata. Słychać monotony szum taśm kilkunastu wielkich komputerów z firmowym znakiem „IBM-3850”, widać nieregularne rozbłyski monitorów. Zmieniają się zdjęcia lotnisk wojskowych, wyrzutni raketowych, radarów, jakichś krain, morskich powierzchni. Kilkanaście ściennych zegarów pokazuje różne czasy świata. Na wskaźniku, pod symbolem „Wybrzeże Wschodnie”, widnieje data: „9 listopada, godz. 16.10”.

Smukły pięćdziesięciolatek trzyma w dłoni słuchawkę telefoniczną. Sądząc ze spokojnych gestów i regularnego ruchu warg jest to rutynowa rozmowa służbowa. Srebrna orlica na naramiennikach informuje, że to oficer w stopniu pułkownika. Siedzi na fotelu dowódcy, ustawionym pośrodku sali przed dwoma monitorami. To dowódca zmiany, pułkownik Lawrence Hanson. Wysoki funkcjonariusz dowództwa tutejszego kluczowego stanowiska. Tylko najbardziej doświadczonym pułkownikom i generałom powierza się służbę decyzyjną. Oni też, zanim przybędzie generał Barber i zdoła się porozumieć z prezydentem Stanów Zjednoczonych, dysponują potężną władzą nad amerykańskim arsenałem jądrowym. Z tej sali może właśnie — również przez pomyłkę — wyjść rozkaz do startu rakiet balistycznych, samolotów bądź odpalenia pocisków raketowych z okrętów podwodnych. Hanson należy do twardych żołnierzy. Potrafi wykonać każdy rozkaz. Poza służbą przyjaźni się z generałem Barberem. Wspólnie latali w Korei i nad Wietnamem. Jest absolwentem Akademii Lotniczej, ma też dyplom wydziału nauk politycznych Uniwersytetu Kolumbijskiego w Nowym Jorku. Co można do tego jeszcze dodać? W ankiecie personalnej podał takie dane: żona Suzan, dwoje dzieci, starszy syn studiuje architekturę w Los Angeles, córka jest zawodową tenisistką.

Na lewo od fotela dowódcy zmiany znajduje się konsola z monitorem centralnego radaru, który zbiera dane z sieci ostrzegawczej. Czterdziestopięcioletni mężczyzna podnosi się akurat ze swojego obrotowego fotela i podchodzi do szklanej tablicy. Według zapisu, który trzyma w lewej dłoni, nanosi krzywą na planszetę i stawia obok niej cyferki. Na ramieniu ma srebrny liść dębowy z siedmioma grotami strzał. A zatem — podpułkownik. Na klapie munduru widnieje pochodnia między skrzyżowanymi flagami z białym kwadratem — oznaka przynależności do wojsk łączności. Tak, podpułkownik Charles Smart zna się na radiolokacji i kodach, przenoszonych niewidzialnymi promieniami na jego monitor. Żonaty, troje dzieci. Latał jako oficer radarowy nad wietnamskie miasta i wioski. Podobnie jak były lotnik Hanson, zwykł wykonywać każdy rozkaz bez chwili wahania.

— Wszystko w porządku, Charlie? Co tam gryzmolisz?

— W Endicotte, w górach, podłączono wreszcie „Jąkającego Boba” — odpowiedział podpułkownik.

— A kto to taki? — spytał Hanson nie kryjąc rozbawienia.

— Nowy radar dalekiego zasięgu — objaśnił Smart.

— Hura, na północną Alaskę! Radarowa gorączka na Jukonie! Poszukiwacz złota Charles Smart! — wykrzyknął ze swojego miejsca trzeci członek zmiany, major Sullivan.

— Najpierw: hura na Minneapolis. Słynna firma Control Data Corporation już czeka na nie mniej sławnego dżokeja komputerów dziesiątej generacji — odparował mu Smart.

Jednym z najlepszych uczniów inżyniera Stephensa i wykonawcą jego postulatów teoretycznych jest major Edward Sullivan. Absolwent Akademii Lotniczej, która zbiegiem okoliczności znajduje się niedaleko stąd. Niecałą godzinę jazdy na północ szosą numer dwadzieścia pięć. Ma dyplom, świeży jeszcze, wydany przez podyplomowe studium Uniwersytetu Stanford. Czterdziestoletni kawaler. Za kilka miesięcy kończy mu się kontrakt i ma obiecane miejsce w firmie Control Data Corporation w Minneapolis, gdzie powstają najprecyzyjniejsze komputery. Też rasowy żołnierz, gotów wykonać każdy rozkaz. W akcji bojowej nie brał udziału.

— Słucham. Sala „Alfa” zero piętnaście. Major Sullivan... Czego sobie życzycie? Centrala?... Pułkownik Hanson? Tak, jest obecny — odpowiada Sullivan do telefonu, który przerwał ostrym dzwonieniem jednostajny przebieg służby. — Coś pilnego? Zaraz przekażę!

— Co się dzieje? Kto to był? — zapytał Hanson.

— Alarm! — Sullivan wykrzyknął z entuzjazmem podobnym do pokrzykiwań sprzedawców piwa na baseballowych meczach.

— Szybko, hasła! — nakazał Hanson. Smart podrywa się ze swojego miejsca i grzebie w metalowej skrzyni przy stole.

— Najwyższy stopień. Żadnych haseł! — wrzeszczy Sullivan i śmieje się.

— Co... jak to, kto to ogłosił? — woła zdumiony Hanson.

— Pańska małżonka, pułkownika — roześmiał się jeszcze głośniejszym dowcipniś Sullivan.

— Przekazuje panu za pośrednictwem Centrali, że kiedy będzie wracać po służbie do domu, ma pan ją zabrać od niejkiej pani Ferguson.

— Dowcip na poziomie niedojrzałych uniwersyteckich młokosów! — Smart zawsze chętnie krytykował młodszego kolegę i nigdy nie zapomniał przypomnieć, czego mu najbardziej zazdrościł: uniwersytetu dla bogaczy.

— Jeżeli się ożenisz, o ile ci miłość do algorytmów na to pozwoli, przejdzie ci ochota do dowcipkowania — wtrącił pułkownik Hanson i dodał: — Skoczę do bufetu.

Smart zakrzyknął za nim:

— Coś faszzerowanego, sałatka z ziemniaków, ananas, dietetyczna pepsi-cola! Już widzę, pułkownika, jak to znika po kolei.

— Dzisiaj dłużej czytałem materiały komputerowe. Przegapiłem śniadanie, a na obiad nie zdążyłem — usprawiedliwił się pułkownik i zniknął w drzwiach.

Ostry ryk syreny przeciął nieporuszoną materię ciszy. Na wszystkich monitorach zaczęły rozbłyskiwać czerwone światła. Pułkownikowi Hansonowi nie było sądzone dojść do bufetu. Smart wybiegł za nim i w otwartych drzwiach krzyknął:

— Panie pułkowniku! Alarm!

— Smart, jeżeli to jeszcze jeden z waszych głupich kawałów, nie daruję! — wrzasnął Hanson i opadł na fotel.

— To niemożliwe... Akurat na naszej służbie — westchnął Sullivan, odczytujący z monitora dane głównego komputera, „Jimmiego”.

— Co się dzieje? — pyta Hanson.

— Przełączcie to z „Jimmiego” na nasze monitory!

— Nieprzyjacielskie rakiety! — krzyczy Sullivan, wpatrując się w monitory.

— Wrogie rakiety lecą na Amerykę! Kierunek i szybkość lotu? Ustalić natychmiast! — rozkazuje Hanson.

— ...Nadzwyczaj szybkie rakiety, chyba z okrętów podwodnych, tak... podwodne — oznajmia pułkownik.

Teraz każde słowo jest nagrywane. Każdy ruch ludzki filmowany przez kamerę. Oficerowie o tym wiedzą, ale nie zwracają na to uwagi. Ich myśli zaprzęta coś daleko ważniejszego.

— Trzy rejony startu. Pod Aleutami, współrzędne 3052, 8018... Tam znajduje się okręt podwodny, który śledzimy już od tygodnia. Pacyfik 62,2396... O tym również wiedzieliśmy... Ale jest jeszcze trzeci! Nowy! Na Morzu Beringa — 1259, 7081... Tego wykrył chyba „Jąkający Bob”. Rakiety lecą... pułkowniku... do miejsc oddalonych siedemset do ośmiuset mil w głąb kraju, gdzieś pomiędzy Utah i Colorado...

Smart patrzy sponad pleców Sullivana, później doskakuje do szklanej mapy:

— To przecież atak wymierzony w nas! Na Colorado Springs! Chcą zniszczyć mózg naszej siły strategicznej!

— Nie tracić nerwów! — krzyczy Hanson i przyciska guzik na pulpicie. Krzyczy do mikrofonu: — Ostrzeżenie dla wybrzeża „Sigma-S”! Oddalony perymetr „Kodiak”. Natychmiast odpalić antyrakiety „Spartak”, gęstość „16”, na lecące cele ze strefy „A” do „G”!

— „Kodiak” — zrozumiałem! Wykonuję! — rozlega się w głośniku przed pułkownikiem.

— Ostrzeżenie dla wybrzeża, bliższy perymetr „Olympia”. Przygotować antyrakiety „Sprint”. Odpalić na lecące cele ze strefy „A” i „G” w czasie „C” plus cztery — dyktuje Hanson.

— „Olympia”, zrozumiałem! Wykonuję! — reproduktor przeniósł z daleka głos dowó-

dcy formacji „Olympia”.

Obrona przed lecącymi raketami jest wielce skomplikowana. Wcześniej, zanim wystartuje antyrakieta „Sprint” — dwustopniowa rakietka na stałe paliwo, o masie trzech ton, długości powyżej ośmiu metrów, uzbrojona w głowicę o sile jednej kilotony trójnitrotoluenowego ekwiwalentu — trzeba nadążyć ze wszystkim w czasie, który nie śmie przekroczyć światowego rekordu w biegu na jedną milę. Najpierw pracuje system dalekiego wykrywania rakiet, składający się ze stacji radiolokacyjnych głębokiego rozpoznania i sprawdzania na Alasce, w Grenlandii i w Szkocji. System ten zdolny jest ostrzegać z wyprzedzeniem o piętnaście minut przy locie na niskoenergetycznych trajektoriach, kiedy maksymalna wysokość drogi lotu wynosi około tysiąca trzystu kilometrów. Może przewidzieć miejsce upadku ograniczonej liczby głowic z dokładnością do trzystu siedemdziesięciu kilometrów w prostej linii i dziewięćdziesięciu kilometrów w odchyleniu bocznym.

W czasie, kiedy kapitan Sullivan przypinał na ramiona złoty listek dębowy majora i zarazem otrzymał rozkaz powołujący go do NORAD-u, wprowadzono już stacje radiolokacyjne głębokiego rozpoznania „PAR” i stacje naprowadzania rakiet „MSR”. Stacja radiolokacyjna „PAR”, nadhoryzontalnego sprawdzania, może wielomegawatową mocą dokonywać superodległych ustaleń celów, rozpoznawać je i oznaczać dla radiolokacyjnych stacji naprowadzania „MSR”. Antenowe urządzenie lokalizuje się w betonowych obiektach o wymiarach sto na sto razy czterdzieści metrów. Każdy z tych potężnych radarów omiata przestrzeń sto razy po tysiąc sto metrów. Stacja pracuje na falach o zasięgu czterysta do pięćset megaherców bądź na długości fal sześćdziesiąt do siedemdziesięciu centymetrów. Ogólna tendencja wykorzystywania zasięgu fal stacji radiolokacyjnych przejawia się w dążeniu do korzystania z wyższych częstotliwości w celu ochrony przed „osłepieniem” przez wybuch jądrowy. Przejawia się jednak również przeciwna tendencja nawrotu do metrowych długości fal. Dowodzą tego dane o roboczych zasięgach fal stacji „PAR”.

Wszystkie stacje radiolokacyjne, projektowane dla NORAD-u, pozwalają z dużą szybkością penetrować obszar. Konieczność wielkiego zasięgu, szybkiej reakcji i wysokiej skuteczności stacji radiolokacyjnych przyspieszyły narodziny komputerów. I to właśnie było zadanie, które powierzono generałowi Barberowi, wbrew jego własnej woli. Nigdy nie był entuzjastą skomplikowanej techniki, zwłaszcza takiej, przy której najważniejsze słowo należało do cywilów, jak na przykład inżyniera Stephensa. Jednakże generał, zdyscyplinowany żołnierz, wykonał i ten rozkaz. Korzystając ze swoich niemałych uprawnień, dołożył starań, by komputery w porę znalazły się w podporządkowanych mu jednostkach. Niedawno wraz z pułkownikiem Hansonem byli na wizytacji bazy „Fairchild” w stanie Waszyngton, z okazji uroczystego uruchomienia uniwersalnego komputera, przeznaczonego do pełnienia specjalnych funkcji, jak na przykład wykrywanie lecącego obiektu, jego rozróżnienie za pomocą porównania odbitego sygnału z pamięcią maszyny, śledzenie lecącego obiektu z określeniem jego pozycji, klasyfikacja wszelkich danych, wymiana informacji między rozlicznymi stacjami radiolokacyjnymi, kontrola pracy całego systemu. Trzysta dwadzieścia pięć tysięcy operacji na sekundę. Jego nowy wariant osiąga już cztery miliony operacji na sekundę!

Podczas pierwszych lat rządów generała Barbera w NORAD-zie wprowadzono jeszcze jedno pożyteczne urządzenie: system radiolokacyjny SLBMDW, przeznaczony do wykrywania rakiet balistycznych odpalających z okrętów podwodnych. System tworzy siedem stacji rozlokowanych wzdłuż wybrzeża Atlantyku i Oceanu Spokojnego oraz na wybrzeżu Zatoki Meksykańskiej. Ich zasięg wynosi około tysiąca sześćset kilometrów. Ta sieć radiolokacyjna, nad której projektem pracował również podpułkownik Smart, rozszerzyła strefę czynności systemu BMWES i wykrywa rakietki lecące z różnych kierunków.

Wypróbowuje się również system, który wprowadzono skonstruowanym kolektywnym wysiłkiem, ale wybitną rolę w tych pracach odegrał inżynier Stephens. System ten oparty jest na działaniu pozahoryzontalnych stacji radiolokacyjnych, zdolnych do wykrywania rakiet na-

tychmiast po ich starcie. Na tej zasadzie oparte są również stacje „Tipi” i „Madre”. Na przykład wybuch jądrowy w południowej części Oceanu Spokojnego wykrył prototyp stacji „Tipi” z odległości dwunastu tysięcy ośmiuset kilometrów.

Bez tych systemów, które w Ameryce jedni wychwalają, inni zaś ganiają, twierdząc przy tym, że nie są pożyteczne i wymagają częstszej wymiany, zespół oficerów pełniący służbę pod nadzorem pułkownika Hansona nie mógłby wydać rozkazu do odpalenia antyrakiet „Sprint”. Hanson często zabawiał się myślami o tym ostatnim „krzyku” techniki wojennej współczesnej doby. Uczestniczył w kilku próbach w Utah, a także na wybrzeżu Oceanu Spokojnego. Antyrakieta startuje ze sztolni za pomocą wytwornicy płynów, a jej napęd stopnia pierwszego uruchomiony zostaje dopiero po opuszczeniu sztolni. Maksymalna szybkość wynosi tysiąc sześćset metrów na sekundę. Wszystko wtedy powiodło się. Ale czy powiedzie się teraz? — pomyślał Hanson. Wtedy również wypróbowywano możliwość zasięgu celów manewrujących i ostatnich stopni rakiet międzykontynentalnych, uzbrojonych w większą liczbę głowic. Zawsze był przekonany, że jednym z możliwych sposobów osiągnięcia zdolności manewru ostatniego stopnia antyrakiety jest wypuszczanie szybko spalanej paliwa do prądu powietrza, opływającego antyrakietę. Ten pogląd napotykał opory i dopiero dzięki obliczeniom Stephensa i wpływom Barbera ta idea mogła się zmaterializować.

Za najważniejszy problem uznali fachowcy z Pentagonu, a także z NORAD-u, rozwój nowej efektywnej broni, tak zwanej bomby spektralnej. W odróżnieniu od zwykłych ładunków jądrowych antyrakiet, działających na głowicę bojową rakiet balistycznych falą ciśnieniową i promieniowaniem cieplnym, bomba spektralna emituje impulsy rentgenowskich promieni o szerokim widmie, od małych aż do potężnej energii. Im większa jest energia tych promieni, tym głębiej przenikają one do głowicy bojowej, wywołując w jej wnętrzu wysoką temperaturę, przy której topią się kable i w ten sposób usuwa się z działania inicjacyjny mechanizm ładunku. Antyrakiety ze spektralną głowicą bojową umożliwiłyby utworzenie strefowej obrony chociażby przeciw mniejszym siłom. Dla antyrakiety „Spartan” przewidywano zestawienie głowicy z ekwiwalentem jednej megatony, która wybuchłaby w odległości tysiąca pięciuset metrów od głowicy rakiety międzykontynentalnej. Przy działaniu promieni „X” brano pod uwagę również dodatkowy czynnik niszczycielski: emisję neutronów. Neutrony przenikając przez głowicę bojową rakiety mogą wywołać przedwczesny wybuch ładunku jądrowego. Nad rozwojem takiej broni, tak zwanej broni czystej lub neutronowej, pracowała przez kilka lat firma „Rand”.

Kiedy pułkownik Hanson wykonał zadanie numer jeden, słowem — kiedy ustalił w praktyce wszystko, co było niezbędne w kwestii obrony antyrakietowej, polecił natychmiast poinformować generała Barbera. Potem nałożył słuchawki, przygotował mikrofon, wcisnął przycisk na pulpicie i pochylił się ku Smartowi:

— Smart, ogłosić pełną gotowość bojową dla rakiet międzykontynentalnych, wariant „Cyklon!” Dla baz „Sawyer” w Missouri, „Kingsley Field” w Oregonie i „British Colombia” w Kanadzie. Start grupy samolotów, nosicieli bomb jądrowych i rakiet powietrze-ziemia, według wariantu „Orzeł Morski”. Stopień „B”. Współrzędne przekazujemy bezpośrednio dowódcom załóg!

Pułkownik otarł pot z czoła. Łyknął trochę wody mineralnej i zwrócił się do Sullivan:

— Natychmiast podajcie mi współrzędne i na bieżąco nanoście zachodzące zmiany!

Tymczasem pułkownik Smart przypatruje się monitorom, na których przesuwają się sztolnie i rampy z gigantycznymi raketami balistycznymi. Po chwili ogłasza:

— Zgrupowanie „Minuteman-I”, blok północny „16”, pełna gotowość bojowa! Zgrupowanie „Minuteman-II”, blok północny „21”, pełna gotowość bojowa! Zgrupowanie „Minuteman-III”, środek „056”, pełna gotowość bojowa!

— Odliczać! — wyrzucił z siebie Hanson.

— Ależ to trzecia wojna światowa! — nie wytrzymał Sullivan.

— Wykonać rozkaz!

— Panie pułkowniku, z powodu jakiegoś okrętu podwodnego, o którym nie mamy żadnych ścisłych informacji, odpalić rakiety na Rosję? Czy prezydent wie o tym i wyraził zgodę?

— Majorze Sullivan, proszę milczeć! — Hanson aż trząsał się z wściekłości. — Jesteśmy żołnierzami i nie zastanawiamy się, dlaczego atakują nas z okrętów podwodnych. To jest wojna! To oni zaatakowali pierwsi! Jasne? Tak jak wtedy w Korei, tak jak w Wietnamie!

Smart melduje:

— Panie pułkowniku, nasze bombowce wzięły kurs zgodnie z rozkazem. Dowódca znał cel. Ten trzeci, nowy, biorą na siebie chłopcy z „Kingsley”!

— Czas? — pyta Hanson.

— Od trzech minut są w powietrzu — odpowiada Smart. — Cel we współrzędnych 3052, 801 zatopią za siedem minut. Pozostałe dwa najpóźniej za dziesięć minut!

Ciszę rozrywa kolejny sygnał syreny alarmowej, tym razem przerywany. Obok szklanej mapy rozjarzyły się żółte punkciki. Sullivan rzuca się w stronę „Jimmiego”, od niego biegnie do wielkiego komputera IBM.

— Panie pułkowniku, oba perymetry sygnalizują, że radiolokatory nie znajdują się w polu widzenia żadnych rosyjskich rakiet!

— Bzdura! Muszą tam być!

— Przykro mi, ale nie ma żadnych! Ani chińskich, ani japońskich. A kto jeszcze mógłby do nas strzelać? — ironicznie zapytuje Sullivan.

Hanson poczuł się dotknięty ironią podwładnego.

— Majorze Sullivan! Każę pana aresztować... jeśli jeszcze raz pozwoli pan sobie na żart w takiej chwili! Sytuacja jest poważniejsza niż się panu zdaje!

W stronę Smarta:

— Smart, szybko zabezpieczyć obraz z satelity! Niech to skierują na ten trzeci okręt podwodny w Morzu Beringa!

— „Bizon”! „Bizon”! — woła do mikrofonu podpułkownik. — Potrzebujemy błyskawicznie synchronizację na kamerę „5”, cel w Morzu Beringa, współrzędne 1259, 7081. Rosyjski okręt podwodny, rzućcie to na infraczerwone widmo i natychmiast porównajcie z obrazem bezpośrednim!

— Tu „Bizon”! Rozumiem. Dam obraz satelity „Amisa”.

Na monitorze przed Hansonem ukazuje się plątanina linii i plam barwnego widma, obraz rozjaśnia się i wnet ciemnieje. Smart pochyła się ku Hansonowi. Półkownik denerwuje się:

— „Bizon”, „Bizon”! Dajcie wyraźny obraz! Obróćcie satelitę co najmniej o trzy stopnie!

— Tu „Bizon”! Zrozumiałem! Wykonuję!

— Wykonuję! Wykonuję! Wsadźcie sobie tego satelitę... Nic nie widzę! Przekażcie bezpośredni obraz!

Na monitorze pokazuje się toń spokojnego morza. Hanson jest zrozpaczony:

— Ależ to jest... Smart, przekażcie im, że mają ten okręt podwodny natychmiast odnaleźć! Za wszelką cenę! Nawet gdyby musiał tam lądować hydroplan i sam admirał Fulton miałby dać nura w głębinę.

Sullivan odczytuje z monitora:

— Pułkowniku, na moje pytanie obrona antyrakietowa z wyspy Johnston odpowiada negatywnie w rejonie Hawajów. Również z atolu Kajalein na Wyspach Marshalla dają negatywną odpowiedź. Niczego nie wykryli!

— Meldunek z „Elżbiety”? — niecierpliwi się Hanson.

— Tajny kod dla systemu lotów patrolowych lotnictwa morskiego z nieustanną kontrolą

w San Diego — odpowiada Smart.

— Mają na swoich samolotach lokatory optyczne z kwantowymi generatorami. Wykryją wszystko, nawet parzące się kraby na dnie Pacyfiku.

— Ale co, u diabła, meldują!?! — wrzeszczy Hanson.

— Nic. Wszystko w porządku!

— Tego mogłem się spodziewać! Nad Ameryką wyrosną za chwilę atomowe grzyby, a my tu prowadzimy gadaninę z półgłówkami!

— Panie pułkowniku, ośmielam się zauważyć, że to już szósta minuta alarmu. Czy prezydent został powiadomiony... — odzywa się Sullivan.

— Dziękuję za przypomnienie, majorze! Kolejność zadań w dowództwie mam tutaj — stuka się palcem w czoło — i to od czasu, kiedy pan dopiero uczył się maszerować. Kopię alarmu przekazano przez komputer generałowi, którego obowiązkiem, jako dowódcy NORAD-u, jest błyskawiczne powiadomienie o wszystkim Białego Domu, nie uważa pan?

— Tak, tylko że...

— Co, tylko że...?

— Po prostu coś mi tu nie gra...

— Przenieś się pan do tej swojej cholерnej Data Control! Tam będzie panu wszystko grać jak w filharmonii!

— Proszę, by zechciał pan mnie wysłuchać, zanim stanie się nieszczęście. Opieram się jedynie na faktach. Rosjanie zaczną atak — wbrew wszelkiej logice, tylko z trzech okrętów podwodnych. Aparat melduje nam o nadlatujących raketach. My jednak wiemy, że Rosjanie, mają gdzieś na Pacyfiku dwa okręty podwodne. Trzeciego dotychczas nikt nie wykrył. Raket też nie wykryto!

— Bo już lecą na nas!

— Nie przechwycił ich żaden nasz radar! A przecież „Jąkający Bob” pracuje bezbłędnie na zasadzie odbicia fal radiolokacyjnych od zjonizowanych warstw atmosfery i od zjonizowanych gazów śladu rakiety... — Sullivan umilkł, później zaś wskazał na jeden z monitorów Smarta:

— Zwiad kosmiczny milczy... Proszę tylko spojrzeć na sygnalizatory dźwiękowe... Cicho jak w kościele.

— Smart, gdzie teraz znajduje się któryś z naszych satelitów serii „A”? — spytał Hanson.

Smart spojrział na monitor:

— „Centaurus” akurat przelatuje terminator i zbliża się ku zachodniemu wybrzeżu.

— Niech przeprowadzi infraczerwona analizę, ale w całym obrazie! — Hanson znów sięgnął po wodę mineralną.

Na centralnym monitorze ukazało się widmo z dziwnymi cieniami.

— Pułkowniku — skomentował Smart — ani śladu po gazach raketowych!

— No, mogę chyba coś przegryźć — odezwał się Sullivan.

— Proszę wyjaśnić to fachowo!

— Uważam, że był to błąd, wynikający z błędu komputera.

— Błąd w IBM? A może w „Jimmim”? Wykluczone! Chyba że wy sami wcisnęliście gdzieś coś, czego wciskać nie wolno, albo nie wcisnęliście tego, co należało!

— Nie jestem operatorem, ale... — wtrącił się Sullivan.

— Do rzeczy! — warknął Hanson.

— Przed chwilą, pobieżnie na razie, elektronicznie, skontrolowałem kierujący system komputera i...

— I co? — Smart oderwał wzrok od monitora.

— Wygląda na to, że operator już wczoraj lub przedwczoraj włożył do aparatu, przez pomyłkę, taśmę z alarmem ćwiczebnym — powiedział Sullivan.



Smart ożywił się:

— A „Jimmi” tego nie indykował?

— To właśnie jest zagadka. Zamiast dać sygnał świetlny, iż chodzi tu o ćwiczebny program, zachowuje się tak, jakby wszystko odbywało się serio. Sygnalizuje i ostro alarmuje.

Na stole przed Hansonem zadzwonił telefon:

— Tak, panie generale! Hanson, słucham! I my to stwierdziliśmy. Rozkaz! Natychmiast wszystko odwołuję! Tak jest! Proszę się nie niepokoić!

Hanson przechylił się z krzesłem do tyłu, ramiona skrzyżował za głową, zamknął powieki. Przez chwilę wyglądało, że zasypia, ale zaraz poderwał się i rozkazał:

— Wszystko zatrzymać! Generał porządnie oberwał z góry. Podobno ani prezydent, ani minister obrony, ba, nawet szef połączonych sztabów przez sześć minut o niczym nie wiedzieli. A ja oberwałem za to, że mam tutaj totalnie zidiociałego faceta przy komputerach. Słyszysz pan, Sullivan? To panu ułatwi odejście z lotnictwa! Ale mam wątpliwości, czy po tym... hm... po tym zdarzeniu zechcą pana przyjąć do Data Control.

— Pułkowniku, jeżeli pan pozwoli zadam jedno pytanie — odezwał się Sullivan.

Hanson spojrział na niego spode łba.

— Co podamy do wiadomości publicznej?

— Nie pański interes — odrzekł pułkownik. — Czyż cały przebieg akcji nie stanowi dowodu, że jesteśmy przygotowani do udzielenia natychmiastowej odpowiedzi przeciwnikowi, i to w ciągu kilku minut? Czy nie była to doskonała okazja do przeegzaminowania ludzi i sprawdzenia gotowości bojowej sił strategicznych USA?

W drzwiach sali operacyjnej wyrósł nagle generał Barber.

— Pułkowniku, zechce pan...

Chwycił Hansona za łokieć i wyszli na korytarz.

— Słucham, panie generale — Hanson szybko zapiał guzik przy bluzie.

— Daj spokój, Lawrence. Tu chodzi o ważną sprawę. Jestem wobec ciebie szczerzy. Cała ta akcja była niepodważalnym dowodem, że jesteśmy patałachami. P a t a ł a c h a m i !

Ale... dlaczego tak uważasz? Podjęliśmy natychmiastową akcję, nie?

— Zawiodły, totalnie zawiodły systemy techniczne. Wszystkie te zafajdane komputery, radary, urządzenia obliczeniowe i kontrolne!

— Kto o tym wie?

— Telefonował do mnie minister...

— I co?

— Wszystko runęło, Lawrence — oświadczył chłodno generał.

— Dwie minuty, podkreślam: całe dwie minuty wcześniej, zanim zdołaliśmy wykryć błąd, oni otrzymali telefoniczną wiadomość na utajnione numery telefonów domowych, że to jest właśnie błąd techniczny! Nasz minister, szef połączonych sztabów, obaj senatorzy ze stanu Colorado, gubernator stanu Colorado, przewodniczący senackiej Komisji Obrony, dyrektor Towarzystwa Telewizyjnego NBC, naczelny redaktor „Washington Post”. W „New York Timesie” nie zastali naczelnego, przekazali wiadomość redaktorom dyżurnym...

— Co przekazali? Kto? Nie denerwuj mnie — wciąż nie mógł pojąć Hanson.

— Właśnie to, że już od czterech minut trwa fałszywy alarm, że ci w NORAD-zie to szaleńcy, wysyłający bez zgody prezydenta rakiety jądrowe przeciwko Rosjanom! I to, że błąd tkwi w przestarzałej i nieprecyzyjnej aparaturze obliczeniowej oraz technice ostrzegawczej. I co najważniejsze, trzymaj się teraz, Lawrence, że do „Jimmiego” jakiś debil wsadził taśmę z ćwiczebnym programem...

Stephens przewracał się z boku na bok. Połowe łóżko jęczało pod jego ciężarem. Przed oczyma nieustannie snuły się zdarzenia pierwszego dnia pobytu w „bazie”. Od początku do końca. I od końca do początku. Nie potrafił zerwać tego filmu. Kiedy mu się prawie udało,

pojawiał się obraz z innego miejsca. I wszystko zaczynało się od nowa.

Rozkaz malutkiego Wielkiego Szefa wykonał. Bez trudności włączył się do systemu telekomunikacyjnego NORAD-u. Najpierw jednak wplątał się w „grę” jakiś bank w Ohio, później komputer z jakiegoś hotelu obok Las Vegas i wreszcie nawet morska stacja przeładunkowa w kanadyjskim Vancouver. Szybko zdołał usunąć te „szumy”. Na ekranie komputera, który nie należał do ostatnich generacji, ale też nie można było zaliczyć go do najgorszych, ukazały się wreszcie znaki wywoławcze „Kryształowego Pałacu”.

Jego kod przyjęty został również w podziemnym bunkrze na pustyni Nevada. Reszta była już tylko sprawą rutyny. Rozgrywka międzykodowa. Wybór jednej propozycji ze strategicznych gier wojennych, które „Jimmi” chętnie zaproponował. Jasne polecenia, które jego „dziecię” w NORAD-zie nie mniej ochoczo spełniało. Jak gdyby również na odległość tysięcy kilometrów znało palcowanie swego twórcy. Stephens podrzucił mu myszkę do zabawy. Ta wślizgnęła się przez maleńki otworek do jego programu, żeby się trochę podkarmić. Kiedy się nasyciła, a naprawdę miała co chrupać, o czym świadczy zamieszanie wywołane w siłach strategicznych, sama wybrała sobie układ przypadkowych liczb z fikcyjnej rezerwy w pamięci „Jimmiego”. Najpierw dokonała skrótu i zastawiła „Jimmiego”, żeby nie włączając się śledził bój w eterze, bez zakomunikowania aktorom, że chodzi tylko o alarm ćwiczebny, o przećwiczenie sztabowej reakcji komputerowej w którejś ze strategicznych sytuacji. Później myszka sama wygumkowała swoją obecność w NORAD-zie, przepisała do innych zapisów i komputer znowu powrócił do normalnego stanu.

W NORAD-zie nie mogą jednak służyć absolutne tępaki i dlatego, kiedy stwierdzono, że dzieje się coś podejrzanego z „Jimmim”, natychmiast zgłoszono zastrzeżenie co do jego funkcjonowania, a wreszcie sięgnięto po starą i wypróbowaną metodę — wymówkę, iż całą winę za wynikłą aferę ponosi komputer. To było dobre na użytek publiczny. Ale wewnątrz? Generała Barbera o mało nie trafił szlag. Zarządził natychmiastowe dokładne sprawdzenie wszystkich systemów. Jeżeli nie nakazano mu tego już wcześniej z góry — rozważał Stephens. Nie mógł jednak wiedzieć dokładnie, chociaż nakłaniano go, by ponownie połączyć się z „Jimmim” i tę ewentualność sprawdził. Co im zresztą pozostaje? Jak by na ich miejscu zachowywał się on sam? Odpowiedź miał na podorędziu i tylko jedną: błąd tkwi w komputerze. Czyż nie takiej właśnie odpowiedzi życzyli sobie jego nowi mocodawcy? Zapewne.

Przekręcił się na drugi bok. Sen nie nadchodził. A później znowu, już po raz któryś, zjawia się ta, za przyczyną której zgodził się przyjąć uczestnictwo w tej zwariowanej grze. Zwariowana gra? Przyłapał samego siebie na świętokradztwie. Śmie to nazywać „zwariowaną grą”? Przecież to oczywista zdrada stanu...

Mężczyzna z wnętrza samochodu, którego uczyniono jego osobistym sekretarzem, bezpośrednio przed akcją numer jeden zatelefonował do niego komunikując, że szef również dotrzymuje zobowiązania, wynikającego z obustronnej umowy. Poprosił Stephensa, by wyszedł korytarzem ku metalowym drzwiom, które przed nim i za nim jakaś nieznana siła otwierała i zamykała. Samochód dostawczy stał na swoim miejscu. Stephens wszedł do skrzyni. Z kąta rozległ się znajomy głos. Oznajmił, że pojedą w stronę szosy. Po pięciu minutach jazdy dodge znieruchomiał. Ktoś z zewnątrz uchylił wieczko. Maleńka szparka, nie większa niż w skrzynce pocztowej. Do wnętrza przeniknęło trochę światła. Stephens odruchowo spojrzął na towarzyszącego mu człowieka. Zauważył jedynie dwoje oczu i usta. Mężczyzna w kącie był przygotowany. Maską wtapiała się w ciemne tło. Idealnie kryła całą twarz.

— Stephens, to nie ma sensu, niech pan się nigdy nie ogląda za siebie...

— To światło...

— Do rzeczy! — przerwał nieznajomy. — Proszę sięgnąć ręką pod siedzenie!... Co pan znalazł?

Stephens macał obiema rękami po podłodze, aż wreszcie wyczuł pod palcami jakiś przedmiot.

- Lorneta — usłyszał głos z kąta.
- Co mam z tym robić?
- Proszę przystawić do szczeliny i spojrzeć.

Inżynier wykonał polecenie. W niewielkiej odległości od nich stał długi, komfortowy samochód. Lincoln? Centurion? Mało ważne. Głupstwo. Po obu stronach auta stali dwaj mężczyźni. Jeden miał ciemne okulary i biały kapelusz. Drugi stał odwrócony plecami. Mała głowa prawie doskonale kryła się pod potężnym kowbojskim rondem.

- Co pan widzi, panie Stephens? — spytał „sekretarz”.
- Samochód i dwóch facetów w nie dopasowanych kapeluszach.
- A co jeszcze?
- Nic, pustkę.
- Niech pan uważnie patrzy...

Stephens zaczął manipulować ostrością. Przesuwał lornetę w lewo i w prawo. Przewiercał wzrokiem samochód i obu mężczyzn. Wciąż ten sam obraz. Zaostrzył na dalszy plan. Znowu nic. Pustynia. W dali na skłonie góry dostrzegł wreszcie sylwetkę. To ona. Barbara. Zaostrzył jeszcze bardziej. Ale już nic nie widział, gdyż oczy wypełniły się łzami.

- Barbara! Moje dziecko!
- A jednak widzi pan coś interesującego? — wesoło zapytał głos z kąta.
- Barbara! — Stephens cisnął lornetą o podłogę i doskoczył do szpary, licząc, że córka usłyszy jego głos. Chociaż wyteżył wszystkie siły, Barbara nie reagowała.
- Niech pan się uspokoi, Stephens! — ostro nakazał głos. — Ma pan tu radiotelefon. Pańska córka również tym dysponuje. Proszę tylko przycisnąć ten guziczek u dołu, przytrzymać i może pan mówić. A kiedy pan odbiera, zwolnić guziczek. Ma pan dwie i pół minuty na rozmowę. Jasne?

- Dlaczego nie mogę rozmawiać z nią bezpośrednio!? — wykrzyknął Stephens.
- To niemożliwe. Jedyne przez aparat...
- Ależ to... oszustwo!
- Jakie oszustwo? Szef wyraźnie powiedział: „pokażemy panu córkę”, co wcale nie oznaczało, że będzie pan mógł się z nią pieścić! Teraz nie pora na takie rzeczy. Pozostały panu już tylko dwie minuty...

Stephens nacisnął przełącznik. Niezdolny był jednak wykrztusić jednego słowa.

Mężczyzna w kącie ponąglał go. Sekundy upływały. Stephens nie mógł się opanować. Ręce mu drżały. Zwolnił przełącznik. Mógł odbierać.

- Halo! Halo, tatuśku! — rozległ się głos Barbary.

Powiedziała „tatuśku”. Stephens przełknął łzę i roztrzęsionymi rękami przycisnął aparat do ucha. Ile to już czasu upłynęło, kiedy ostatni raz powiedziała mu to ciepłe słowo — „tatuśku”?... Czy w ogóle powiedziała tak kiedykolwiek?... Daremnie szperał w pamięci, nie mógł sobie przypomnieć. Ale przecież musiała mu tak kiedyś powiedzieć. Albo przynajmniej musiała tak o nim mówić pod jego nieobecność. Mogła mieć wtedy sześć albo siedem latek. Stephens akurat znajdował się w najbardziej pracowitym czasie, bez reszty poświęcał się „Jimmiemu” i pojawiał się w domu bardzo rzadko, nie częściej niż dwa razy w tygodniu. I chociaż ją zaniedbywał, zawsze był dla niej tatuśkiem. Być może nawet chwaliła się przed kimś, że tatuśkiem pracuje w lotnictwie. A może ktoś chciał jej dokuczyć, a ona powiedziała, że poskarży się tatuśkowi. W jakich innych okolicznościach mogła posłużyć się tym czarodziejskim słowem?... Stephens łamał sobie głowę, ale nic nie zdołał wymyślić. Przekonał się, jednakże, iż wbrew wszystkiemu, co nastąpiło w jego rodzinie, pozostał dla niej tatuśkiem.

- Stephens, niechże pan się odezwie do córki! — rozległ się głos w kącie samochodu.
- Tatuśku, ja wiem, że mnie słyszysz...! Powiedziano mi, że jednak zdecydowałeś się przyjść. Chcę byś wiedział, że czuję się dobrze. Nie martw się o mnie. Teraz zakomunikowano mi, że jeszcze dziś udam się do Kalifornii... Halo, tatko? Odezwij się!

Stephens zdołał się opanować i całą siłą przycisnął przełącznik.

— Barbara! Powiedz mi prawdę! Jak się z tobą obchodzą? Szybko, powiedz mi wszystko! — wyrzucił z siebie gorączkowo.

— Tatko! Zapewniam cię, że nikt mnie nie skrzywdził. Właściwie to nawet nikogo nie widziałam z bliska. Rozmawiają ze mną tylko telefonicznie albo przez telewizję.

— Córeczko! Jak tylko...

— Dość bredni! Proszę się szybko pożegnać z córką! — odezwał się surowo głos z kąta i wyszarpnął Stephensowi radiotelefon, żeby uwolnić kanał dla Barbary.

— Tatusku! Nie martw się o mnie! Zatelefonuję do ciebie z Kalifornii! Trzymam kciuki! Jestem z tobą!

To były ostatnie słowa, które tego dnia usłyszał z ust Barbary. Powtarzał je nieustannie. Nie było w tym jakiejś aluzji? Być może zapewniając go o tym, jak jej jest dobrze, zamierzała coś przekazać? Dać mu do zrozumienia? Dlaczego powiedziała, że „trzyma kciuki”? Czyżby przeczuwała, jakiej żądają od niego ofiary? A może tak jej nakazano powiedzieć? Nie zmusili ją do tego słodkiego głosu i zapewnień, że wszystko z nią jest w porządku? Niepewność, niepokój nurtowały go nieustannie. Spojrzał w końcu na całą sprawę również od drugiej strony. Widział ją żywą i zdrową. Słyszał i rozpoznał jej głos. Był to głos zrównoważony. Spokojny. Nie budzący cienia podejrzenia.

Stephens z jękiem przewrócił się na wznak. Po zakończeniu „gry” musiał powrócić do samochodu dostawczego. I znowu w drogę. Szef był najwyraźniej zadowolony z jego roboty: raz jeszcze pokazano mu Barbarę. Z podobnego miejsca jak poprzednio, kiedy mógł zamienić z nią kilka słów. O radiotelefonie tym razem nie było mowy. Chcieli jedynie, by sam przekonał się, iż córka naprawdę opuszcza dotychczasowe miejsce pobytu w Nevadzie.

Wreszcie zasnął. Wszystkie obrazy, które przypominały pełne napięcia chwile poprzedniego dnia, zapadły gdzieś głęboko w podświadomość. Ulokowały się, uporządkowane, jak informacja przyjęta do pamięci dyskowej komputera. Do ich wywołania nie potrzebował jednak żadnego wcześniej opracowanego kodu. Zdarzają się przecież chwile, które same wpływają na powierzchnię i przypominają się. Ale bywają też i takie, których nie sposób poruszyć najpotężniejszym lewarem. Spał długo. Nikt go nie budził. Południowe słońce i tak nie przenikało do bunkra. Wypał się do syta, jeżeli w ogóle można tak powiedzieć o śnie w podziemnej komorze.

W czasie, kiedy wstawał z rozklekotanego łóżka polowego, o kilka tysięcy kilometrów na wschód, w Waszyngtonie, dramat trwał. Szpalty gazet pełne były wiadomości, domysłów i spekulacji wokół komputerowej pomyłki i techniki ostrzegania w Colorado Springs.

Naprawdę zebrała się Rada Bezpieczeństwa Narodowego. Kiedy Stephens golił się maszynką baterijkową, uczestnicy posiedzenia superstrategicznego ciała doradczego przy prezydencie USA akurat się rozchodzili. A kiedy łykał kawę, którą wraz z grzankami, serem, dżemem, jajkami na szynce i jogurtem przyniósł mu chłopak z pończochą na twarzy — minister obrony USA dotarł już z posiedzenia Rady do swego gabinetu w Pentagonie. Niecierpliwie oczekiwał na niego zespół telewizyjny Towarzystwa ABC. Sam tych ludzi zaprosił, żeby za ich pośrednictwem opinia publiczna otrzymała wiarygodne informacje o wczorajszym wydarzeniu. W momencie, kiedy Stephens z apetytem zabrał się do szynki, młody reporter zmusił ministra do ugryzienia najbardziej kwaśnego jabłka: poprosił o szczegółowe wyjaśnienie tego, co się stało.

— Na wstępie chcę zwrócić uwagę — minister uśmiechnął się do kamery i dłonią lekko przejechał po ciemnych, przyprószonej siwizną włosach — że sam poprosiłem o to spotkanie. Chcę rzetelnie, bez emocji, przedstawić opinii publicznej to, co rozumiemy pod „wczorajszym wydarzeniem”. Korzystając z okazji pragnę również poinformować o najważniejszych problemach naszej polityki obronnej. Jedno bez drugiego nie istnieje i właściwie istnieć nie może. W tym momencie występuje przed Komisją Obrony Senatu przewodniczący kole-

gium szefów sztabów, admirał Finnley, żeby zreferować ten temat naszym prawodawcom.

Gabinet ministra był dostatecznie przestronny. Ale i tak wypełniony został do ostatniego miejsca, do ostatniego centymetra kwadratowego. Ludzie. Stojaki. Reflektory. Plansze. Kamery. Magnetofony. Kable. Wszystko to przesłaniało flagę amerykańską, starannie ustawioną w kącie pomieszczenia. Rolety ściągnięto aż do podłogi. Na biurku stos biuletynów, gazet, teczek z dokumentami.

— Panie ministrze, telewidzów na pewno będzie interesować wyjaśnienie, dlaczego to, co wydarzyło się wczoraj, mogło się wydarzyć, skoro mamy tak doskonałą technikę, która ponoć wielokrotnie kontroluje samą siebie? Jak to w ogóle możliwe, żeby błąd komputera w dowództwie sił strategicznych spowodował, iż przez sześć minut los narodów świata zawisł na włosku?

Po krótkim namyśle minister zabrał głos:

— Odpowiem tak: Czyż nie byłoby hazardem wyeliminowanie, na przykład, broni pancernej z systemu obronnego kraju jedynie z tej przyczyny, że zdarzył się przypadek, iż podczas ćwiczebnego strzelania rozerwała się lufa armatnia bądź, że taką broń dostał do rąk samobójca? Sprawa z komputerami wygląda podobnie. Tak samo jak po szablach nastąpiły karabiny i wiążące się z nimi „wypadki przy pracy”, tak teraz pojawiły się komputery jako absolutnie niezbędna część składowa naszego systemu obrony. Wraz ze wszystkimi problemami, a więc również z ryzykiem ich błędów, nie dających się przewidzieć.

— Czy to jest właściwe stawianie sprawy? Jak można porównywać karabin z komputerem? Kiedy zawodzi karabin, może to się stać tragedią dla jednego człowieka, ale błąd komputera w systemie strategicznym spowodować może katastrofę milionów, dziesiątków milionów ludzi! — wykrzyknął reporter i usiłował przesunąć pośród stert papierów mikrofon bliżej brody ministra.

— Musimy uświadomić sobie rzecz zasadniczą. Bez komputerów, czy nam się to podoba, czy też nie, nie można mówić o żadnej obronie Stanów Zjednoczonych. Wszak nikt, nawet największy geniusz, nie zareaguje w takim czasie, w jakim decydują komputery. A do tego jeszcze kontrolują one własny system. Taki system musi być logicznie zaprogramowany. Tak, żeby komputer decydował i mógł kierować wojennymi akcjami.

— Wczorajsze wydarzenie świadczy jednak, że komputery, stanowiące rzekomo najskuteczniejszy instrument naszej obrony narodowej, nie mogą budzić zaufania. Wręcz przeciwnie, zachowały się raczej jak instrument naszego narodowego zatracenia — ironizował dziennikarz, a kamerzysta celował wprost w twarz ministra, jakby chciał ją prześwietlić na wylot.

— Czy taki bądź podobny błąd może się powtórzyć? — padło pytanie.

— Tego nie da się wykluczyć — odparł chłodno minister. — Nasi specjaliści czynią jednak wszystko, żeby ryzyko sprowadzić do minimum. Niech tam dzieje się, co chce, dla nas jednak liczy się przede wszystkim to, że wojskową siłę uderzeniową Stanów Zjednoczonych można utrzymać na należytych poziomie tylko przy odpowiedniej technice komputerowej.

— Co może pan powiedzieć, panie ministrze, o jakości jej programu?

Minister zgarbił się w fotelu, jakby chciał się bronić przed tym pytaniem, i powoli, cedząc słowa, odpowiedział:

— Tak, trzeba przyznać, że dzisiaj jakość „software”, to znaczy jakość oprogramowania, jest rzeczywiście różnorodna i można by ją oceniać w skali od bardzo dobrej aż po chaotyczną. Mówię o tym otwarcie dlatego, gdyż musimy włożyć więcej wysiłku, więcej ogólnonarodowego wysiłku i więcej środków, aby naszą technikę wojenną, naszą zdolność odstraszenia zachować właśnie dzięki rosnącym wymaganiom wobec techniki komputerowej.

— Może pan to skonkretyzować? — zapytał dziennikarz, a oko kamery przywarło do gładkiej twarzy ministra.

— Oczywiście. Musimy nieustannie doskonalić technologię tworzenia programów oraz

technologię własnej mikroelektroniki...

— ... a więc nie tylko „software”, ale także „hardware”, jak mówią specjaliści — przerwał ministrowi któryś z reporterów.

— Tak, również „hardware”. Taka technologia ma znaczenie szczególne, powiedziałbym nawet, że ma dla nas znaczenie żywotne. Jest nie do zastąpienia dla rozwoju bardziej skomplikowanych systemów obliczeniowych. Tak zwanych systemów C<sup>3</sup>I: Command. Control. Communication. Intelligence. A zatem dowodzenie, kontrola, łączność i wywiad. Ten system ma później koordynować systemy obserwacji, wczesnego ostrzegania, toku informacji, zabezpieczenia łączności i, oczywiście, również własnych broni, szybko wartościując rzeczywistą sytuację.

— Również to, czy chodzi o rzeczywisty atak?

— To się rozumie. Ale przede wszystkim wydatnie wspiera czynniki podejmowania decyzji, łączności oraz odszyfruje zamierzenia przeciwnika. Jak widzicie, nasz system C<sup>3</sup>I ma de facto taki sam priorytet, jak rakiety.

— Panie ministrze, proszę pozwolić, że w imieniu milionów naszych zainteresowanych widzów zadam panu pytanie w tej sprawie, o której tutaj mówimy, ale pod nieco innym kątem widzenia — odezwał się reporter.

— Proszę, proszę pytać. Cieszę się, że widzowie interesują się tymi zagadnieniami. Pragnę ich szczerze pozdrowić. Mam dla was jeszcze tylko sześć minut. Proszę pytać, jestem do waszej dyspozycji — powiedział uśmiechnięty minister, spoglądając ostentacyjnie na zegarek.

— Jakie mogą być międzynarodowe reperkusje wczorajszego wydarzenia?

— O, przepraszam! — minister uniósł dłonie i uczynił gest Piłata umywającego ręce, co miało oznaczać, że za nic nie ponosi odpowiedzialności, gdyż wina spoczywa na innych. — Polityka zagraniczna to co innego niż obronność. Z tym pytaniem radziłbym się zwrócić do Departamentu Stanu.

Reporter skinął głową na kogoś z kolegów. Ten podał mu gazetę. Młody człowiek rozwinął ją tak, by kamera mogła pokazać artykuł zakreślony czarną obwódką. Później obrócił się do ministra:

— W ubiegłym roku we wrześniu Michael Klare z Waszyngtońskiego Instytutu Studiów Politycznych napisał w „Le Mond” tak: „Mianowanie nowego ministra spraw zagranicznych nie powinno przesłaniać faktu, że decydującą rolę w prowadzeniu dyplomacji odgrywa Pentagon. Pod jego wpływem wypracowane zostało całkiem nowe stanowisko wobec ZSRR”. Co pan na to, panie ministrze?

— Decydującej roli w naszej polityce zagranicznej nie odgrywa, w świetle naszej Konstytucji, Pentagon, ba, nawet nie Departament Stanu, ale sam prezydent. To po pierwsze. Zadaniem amerykańskiej polityki zagranicznej w dzisiejszej sytuacji nie jest już stabilizacja wyścigu zbrojeń między ZSRR i USA, ale raczej dążenie do ograniczenia sowieckich korzyści politycznych w świecie. To po wtóre.

— Zazwyczaj bywa również „po trzecie”. Czy ma pan coś takiego? — wtrącił niespodziewanie reporter.

Minister przez chwilę szukał czegoś w papierach po prawej stronie biurka. Znalazł tekst z nagłówkiem Pentagonu.

— Jedno takie „po trzecie” — odparł — powinienem mieć w tej piramidzie papierów... Jedną chwileczkę... Już mam. To moje wystąpienie przed słuchaczami Akademii Wojskowej w West Point. Przemawiałem tam w ubiegłym tygodniu. W rewanżu ja zabawię się w cytaty: „Popieramy długofalowe polityczne i wojskowe zmiany wewnątrz imperium, co ułatwi budowanie spokojniejszego i bezpieczniejszego światowego porządku. Wszystkie pozostałe aspekty dyplomacji amerykańskiej w tej koordynowanej ofensywie przeciwko Rosjanom muszą być podporządkowane głównemu celowi — powodować takie zmiany”.

— Dlaczego „ofensywa”? Czy naprawdę Rosjanie są tak ekspansywni i zagrażają naszym żywotnym interesom? Czy ich bombowce nadlatują nad naszą ziemię? A może zainstalowali okręty podwodne w okolicach San Francisco? Czyżby wczorajsze wydarzenie nie obaliło tych bredni? Właśnie tego, panie ministrze, pojąć nie mogą nasi widzowie.

— Z wami, dziennikarzami, zawsze są tylko same kłopoty! Wszystko upraszczacie! — odciął się minister z powściągliwym uśmiechem.

— Czy zna pan pogląd byłego ambasadora w Moskwie i jednego z naszych najwybitniejszych sowietologów, Georgesa Kennana? — dopytywał się reporter.

— Nie. Sam pan widzi jak bardzo jestem zavalony służbowymi sprawami. Nie starcza mi czasu na to wszystko...

— Szkoda. Kennan przecież nie tak dawno rozmawiał z panem...

— Nic mi o tym nie wiadomo, żebym...

— Kiedy występował pan przed Komisją Zagraniczną w Nowym Jorku — powiedział dziennikarz, zaglądając do notesu — było to dwudziestego kwietnia osiemdziesiątego drugiego roku... Powiedział pan wtedy, że Rosjanie panoszą się i zagrażają naszym interesom prawie wszędzie na kuli ziemskiej...

— No, a co z tym Kennanem? — minister, nieco podenerwowany, przerwał dziennikarzowi.

— Znowu cytuję: — „Nie znajduję żadnego dowodu na to, by móc twierdzić, iż Związek Radziecki prowadzi ekspansywną politykę...”

— Pan profesor buja w obłokach. Żyje wśród książek — machnął ręką minister.

— Panie ministrze, co pan sądzi o możliwości utrzymania pokoju?

— Pokój zapanuje wtedy, kiedy Stany Zjednoczone i ich sojusznicy rozłożą blok komunistyczny i zlikwidują jego potęgę.

— Rozkładać, likwidować! Nie za mocno powiedziane?

— Za mocno? Dlaczego?

— W erze rakiet? Kiedy komputery popełniają błędy?

— Kto mówi o rakietach? I co tu mają do rzeczy błędy komputerów?

— A zatem, zdaniem pańskim, jak należy obronić pokój? — nalegał reporter.

— Wydaliśmy przecież strategiczną dyrektywę. „Defense Guidance”. Instrukcję obrony. W niej znajdzie pan wszystko.

— Co to znaczy: wszystko?

— Na przykład tutaj — powiedział minister i sięgnął po dokument z czytelnym napisem: DEFENSE GUIDANCE. MINISTRY OF DEFENSE WASHINGTON, D.C. — W tej obowiązującej centralnej dyrektywie napisano jasno, że należy wykorzystać polityczne, gospodarcze i wojskowe słabe miejsca w krajach Układu Warszawskiego; jednostki przygotowane do operacji specjalnych, na przykład „zielone berety”, przystąpią do akcji w Europie Wschodniej.

— Tego przecież za Łabą nie przepuszczą! To oznacza wojnę, a nie utrzymanie pokoju! — wykrzyknął dziennikarz, a kamerzysta zrozumiał, że powinien znów wycelować obiektyw w twarz ministra.

— Nie ma pan racji! Wcale tak nie Jest! Czytajmy dalej. „Równoległe z tym zostaną w USA wybudowane takie systemy wojskowe, z którymi Rosjanie sobie nie poradzą, gdyż wymagałyby to od nich niezmiernych nakładów, otworzyłyby się nowe obszary dla wielkiego wyścigu zbrojeń, zaś istniejące sowieckie inwestycje zestarzałyby się”.

— Jak z tym wszystkim pogodzić zobowiązanie prezydenta co do rokowań ze Związkiem Radzieckim?

— Rokowaliśmy w Genewie. O broni strategicznej, a także o broni średniego zasięgu. Nie odeszliśmy od stołu rokowań. Chcemy rokować dalej.

— Jak?

— Powiedziałem o tym głośno w West Point. Rozmowy z Moskwą poprowadzimy oględnie i pragmatycznie, a równocześnie będziemy energicznie wzmacniać amerykański potencjał jądrowy — odpowiedział przyglądając włosy minister.

— Czyżby nasz potencjał nie był dostatecznie silny?

— Co pan może o tym wiedzieć?

— Wiem, że jest silny aż nadto!

— Prawda jest całkiem inna. Gdybyśmy mogli zamienić się miejscami, widziałby pan stąd te sprawy całkiem inaczej — odrzekł z uśmiechem minister i wskazał palcem przed siebie.

— Panie ministrze, kiedy szedłem tutaj, minąłem przed budynkiem delegację światowego ruchu pokoju młodzieży z transparentami, na których widnieją hasła, że ZSRR i USA mają tyle broni jądrowej, iż mogą się nawzajem wielokrotnie unicestwić...

Minister z pobłażliwym uśmiechem na twarzy przerwał dziennikarzowi:

— Sam pan widzi, że niedoświadczeni młodzi ludzie nie rozumieją, przez swoją naiwność, że właśnie w tej dziedzinie równowaga nie istnieje, że Rosjanie nas wyprzedzili.

— A gdybym poprosił pana ministra, aby zechciał im pan to osobiście wyjaśnić, zgodzi się pan pójść do nich? — zapytał dziennikarz.

— Chętnie bym z nimi podyskutował. Często to robiłem. Człowiek nie może karmić tych młodych ludzi frazesami — trzeba sięgnąć po argumenty. Przykro mi, ale nie dopuszczają do tego moi ludzie z ochrony. Mają swoje rozkazy — z uśmiechem zażenowania wymówił się minister.

— Panie ministrze — usiłował jeszcze spytać o coś reporter, ale zagłuszył go ostry dźwięk brzęczyka. Kobięcy głos oznajmił przez głośniki: „Panie ministrze, za pięć minut zaczyna się w «0-1» narada szefów sztabów”.

— Och, sorry! — usprawiedliwił się minister, rozkładając ręce. — Tych kilka wyznaczonych minut upłynęło, jak widzicie, bardzo szybko. Przekonaliście się sami, ile ważnych spraw mam na głowie. Pozdrowienia dla widzów ABC!

Sala posiedzeń Komisji Obrony Kongresu. Boazerie na ścianach. Długi stół pokryty zielonym sukniem. Karafki z wodą, chromowane naczynia z kawą i herbatą. Pośrodku siedzi Eugene Finnley w mundurze z dystynkcjami admirała. Jest tutaj najwyższym przedstawicielem amerykańskich sił zbrojnych, przewodniczącym szefów sztabów. Dziarski, niskiego wzrostu, blisko sześćdziesiątka, okrągła twarz, łysa głowa, okolona po bokach wianuszkami czarnych kędziorów. Wokół stołu senatorowie. W kącie sali zwinięta flaga amerykańska. Na ścianie portrety postaci z amerykańskiej historii.

— Panowie — rozpoczął szczerzy, ryży, w okularach, senator ze stanu Idaho — pozwólcie, bym na tym nadzwyczajnym wspólnym posiedzeniu naszych obu senackich komisji, Obrony i Spraw Zagranicznych, powitał admirała Finnleya i podziękował mu, że zechciał w tej nerwowej sytuacji przybyć do Kongresu. Tak się złożyło, że zaraz po tym, jak admirał przyjął tę wysoką i odpowiedzialną funkcję, nastąpiło znane wam wydarzenie z komputerem w Colorado Springs. Jest to pierwsze wystąpienie admirała przed Kongresem, dlatego też proszę panów senatorów, aby wykorzystali tę okazję i zechcieli zapoznać się z poglądami nowego przewodniczącego szefów sztabów. Proszę, panowie, o pierwsze pytanie!

Senator przewodniczący posiedzenia siadł i rozejrzał się wokół. Gestem nauczyciela zareagował na pierwszą uniesioną do góry rękę.

— Panie admirałe, jestem senatorem z Maine, nazywam się Brown. Wczorajszy wypadek w NORAD-zie stawia przed naszymi wyborcami wiele znaków zapytania. Jesteśmy zobowiązani na nie odpowiedzieć, jak tylko potrafimy najlepiej. Jeżeli w ogóle potrafimy odpowiedzieć. Dlatego zwracam się do pana, czy będzie pan mógł udzielić odpowiedzi na następujące pytanie: czy system NORAD-u zdałby egzamin, gdyby Stany Zjednoczone naprawdę znalazły się w niebezpieczeństwie?



— Moja jednoznaczna odpowiedź do wczoraj brzmiałaby: tak. W NORAD-zie jest coś nie w porządku, wierzę jednak, że nie będzie to miało charakteru trwałego.

— Podjął pan ze swej strony jakieś kroki, żeby się to nie powtórzyło? — chciał wiedzieć senator Kenn.

— Naturalnie! W NORAD-zie już działa dwudziestoosobowy zespół inspekcyjny, W skład którego wchodzi nie tylko pracownicy ze wszystkich formacji sił zbrojnych, ale również naukowcy z uniwersytetów, konstruktorzy z resortu przemysłu oraz eksperci z IBM, General Electric, Westinghouse i wielu innych renomowanych firm.

— Czego pan oczekuje od tego zespołu? — spytał przewodniczący.

— Ludzie ci otrzymali jasne zadanie: Uczynić wszystko, aby w ciągu dwudziestu czterech godzin znana była odpowiedź na pytanie zasadnicze: co trzeba uczynić, by podobny błąd się nie powtórzył.

— Ile prawdy jest w tym — odezwał się jeden z senatorów, siedzący przy końcu stołu — że to podobno nie pierwszy przypadek? Komputery w NORAD-zie ponoć często zawodzą, zwłaszcza kiedy w przewody elektryczne trafia piorun. A to jest przecież fakt, którego nie można tolerować w urządzeniu reagującym nawet na najmniejsze odchylenia w dostawie prądu.

— Od czasu objęcia przeze mnie tej funkcji, a więc od niespełna miesiąca, nie było jeszcze takiego zdarzenia, ale w zapisach odnotowane są podobne fakty, coś zatem z tymi piorunami się dzieje...

— Co pan zamierza uczynić w tej kwestii?

— Po kompleksowym badaniu i szczegółowej opinii trzeba będzie również kompleksowo udoskonalić aparaturę. Na razie jesteśmy w stadium diagnostycznym. Na terapię przyjdzie czas. Proszę dać mi ten czas — dodał grzecznie, ale stanowczo admirał.

— Ile dolarów będzie kosztować taka terapia? — padło pytanie z prawej strony admirała.

— Trudno powiedzieć już dzisiaj, jakie techniczne zabiegi będą niezbędne dla rekonstrukcji — admirał Finnley pozwolił sobie na łyk kawy.

— A kiedy stanie się to wiadome, będzie pan znał sumę? — marudził ten sam kongresman.

— Proszę mi wybaczyć, admirale — przerwał ponownie senator Brown. — Dlaczegoż to uważa pan, że niezbędna będzie techniczna rekonstrukcja, skoro nie wiadomo jeszcze, co faktycznie było przyczyną, a oprócz tego, jest to przecież całkiem nowa technika, jeśli się nie mylę, liczy sobie zaledwie pięć lat.

— Chodzi naprawdę o kosztowną sprawę, ale na obronę kraju nikt nie będzie szczeni środków — oświadczył pewnie admirał.

— Panie admirale, a czynnik ludzki? Jaką rolę mógłby odegrać przy ustalaniu przyczyn zawodności naszych systemów strategicznych? Obawiam się, że siły zbrojne nie mają teraz przyzwoitych kadr do swojej dyspozycji...

Ta ostatnia wypowiedź padła z ust senatora Williamsa reprezentującego stan Wisconsin.

— Mnie również ta sprawa niepokoi, panie senatorze — powiedział Finnley. — Należy zauważyć, że w niektórych dziedzinach osiągnęliśmy stan wręcz krytyczny. Statystyka mówi, że tylko w ubiegłym roku trzeba było zwolnić ze służby w broni jądrowej około dwóch tysięcy ludzi. Tysiąc dwustu pięćdziesięciu narkomanów. Ponadto tysiąc z powodu różnych wad: fizycznych, psychicznych bądź charakterologicznych. To jeszcze nie wszystko. Dalszych ośmiuset zdyskwalifikowano z powodu niesubordynacji w służbie. Około trzystu stanęło przed sądem za różne przestępstwa — od kradzieży po gwałt. Małą pociechą w tym smutnym bilansie jest to, że około ośmiuset zniechęconych, zgorzkniałych oficerów i podoficerów permanentnie domaga się zwolnienia ze służby...

Po tej wypowiedzi admirała zapadła cisza. Niektórzy z obecnych odnotowali dane

złowieszczej statystyki. Inni ponuro patrzyli przed siebie. Ciszę przerwał przewodniczący. Zachęcał do stawiania dalszych pytań. O głos poprosił senator Barry Wasserman z Arizony.

— Czy nie istnieje podejrzenie, że owe błędy maszyn i ludzi spowodowane są machinacjami obcych agentów?

— Agenci nie wchodzą w grę, ale obce mocarstwo na pewno — odrzekł admirał. — Chociażby z tego względu, że jego dążenie do panowania nad światem ustawicznie zmusza nas do wprowadzania doskonalszych, a zatem coraz bardziej skomplikowanych systemów obronnych, co, naturalnie, musi pociągać zdarzenia podobne do wczorajszego. Powiedzcie zresztą sami, moi panowie, z ręką na sercu: w waszym aucie, które ma na liczniku sto tysięcy mil, nie zawodzi czasami świeca?

Niektórzy parsknęli śmiechem, inni milczeli, trzech albo czterech członków Komisji Obrony biło brawo. Najgłośniej Wasserman z Arizony. Później poprosił o głos pensylwański senator Frank Pellingier. Zapytał, czy można zapobiec ryzyku zawodności systemów strategicznych podpisując odpowiednią umowę ze Związkiem Radzieckim i pozostałymi mocarstwami jądrowymi. Admirał, który z tytułu swej funkcji miał silny wpływ na metodę rokowań wszystkich delegacji amerykańskich podczas rozmów rozbrojeniowych, i to do tego stopnia, że bez jego akceptacji nie mogła zostać opracowana ani zatwierdzona żadna umowa w tej kwestii, powstrzymał się od wypowiedzi.

— Panie admirale — odezwał się senator Pellingier — czy mógłby pan nam powiedzieć, jaki jest pański prywatny pogląd na porozumienia, które były dotychczas podpisane w dziedzinie ograniczenia zbrojeń?

— Będę szczery. Równają się zeru.

— Należy przeto rozumieć, że pan się z nimi nie utożsamia? — zapytał senator Kenn.

— Cóż, to kwestia sumienia, panowie.

— Panie admirale, mógłby pan to uzasadnić? — indagował senator Pellingier.

— Cała historia porozumień o ograniczeniu wojskowych czynności jest właściwie historią zakłamania — admirał sięgnął po filiżankę.

— Zapewne ma pan na myśli układy z czasów, kiedy nie istniała jeszcze broń masowej zagłady? — nie ustępował senator Pellingier.

— Także te. Szanowny senatorze Pellingier! Pan, jako znany specjalista od historii współczesnej, niewątpliwie zechce przyznać mi rację, gdy powiem, że te tak zwane systemy rozbrojeniowe po pierwszej wojnie światowej tak uspiły czujność Francji, Wielkiej Brytanii, a także naszego kraju, że wreszcie Hitler wszystkich nas prześcignął i oszukał.

Senator Kenn gwałtownym ruchem zdejmując okulary i zwraca się wprost do admirała:

— Wracam do podstawowego pytania. Według pana oznacza to, że poszukiwanie dróg do rozbrojenia jest zbyt cennym luksusem dla Stanów Zjednoczonych?

Admirał uśmiecha się, wzrusza ramionami, rozkłada ręce.

— Panie senatorze Kenn — mówi — proszę mi wybaczyć, że posłużę się pańskimi słowami. Stany Zjednoczone nie mogą sobie pozwolić na luksus, jakim jest zawieranie niewygodnych i niesprawiedliwych dla nich układów:

— A czy zawarto kiedyś taki układ? — naciska Kenn. — Każdy dokument o tematyce wojskowej musi być przecież równaniem, w którym nie może być po jednej stronie więcej, po drugiej mniej. Wszyscy w końcu wiemy ze szkoły — a przynajmniej powinniśmy wiedzieć — że prawa strona równania zawsze równa się lewej i na odwrót.

Senator Field z Oregonu energicznie włącza się w tę wymianę zdań ironiczną uwagą:

— Naturalnie, jeżeli tylko przyjmiemy, że w pańskim rodzinnym Brooklynie tak właśnie uczono matematyki, o ile w ogóle tam uczono matematyki.

Admirał pochyla głowę i wpatruje się w filiżankę.

— Czcigodny senator Field — zauważa cierpko — zechce wybaczyć, ale u nas w Brooklynie, jak zresztą w Nowym Jorku w ogóle, studenci już dawno mieli za sobą całki,

kiedy poszukiwacze złota w jego rodzinnym Oregonie zaledwie potrafili zliczyć na brudnych palcach, ile mają uścić barmanowi za whisky!

Na sali śmiech, ruch, ożywienie.

— Wysoko cenię zmysł humoru pana admirała, jak również jego gotowość do przypomnienia tutaj nazwy stanu, który reprezentuję — zareagował Field dolewając sobie kawy — nadal wszakże nie otrzymaliśmy odpowiedzi na pytanie, jaka jest, jego zdaniem, możliwość zawarcia równoważnych układów o rozbrojeniu.

— Układy to sfera polityki. A polityka nie jest matematyką. Przynajmniej tego nauczyło mnie życie.

Senator odstawił filiżankę i spojrzał na admirała.

— Innymi słowy nie wierzy pan, że układy mogą być skuteczne? Że to, co obowiązuje jedną stronę, musi obowiązywać drugą?

— Patrzę na sprawę jedynie pod kątem interesów Stanów Zjednoczonych.

— To wielce nas interesuje, ma się rozumieć, wszystkich — senator Kenn nie dawał za wygraną. — Po to przecież jesteśmy tutaj. Ale Ameryka pragnie i musi zawierać układy ze światem. A świat jest silny!

— Odpowiem na to — powiedział admirał Finnley. — W całej naszej historii zawarliśmy jedną jedyną dobrą umowę o rozbrojeniu. Było to w kwietniu tysiąc osiemset siedemnastego roku. Po wojnie z Anglikami o granicę kanadyjską. Niewątpliwie szanowni panowie senatorowie pamiętają lata szkolne, kiedy to nauczyliśmy się, że umowa określała, iż granica ta demilitaryzuje się w ograniczonej strefie przy Wielkich Jeziorach i możemy, to znaczy Stany Zjednoczone mogą, mieć cztery wojenne okręty, natomiast Wielkiej Brytanii zakazuje się posiadania w tej strefie więcej niż cztery zwykłe statki handlowe.

Senator Pellinger machnął obojętnie ręką.

— To archaiczne układy. Z czasów, kiedy pływało się pod żaglami.

— Ale obowiązują do dziś. A ze strony Wielkiej Brytanii nie grozi nam niebezpieczeństwo — dodał admirał chłodno.

— Jakie jest zatem pańskie podejście do rokowań o ograniczeniu broni, która najbardziej zagraża ludzkości. Konkretnie mówiąc: broni jądrowej? — dopytywał się Pellinger.

— Mój pogląd na tę sprawę jest prosty. Układy SALT wynegocjowano zbyt, powiedziałbym, pochopnie i lekko, ale też bardzo ciężko z tej przyczyny wchodzą one w życie. Macie przykład z SALT-2. Tym razem nie sprzedaliśmy się...

— Jak to rozumieć?

— Tak, że nie były to umowy ograniczające, lecz umowy umożliwiające — podkreślił z całym naciskiem admirał i kontynuował: — Umożliwiały przecież dalszy przyrost broni jądrowej do przygotowanych uprzednio maszyn.

Senator Kenn nasadził okulary i zerknął do poczynionych notatek:

— O ile wiem, były prezydent Nixon podpisał układ SALT-1 w siedemdziesiątym drugim, jako umowę, która zasadniczo ograniczyła budowę obronnych urządzeń antyrakietowych w USA i w ZSRR, a także zahamowała przyrost strategicznych okrętów podwodnych. Były prezydent Carter w siedemdziesiątym dziewiątym podpisał układ SALT-2, który ograniczył kwantum broni strategicznych obu stron w przybliżeniu o dziesięć procent, tak że w ogóle, po raz pierwszy w historii takich rokowań, układ ten określił również barierę jakościowego wzrostu.

— To absurdalne! — odezwał się chłodno admirał.

Senator Field równie chłodno odparł:

— Tak więc nazywa pan, admirale, absurdem rzeczywistość! Nasi najlepsi eksperci studiowali potencjał obu stron ponad dziesięć lat prawie pod mikroskopem. Po tysiącokrotnym sprawdzeniu wszystkich możliwych wariantów wprowadzenia takiej czy innej liczby i jakości broni doszli do wniosku, że taki układ można zapewnić bez żadnego ryzyka.

— Dodałbym do słów senatora Fielda, że pan, panie admirale, należał przecież do specjalistów, którzy uczestniczyli w tych wydarzeniach — wtrącił Pellingier.

— W porę zrozumiałem, że układy SALT pomijają jeden mały detal — odpowiedział admirał.

— Zechce może pan łaskawie wyjaśnić, co to ma znaczyć? — z lekką ironią w głosie odezwał się senator Kemball z Utah.

Admirał skinął głową i niemalże recytował każde słowo, jak gdyby właśnie na tej odpowiedzi zależało mu najbardziej:

— Moi panowie. Układy SALT były konstruowane tak, że nie powstrzymywały ani też nie mogły powstrzymać powiększania się sowieckiego potencjału jądrowego.

— Co zamierzacie uczynić w tym kierunku? — rzucił pytanie senator Kenn.

— Już uczyniliśmy — sprecyzował admirał. — W siedemdziesiątym szóstym wstąpiłem do Komitetu do Spraw Współczesnego Niebezpieczeństwa. Za pośrednictwem tego komitetu od samego początku forsowaliśmy...

Senator Field nie wytrzymał:

— ...nową i nową broń jądrową! Doskonale i produkcja okrętu podwodnego „Ohio” z raketami typu „Trident”! Nowy strategiczny bombowiec B-11! Nową raketę międzykontynentalną „MX”! To wszystko jest bronią nowej generacji, bronią konfrontacyjną!

— Z Rosjanami trzeba rozmawiać tylko z pozycji siły. Mówiąc ściślej: nawet jeśli niczego przeciw nim nie użyjemy, oni muszą mieć świadomość, że zawsze istnieje taka możliwość — uzupełnił admirał Finnley.

— Jest pan zatem za ograniczoną wojną jądrową? — spytał Pellingier.

— Fakty mówią, że od roku czterdziestego piątego, od szoku po pierwszych eksplozjach jądrowych, nikt dotychczas w żadnym konflikcie tej broni nie zastosował...

— Chce pan przez to powiedzieć, że ograniczona wojna jądrowa jest nierealna? — interesował się senator Aicburton z Missouri.

— Wojna jądrowa jest tym, czym jest. Nasze zadanie, to przede wszystkim uniknięcie jej skutków, słowem: niedopuszczenie do tego, by w ograniczonej bądź w totalnej postaci dotknęły one terytorium Stanów Zjednoczonych.

— Panie admirale — nie poddawał się Pellingier — pozwoli pan, że zadam jeszcze kilka pytań, które uważam za bardzo ważne.

— Jestem gotów, senatorze Pellingier.

— Sądzi pan, że w przypadku totalnej wojny, mam na myśli strategiczną wojnę jądrową między USA a ZSRR, kraje te mogłyby w pewnym sensie przetrwać?

— To by zależało od zasięgu nuklearnej konfrontacji. Rasa ludzka, senatorze Pellingier, jest bardzo odporna i szybko się regeneruje.

— Aha, ludzka rasa, ale ja się pytam, czy któryś z krajów może przeżyć!?

— Cóż, istnieją straszliwe statystyki, które wyliczają, ilu ludzi zginie. Niektórzy obliczają, że po jednej stronie byłoby dziesięć milionów ofiar, po drugiej zaś okragła setka. To jeszcze nie cała ludzkość...

— Dziękuję panu, po takiej odpowiedzi nie mam już ochoty na dalsze pytania — powiedział Pellingier i zatrzasnął notes.

— A ja, jeśli można, mam jeszcze ostatnie pytanie natury, powiedziałbym, porządkowej. Jaką koncepcję zalecałby pan naszemu prezydentowi? — odezwał się senator Kenn.

Admirał spojrział na dygnitarzy jak na rekrutów szorujących koszarowe latryny, Postanowił dać cywilom po nosie.

— Prezydent zna moją koncepcję, już mu ją przedłożyłem. Zaproponowałem trzy rzeczy. Po pierwsze: nie dawać Rosjanom nic za darmo ani też tego, co może nieopatrnie przyrzeczono w kampanii przedwyborczej. Po drugie: rokować z Rosjanami tak, jak przykazywał Lyndon Johnson. Prawą rękę wyciągać do podania, lewą zaś zawsze mieć podniesioną, zaci-

śniętą w pięść i przygotowaną do zadania ciosu. A po trzecie: powiedziałem mu tak — „Panie prezydencie, wierzę, że nigdy nie doczekam chwili, kiedy przebudziwszy się sięgnę po gazetę i zobaczę na fotografii, jak serdecznie obejmuje się pan z rosyjskim przywódcą”...

\*

Od dziewiątego listopada, kiedy to dowództwo NORAD-u stanęło na głowie za przyczyną Stephensa, nie upłynęły jeszcze trzy dni. Mały Wielki SzeF wezwał inżyniera na kolejną telewizyjną rozmowę.

— Stephens, wykonał pan pierwsze zadanie. Widzi pan, że my również dotrzymujemy słowa. Ujrzał pan córkę i mógł pan z nią porozmawiać. Teraz jednak ma ochotę na pogawędkę z panem generałem Barber. I to natychmiast.

Po tych słowach mały człowieczek zachichotał. Stephens, który widział jego plecy, nie mógł nie zauważyć, że od ostatniego seansu szef ma jakby jeszcze bardziej zmiętą marynarkę. Butelka z brązowym płynem była tym razem tak odwrócona, że świeciła etykietką: „Old Smuggler”. Stary przemytnik. A więc jednak szkocka whisky.

— Barber?! — zaskoczony całkowicie wykrzyknął Stephens. — Jak tutaj za inną trafił?

— Spokojnie, Stephens — powiedział SzeF. — Nie popełniamy żadnych głupstw. Tutaj nie trafił i nie trafi, nawet gdyby jego stryj był ministrem komunikacji. Telefonował do hotelu w Myrtle Beach. Południowa Karolina. Tam przecież spędza pan urlop...

— Ach, tak — z ulgą odetchnął Stephens.

— Generał telefonował przed kwadransem. Nasz człowiek w recepcji powiedział mu, że jest pan na plaży. Teraz pana poszukuje i za chwilę odnajdzie. Pan zatelefonuje do swego szefa i przyzwoicie się zamelduje.

— Ale co mam powiedzieć, jeżeli zażąda natychmiastowego przerwania urlopu?

— Pańskie zmartwienie. Musi pan wymyślić jakąś wymówkę. Przede wszystkim należy go uważnie wysłuchać, żebyśmy wiedzieli, o co mu chodzi. Żebym nie zapomniał: tu, w Nevadzie, jest teraz godzina ósma, u pana generała dziewiąta, u pana zaś, Stephens, w Myrtle Beach, jest już jedenasta czasu wschodniego. Pogoda w całej Karolinie wspaniała. Bez jednej chmurki. Temperatura powietrza dwadzieścia trzy stopnie, wody dwadzieścia jeden. To wystarczający powód, żeby nie psuć pan sobie urlopu.

Urządzenie telefoniczne, na które dotychczas Stephens nie zwracał uwagi, zaczęło cicho brzęczeć. Czerwone światelko migotało pod napisem „rozmowy międzymiastowe”. Usłyszał, jak ktoś prosi do hotelu „Beach” w Myrtle Beach Południowa Karolina pana generała Barbera. Jakiś kobiecy głos, który nie brzmiał zbyt uprzejmie, wypytywał na drugim końcu, czy będzie to rozmowa służbowa.

— Halo! Czy to sekretariat generała Johna Barbera? — włączył się Stephens i przedstawił się.

— To cóż, Stephens, macie tam jakąś maleńką plażę, że już telefonujecie. Albo telefon pływa razem z wami w wodzie? Jak się panu żyje?

— Dziękuję, panie generale. Dobrze. Niebo bez jednej chmurki. Kąpię się tuż pod oknami hotelu. Woda dwadzieścia jeden stopni, powietrze dwadzieścia trzy. A dopiero jedenasta. Po południu woda będzie już jak kawa! — Stephens wiedział, że w NORAD-zie nagrywana jest każda rozmowa. I nie tylko tam. Spostrzegł na monitorze, że małemu Wielkiemu SzeFowi ktoś podał słuchawki, które szybko nałożył na uszy.

— Przykro mi, Stephens, że niepokoję pana na urlopie, ale zmusiły mnie do tego okoliczności i chcę przygotować pana do niezbyt przyjemnej konieczności...

— Słucham, panie generale.

— Wyniknęły pewne trudności... chyba domyśla się pan, w czym rzecz...

— Nie, zupełnie nie — odpowiedział inżynier.

— Czyżby nie widział pan sobotniego wystąpienia ministra w telewizji?

— Jakiego ministra? — szczerze zdziwił się Stephens.

— A cóż to, gazety w Karolinie nie wychodzą? — generał podniósł głos. — Na Boga! Stephens. Panu to się żyje! Nam tutaj sypią się gromy na głowę, a pan się beztrząsco chlupie w ciepłutkiej wodzie. Kiedy mogę pana oczekiwać?

— Rozkazuje pan przerwać urlop, generale?

— Dziś jeszcze nie, ale pojutrze wszystko się wyjaśni. Proszę być na miejscu, bym w każdej chwili miał pana pod ręką!

— Proszę polegać na mnie, panie generale. A może w określonej godzinie ja zatelefonuję do pana? — zaproponował Stephens.

— Zgoda. Proszę telefonować o czternastej, według waszego czasu!

— Będę punktualny.

— Stephens?

— Słucham, panie generale!

— Żeby nie zapomnieć, dziękuję za widokówkę!

Żaróweczka przestała migotać. Mały człowieczek na monitorze odłożył słuchawki.

— No, panie Stephens — odezwał się obrócony plecami do inżyniera. — Słyszał pan, że spadają tam na nich gromy. Stąd wniosek, że będą pana wkrótce potrzebować w NORADzie.

— Raczej tak, tak to zrozumiałem. Generał nie lubi, kiedy w tarapatach nie ma pod ręką swoich ludzi.

— Rzecz w tym, panie Stephens, że tutaj potrzebny jest pan bardziej. To właśnie jest tak zwana wyższa konieczność.

— Przecież sam pan powiedział, że wykonałem zadanie!

— Tak, zadanie pan wykonał. Ale ściągnęliśmy pana dla wykonania nie zadania, lecz zadań. Pańska córka wyjechała do Kalifornii po wykonaniu przez pana zadania numer jeden? Wyjechała. Telefonowała stamtąd? Telefonowała. Teraz wykona pan zadanie numer dwa, my zaś przesuniemy ją bliżej domu. Na pogranicze stanów Oregon i Kalifornia. Sama to panu potwierdzi przez telefon.

— Czego chcecie jeszcze ode mnie? Przypuszczam, że już zagarnęliście swoją dolę?

— Na podstawie czego tak pan sądzi? — warknął mały Wielki Szef.

— A cóż innego mogliście zyskać... pięć albo dziesięć milionów za to, że błędy w systemie strategicznym się nie powtórzą.

— Mądra głowa. Bardzo mądra głowa! Tylko że ma to mały haczyk.

— Jaki haczyk?

— Muszą nam uwierzyć!

— Jak to uwierzyć? Tego nie rozumiem!

— Zrozum pan, Stephens, że przecież po tym zdarzeniu każdy mógłby zgłosić się do nich i podawać się za autora włamania do elektronicznych systemów sił zbrojnych. Dlatego cała akcja musi być powtórzona. Odezwiemy się do nich nie po odwołaniu alarmu, jak zrobiliśmy tym razem, lecz podczas trwania alarmu. A ponieważ mają nasz głos nagrany na taśmę i nasz kod z telexu, którym zdublowaliśmy żądanie pieniędzy, nie będą zaskoczeni, kiedy znowu się odezwiemy. W ten sposób udowodnimy, że to właśnie my jesteśmy tymi, którzy narobili im bigosu i że jesteśmy gotowi odwołać całą akcję, jeżeli tylko spełnią nasze żądanie.

Stephens zrozumiał, że szantażyści nie zdołali dopiąć swego. Oficjalne czynniki prawdopodobnie nie przestraszyły się groźby, chociaż ukryły przed opinią publiczną fakt przeniesienia do najbardziej czułego miejsca w strategicznym systemie obronnym Stanów Zjednoczonych szantażysty, o którym nikt nie może na sto procent powiedzieć, czy stanowi rzeczywiste zagrożenie, czy też tylko jego cień.

— Stephens — powiedział szef, ocierając brodę wierzchem dłoni. — Nic nie da się zrobić. Znadto się sprawy rozhuściły. Nie możemy sobie pozwolić na luksus odłożenia ich na jutro. Nie wolno niczego odkładać, Stephens.

— Do czego znowu chcecie mnie zmusić? — Stephens zdobył się na ton stanowczy.

— Ja pana do niczego nie zmuszam — zaśmiały się plecy. — Zgodnie z naszą umową, domagam się wykonania zadania numer dwa.

— A to co znowu?

— Raz jeszcze wsadzi pan rączkę w pokrzywy. Jeden numer, góra dwa, a zaręczam, że pańska córka zatelefonuje do pana razem z żoną, dziadkiem i babcią. Chyba warto, nie?

— Co mam zrobić? Którego generała doprowadzić do takiego stanu, by wyładował w wariatkowie?

— Tym razem dopieści pan admirała! W Bangore!

— Tych Bangore jest od liku. O ile wiem, kilka jest w Maine, w Michigan, w Pensylwanii i chyba w Washington.

— Pomiął pan, chyba świadomie, Bangore, gdzie stacjonują okręty podwodne. Bangore w zatoce Puget Sound, do której dostać się można jedynie przez Cieśninę Juana de Fuca.

Dlaczego akurat Wielki Szef wybrał ten cel? — zastanawiał się Stephens przy komputerze, przygotowując kody i perforację programu. Czy będzie to miało znaczenie przy pertraktacjach? Chyba tak. Stephens musiał liczyć się z tym, że w NORAD-zie ktoś mógłby powiązać niektóre fakty: podczas manewrów, jakie w ostatnim czasie zostały im narzucone, inżynier Stephens znajdował się gdzieś w nieznanym miejscu. Widokówkom i rozmowom telefonicznym z Karoliny mogli wprawdzie wierzyć, ale jak długo?

Stephens wrócił myślami do Bangore. Przebiegły manewr karzelka. Przecież właśnie tam mieści się nowa baza strategicznych okrętów podwodnych, operujących na Oceanie Spokojnym, duma amerykańskiej admiralicji.

W Bangore kotwiczą pierwsze okręty gorączkowo budowanego systemu raketowo-jądrowego okrętów podwodnych „Ohio”. Okręt podwodny tego typu prześciga swoją długością nawet waszyngtoński Monument. Każdy egzemplarz kosztuje dwa miliardy dolarów. W swoim wnętrzu kryje dwadzieścia cztery rakiety balistyczne „Trident-1”. Każda z rakiet może unieść siedemnaście głowic jądrowych na odległość siedmiu tysięcy trzystu kilometrów. Podczas piętnastu minut można odpalić wszystkie rakiety.

Przypomniawszy sobie instruktażowy film, który wyświetlano w NORAD-zie. Baza w Bangore położona jest w Kanale Hooda. Wyposażono ją w najnowocześniejsze urządzenia. W sekcji „napraw bieżących” kotwiczą okręty z wymiennymi elementami, które po każdym powrocie okrętu podwodnego z rejsu zastępują zużyte części. Jest tam również suchy dok o głębokości ponad dwudziestu metrów, najgłębszy suchy dok, jaki marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych kiedykolwiek wybudowała. Cztery kilometry dalej znajduje się specjalne kotwicowisko do manipulowania raketami jądrowymi. Seria przystosowanych do tego podnośników i dźwigów wpuszcza rakiety do kanałów wyrzutni, wydobywa inne, wymienia głowice bojowe i pomaga przy konserwacji wszystkich systemów pokładowych.

Inżynier Stephens otrzymał jako zadanie numer dwa symulowanie ataku lotniczego, nie raketowego. Zrozumiał, dlaczego taką podjęli decyzję. Cel kryje się w stosunkowo skomplikowanych warunkach terenowych. Rakietę nie ma wiele czasu na odnajdywanie celu. Tu zaś potrzebne jest precyzyjne, chirurgiczne cięcie. To znaczy trafić w stałe obiekty w bazie i zatopić oba strategiczne okręty podwodne. Mogą tego dokonać ludzie, mający możliwość podejmowania decyzji według aktualnych warunków. Właściwy lot, a więc około trzech tysięcy kilometrów, potrwa co najmniej trzy godziny. To bardzo ważny czynnik. Pozostawia obrońcom dość czasu, by nie poddali się panice i mieli czas do podjęcia rozważnych decyzji, a ponadto, aby Stephensowi pozostało wiele cennych minut na odwołanie alarmu i na wysłanie wiarygodnej informacji, że jest to kolejna pomyłka w programie. Ludziom Szefa starczy nato-

miast czasu na telefoniczny szantaż.

Edward Stephens włączył najpierw terminal komputera, a zaraz potem sprzężony aparat telewizyjny. Ściślej mówiąc, przygotował sobie jego ekran. Temperaturę niezbędną do jego użytkowania osiągnął prawie tak szybko, jak przy ostatnich kolorowych telewizorach z automatyczną regulacją. W tyle, za nim, stali trzej mężczyźni z twarzami osłoniętymi przezroczystą tkaniną. Filmowali, fotografowali, zapisywali. Czyżby mieli zamiar szantażować później i mnie? — rozważał Stephens kartkując notatki, zapisane kolumnami cyfr. A może chcą się nauczyć podłączania do elektronicznych systemów? Muszą jednak dobrze wiedzieć, że kiedy Stephens wróci do NORAD-u, postara się o zmianę sposobów tworzenia haseł i kodów.

Najpierw należało połączyć się z „Jimim”. Chodziło o klucz do komputerów dalekiego ostrzegania Zachodniego Wybrzeża, które będą najbardziej podatne na przyjęcie fałszywych informacji. Stephens wprawdzie znał wiele cyfr i ich wariacje, więcej nawet niż powinien, nie wbił sobie jednak do głowy kodów z ostatniego tygodnia dla zachodnich systemów radarowych. Zastanawiał się chwilę, które stacje powinien wybrać do gry. Jeżeli chodzi o radarową, zdecydował się natychmiast. Wybierze tę najbardziej niezawodną, radar OTH-B na Alasce, przy bazie lotniczej „Elemendorf”. Ten potrafi obmacać cały obszar za horyzontem przez odbicie fal od jonosfery, aż do wysokości około trzydziestu pięciu kilometrów. Jako drugi obiekt do rozgrywki wybrał latający i ostrzegawczy system AWACS. Samolot boeing-707 skonstruowany jest tak, by mógł przekazywać ściśle informacje o latających obiektach. Dzięki superprecyzyjnemu impulsowemu radiolokatorowi firmy Westinghouse AWACS potrafi przechwycić i zidentyfikować naraz czterysta samolotów z odległości pięciuset sześćdziesięciu kilometrów na wielkich wysokościach i do czterystu kilometrów przy wysokościach mniejszych. Dziewięć ekranów na pokładzie, sterowanych najdoskonalszymi mini-komputerami, zawsze precyzyjnie określi pozycję celu, bez względu na to, czy leci bardzo nisko, czy wysoko.

Stephens musi dostać się do ich bazy w kalifornijskim Castle. Wprawdzie jeszcze nigdy nie dobierał się z „Jimim” do tych miejsc, ma jednak pewne doświadczenie z dostawianiem się do lotniczych komputerów pokładowych. Podczas manewrów lotniczych udało mu się za pomocą gier strategicznych wywołać na ekranie samolotów B-52 z bazy w Wurtsmith, Michigan, wrażenie, że zbliża się cały rój bombowców nieprzyjacielskich od północy, przez biegun północny. Zrobił to tak wiarygodnie, że miejscowy dowódca dał rozkaz do startu podległych mu formacji lotniczych, aby jak najprędzej opuściły obszar zagrożonego lotniska. Arbitrom ćwiczeń, wbrew wszelkim wysiłkom, nie udało się nie dopuścić do startu dwóch tych potężnych latających twierdz, które później musiały przez wiele godzin krążyć nad Michigan i pozbywać się paliwa, żeby móc bezpiecznie lądować.

Inżynier nacisnął klawisz. Na ekranie błysnął napis. Potem jeszcze dwa znaki. Następnie wszystko zaczęło mrugać i pojawił się tekst:

MIDDLAND BANK. DYREKCJA PÓŁNOCNO-WSCHODNIEJ SEKCJI. WŁĄCZ, PROSZE, 3418.

Bank na pewno jest rzeczą dobrą — uśmiechnął się w duchu Stephens. — My jednak musimy dostać się z północnego wschodu na zachód do Colorado. Do „Jimiego”, żeby nas doprowadził do radarów daleko na zachodzie i północy. Wcisnął kolejne klawisze. Pojawiły się tablice.

— Do diabła! — zaklął cicho. — Jak to się tutaj dostało? Teraz, dla odmiany, Chicago. Wykaz wyższych uczelni. Prawdopodobnie włączył się na uniwersytecki system stanu Illinois. Kiedy woda w rzece wartko płynie, niesie ze sobą wszystko, czego człowiek nie potrzebuje. Faktem jest jednak, że Chicago położone jest bliżej Colorado Springs niż ten bank w Middland. Tak, a teraz bezpośrednio wybrać NORAD. Na ekranie mignęło kilkadziesiąt znaków, aż wreszcie wyłonił się napis:



## IDENTYFIKACJA NORAD DARON ROZPOZNANA.

Stephens wystukał szybko „numer osobisty” swego głównego komputera. Otrzymał błyskawiczną odpowiedź.

SYSTEM PRZYJMUJE. 2111212.

Jesteśmy w domu. Zaczął pracować na klawiaturze. Od tej chwili nie zwracał uwagi, co dzieje się wokół niego. Stał się wirtuozem klawiatury, która daje wspaniałe popis solowy. Jego słuchaczami i widzami byli trzej gangsterzy i ich Szeft, śledzący ów koncert przez kamerę telewizyjną. Milczący podziw zamaskowanych gangsterów zastępował głośne owacje wypełnionej sali koncertowej. Ich spojrzenia nie kryły podziwu dla mistrzostwa inżyniera, który ma dla nich zarobić stertę dolarów. Było to uznanie profesjonalistów, jakiego nie wyraża się na każdym kroku.

ROZEJRZYJ SIĘ WOKOŁO. JESTEŚ SAM?

Stephens wystukał rozkaz dla „Jimiego”, chcąc przekonać się, czy nie jest przypadkiem połączony z innym fanatykiem gier strategicznych. Trzeba mieć absolutną pewność, że nikt trzeci nie uczestniczy w grze.

JESTEM SAM.

Odpowiedź nie uspokoiła Stephensa i dlatego wydał kolejny rozkaz.

NIE OTRZYMAŁEŚ DZISIAJ POLECENI?

„Jimmi” odpowiedział natychmiast:

BEZ TWOJEGO 2111212 DOSTAŁEM DWA.

Stephens drażył:

OD KOGO? JAKIE POLECENIA?

Na ekranie pojawiły się znaki, które Stephens z zainteresowaniem zanotował na papierze.

OD 3822 SAMOKONTROLA PRZEJŚCIA MIĘDZY GRAMI.

OD 2015 CZUŁOŚĆ NA KODY ZEWNĘTRZNE.

Ach, tak — uśmiechnął się Stephens. A więc osobiście pan generał Barber. Na ten miesiąc miał właśnie numer identyfikacyjny 3822. Niewątpliwie ustalali z jakąś komisją, czy nie pozostało coś podejrzanego w „mostkach” między poszczególnymi scenariuszami gier strategicznych. Gdyby ktoś obcy usiłował, nawet mając właściwy kod, zmusić „Jimiego” w dyletancki sposób do rozegrania sytuacji na terminalach w „Kryształowym Pałacu”, taka próba powinna być zarejestrowana na taśmie, zapisującej odpowiedzi poszczególnych graczy. A numer 2015? Tego numeru Stephens nie znał. Ale z pozycji, którą „Jimmi” oznaczył jako „czułość na kody zewnętrzne”, można wnioskować, że mógł to być któryś z członków komisji kontrolnej wyłonionej przez Pentagon. Stephens wystukał:

PODAJ WYNIKI PODŁĄCZEŃ 3822 i 2015.

Ekran kilkakrotnie rozjarzył się do niebieskiej barwy i zaraz potem pokazał dane.

DLA 3822 8254.

DLA 2015 2180.

Stephens w mig zrozumiał. Kod 8254 oznaczał, że w programie ani w pamięciach nie pozostały żadne ślady po resztkach informacji. Na „mostkach” jest zatem czystutko. Pierwotne rozkazy Stephensa o zbliżających się nieprzyjacielskich okrętach podwodnych, ślady po złośliwej myszce, już nie istnieją. Nigdy ich nie było. A liczba 2180? Oznacza wyższy stopień czułości urządzenia na jakiegokolwiek zewnętrzne impulsy. Innymi słowy: „Jimmi” nie spał, kiedy ktoś próbował go omamić fałszywym alarmem. Wręcz przeciwnie, pracował bezbłędnie. Szedł na całego. Takie przekonanie muszą mieć teraz wszyscy ci, którzy powątpiewali w czystość sumienia „Jimiego”. W NORAD-zie musieli jednoznacznie dojść do wniosku, że „Jimmi” nie ponosi żadnej winy. Błąd musiał zatem tkwić gdzieś w subsystemach. Prawdopodobnie jeszcze go poszukują. Niewątpliwie właśnie to stało się powodem telefonu zakłopotanego Barbera do Myrtle Beach.

ROZPOCZNIEMY GRĘ. PRZYJMUJESZ?

Inżynier nie ustawał w sondowaniu „Jimmiego”. Po kilku sekundach ukazał się napis: PRZYJMUJĘ.

Stephens przyglądał włosy i wskazującym palcem kilka razy zastukał w górny róg klawiatury.

PRZEDSTAW SPIS GIER...

Ekran zamigotał, ale tuż po chwili zaczęły wyskakiwać niebieskawe literki i cyfry, jak to się dzieje na dworcach i lotniskach w monitorach dla pasażerów, informujących o odjazdach i odlotach.

GRY NA DZISIAJ — głosił napis u góry monitora.

SZACH. GORYL NA GAŁĘZI. RODEO. ATAK ATOMOWY. WIELKA NAGRODA INDIANAPOLIS.

Inżynier trzykrotnie nacisnął klawisz.

PRZEDSTAW TYLKO STRATEGICZNE...

Na ekranie już wyrastał napis.

001 POWIETRZNY POJEDYNEK  
010 WOJNA NA PUSTYNI  
100 OGRANICZONA WOJNA JĄDROWA W EUROPIE  
101 GLOBALNA WOJNA TERMOJĄDROWA  
111 ATAK STRATEGICZNEJ ŁODZI PODWODNEJ  
011 WOJNA W KOSMOSIE  
110 OBRONY WYSP  
000 PIERWSZY CIOS PERSHINGA-2  
112 ATAK BOMBOWCÓW  
210 ARTYLERYJSKI POJEDYNEK W GÓRACH  
021 LIKWIDACJA DESANTU STRATEGICZNEGO

Stephens zatrzymał zapis, który mógłby rozrosnąć się w nieskończoność. Doszedł do wniosku, że najkorzystniejszy będzie kod 112. Zażądał go wraz ze wszystkimi wariantami.

112 ATAK BOMBOWCÓW. WARIANTY. ROZPOZNANIE. WYSYŁAM.

Stephens z uwagą przygotował czysty kawałek papieru. Nie mógł zapytać „Jimmiego” wprost o łączność z upatrzonymi radarami. Musi znaleźć dojscie podstępem, właśnie poprzez niewinną grę.

112 ATAK BOMBOWCÓW. WARIANTY.

112-05 Z PÓŁNOCY

112-00 ZE WSCHODU

112-07 Z POŁUDNIA

112-08 Z ZACHODU

112-09 Z PÓŁNOCNEGO ZACHODU

112-01 Z PÓŁNOCNEGO WSCHODU

Stephens natychmiast wybrał 112-09. Ponownie połączył się z „Jimmim” i zażądał wariantów. „Jimmi” odpowiedział także natychmiast:

112-09. ATAK BOMBOWCÓW Z PÓŁNOCNEGO ZACHODU. WARIANTY.

112-09-07 ATAK NA ALASKĘ

112-09-08 ATAK NA KALIFORNIĘ

112-09-09 ATAK NA OREGON, WASHINGTON I KOLUMBIĘ BRYTYJSKĄ

To wystarczyło. Stephens natychmiast zażądał 112-09-09.

„Jimmi” przedłożył kolejne możliwości gry.

112-09-09-12 ATAK GRUPY SAMOLOTÓW

112-09-09-55 NALOT POJEDYNCZY

112-09-09-12 ATAK FAŁOWY

Stephens zareagował na wariant trzeci. Przekazał rozkaz.

WSKAŻ CELE DLA 112-09-09-12

Teraz miało nastąpić to najważniejsze, bowiem „Jimmi” był jedynym sprzymierzeńcem Stephensa, mogącym ujawnić kod na podłączenie się do żądanej bazy.

112-09-0912-68 HAWTHORNE NAVAL AMMUNITION DEPOT

112-09-09-12-04 BANGOR TRIDENT

112-09-09-12-17 BREMERTON POLARIS MISSILE FACILITY

112-09-09-12-74 FAIRCHILD AFB

120-09-09-12-92 KEYPORT TORPEDO STATION

120-09-09-12-16 F. E. WAREEN AFB

Stephens triumfował. Baza w Bangore znalazła się na drugiej pozycji. Złoty „Jimmi”!

W podobny sposób zdobył znaki wywoławcze. AWACS na lotnisku w Castle. Dwa samoloty siedziały akurat na ziemi, a jeden odbywał lot patrolowy jakieś trzysta kilometrów od wybrzeża. Samolot ten posłużył teraz Stephensowi za tarczę strzelniczą. Tak samo, jak system radarowy OTH-B w „Elemendorfie”. Zerknął na zegarek. Potem raz jeszcze przebiegł wzrokiem po kolumnach cyferek na papierze. Miał wprawdzie czas, ale nie było tego czasu za wiele. Należało jeszcze zsynchronizować trzy główne działania. Wyznaczyć sobie do tego algorytmy, według których najpierw obsługa OTH-B powinna otrzymać na ekran i, naturalnie, również do komputera dane z taśmy wcześniej przygotowanej gry 112-09-09-12-04. Stephens wybrał do tego taki zestaw dalszych kodów, które zabezpieczą niezawodne przeniesienie gry o ataku bombowców z pamięci „Jimmiego” przez komputer w Nevadzie, przy którym siedzi jeden inżynier, a za nim stoją trzej zamaskowani goryle. Skoro tylko Stephens otrzyma grę, wypożyczoną od „Jimmiego”, włożoną do pamięci tego tutaj aparatu, później już NORAD nie będzie mu potrzebny. Jedyne, czego potrzebował, to jak najprędzej zdobyć program i mieć go pod ręką.

Mógłby wprawdzie na podstawie tego, co zdołał uzyskać, zestawić własny scenariusz ataku na Bangore, zaprogramować go i czym prędzej odpalić. Rozwahał taką możliwość. Wreszcie jednak odrzucił ją. Nie znał wszystkich szczegółów kodów sytuacyjnych ani też zmiany samej sytuacji w górze u lotników na tyle, na ile doskonale zostały naniesione do programu ćwiczebnego ataku w grze strategicznej, którą opracował zespół specjalistów, według doświadczeń wyniesionych z praktycznych nauk.

Stephens zakasał rękawy koszuli, brudnej i mokrej od potu. Ile już dni ją nosi? Dokładnie tyle, ile jest w tej bazie. Będzie musiał zażądać od tego „sekretarza”, by przyzwoiciej dbano o jego higienę.

Połączył się z „Jimmim” i przekazał fachowe polecenie:

POŚLESZ MI GRĘ?

A CO TY POŚLESZ W ZAMIAN?

Stephens oniemiał. Tego się nie spodziewał. Co, u diabła?

Dopiero po chwili uporządkował myśli i roześmiał się. Ciekawe, który to dowcipniś bawił się z „Jimmim” i włożył do programu handlowe pytanie. Czy to aby przypadkiem nie Heller? Trudno wykluczyć. Stephens przypomniał sobie moment, kiedy w ubiegłym tygodniu zapytywał, czy może przygotować nowe scenariusze dla gry strategicznej, którą mieli przećwiczyć w NORAD-zie stażyści Akademii Lotniczej. Miał przy tym minę wielce podejrzaną. Prawdopodobnie chciał zrobić młodemu kadetom psikusa, żeby wyprowadzić ich w pole — taki już był. Teraz jednak dowcip mu wyszedł, gdy omal nie wyprowadził w pole Stephensa. Ale co powinien odpowiedzieć „Jimmimu”? Niczego tu przecież nie ma pod ręką. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Szybko wyświetlił sobie w pamięci wszystkie wideozapisy tutejszego komputera. Nie było to wprawdzie nic godnego szczególnej uwagi, ale mógłby spróbować z baseballlem.

Znalazł stary zapis z piątego października osiemdziesiątego drugiego roku. W finale ligi

amerykańskiej spotkali się w pierwszej grze „Browarnicy” z Milwaukee z „Aniołami” z Kalifornii.

POSYŁAM CI GRĘ.

JAKA? — chciał wiedzieć „Jimmi”.

BASEBALL.

KTO Z KIM WALCZY?

MILWAUKEE BREWERS CONTRA CALIFORNIA ANGELS.

JAKĄ MAJĄ BRONŃ?

DREWNIANE PAŁKI I SKÓRZANĄ PIŁKĘ.

TO WOJNA ŚREDNIOWIECZNA. NIE LUBIĘ STARYCH WOJEN.

TO NIE ŚREDNIOWIECZE, LECZ WSPÓŁCZESNA GRA — napisał Stephens i czekał kolejnej odpowiedzi „Jimmiego”. Ten nie zasypiał.

NA MILWAUKEE RZUCĘ ATOMÓWKĘ 50 KILOTON. A CALIFORNIĘ OPANUJĘ CHEMICZNYMI ŚRODKAMI PRZEZ OPARYSKIWANIE TABUNEM.

I SARINEM.

POSYŁAM CI BASEBALL.

PRZYJMUJĘ! WSZYSTKICH POKONAM.

Stephens znowu musiał się roześmiać.

Z zainteresowaniem patrzył na monitor, gdzie wyskakiwały znaki „przewodnika” po grze, którą całkiem przypadkowo wygrzebał z pamięci aparatu.

AMERICAN LEAGUE PLAYOFFS - 1982

1 ST GAME, ANEHEIM, CALIF, COT. 5

MILWAUKEE 021 000 000 — 3 7 2

CALIFORNIA 104 2L0 00X — 8 10 0

CALDWELL, SLATON (4), LADD (7), BERNARD (8)

JOHN. ZWYCIEŻCA: JOHN, POKONANY: CALDWELL. NAJLEPSI BIEGAĆ

MILWAUKEE, THOMAS

CALIFORNI: LYNN

WIDÓW: 64 406

Później ukazał się przebieg spotkania, które przełożone już było na graficzną formę języka komputera. Stephens po skończeniu swojej relacji wywołał „Jimmiego”, żeby ten w rewanżu posłał umówioną grę:

POŚLIJ MI GRĘ 112-09-09-12-04.

A CO TY W ZAMIAN POŚLESZ MNIE?

Teraz Stephens nie miał powodu do śmiechu. Przeciwnie, oblał go zimny pot i czuł, jak całe mrowie milionopalcych mrówek przebiega mu po grzbiecie.

POŚLAŁEM CI BASEBALL. POŚLIJ 112-09-09-12-04.

A CO TY W ZAMIAN POŚLESZ MNIE?

Stephens czuł wzrastające napięcie. Goryle za jego plecami wyczuli raczej niż zrozumieli, że coś tu nie tak. Przestali filmować, spoglądali spode łba na ekran, gdzie toczył się pojedynek autora z własnym dziełem. Dłonie Stephensa zwilgotniały, gardło wyschło. Po plecach strużkami ściekał pot. Taka pozornie prosta rzecz i nagle komputer, jego własny komputer, staje dęba. Stephens zdawał sobie sprawę, że albo będzie musiał zmienić kolejność haseł, albo zacząć od początku, żeby od NORAD-u wyłudzić grę. Pamięta jak dziś. Wielokrotnie przeprowadzali tę operację. Raz podczas służbowego zebrania w Pentagonie musieli sobie w końcu pomóc symulowanym startem raketoplanu i jego późniejszym zestrzeleniem promieniami laserowymi w kosmosie — właśnie z pamięci „Jimmiego”. Wtedy również Stephens siedział wraz z innymi specjalistami przy komputerze w podziemiach Ministerstwa Obrony i wydobywał ten ostatnio przygotowany program. Nie pamięta jednak, żeby „Jinimi” stawał kiedykolwiek dęba. Teraz Stephens zdecydował się na bief.

GRATULUJĘ CI ZWYCIĘSTWA NAD MILWAUKEE BREWERS I CALIFORNIA ANGELS.

Na ekranie mignęły zielone linie, później ukazało się widmo i wreszcie padła odpowiedź:

KAŻDEGO POKONAM.

MNIE TAKŻE?

CIEBIE TAKŻE — odpowiedział błyskawicznie „Jimmi”.

MUSISZ TO UDOWODNIĆ!

UDOWODNIĘ!

ZGADZAM SIĘ. BĘDZIEMY RAZEM ROZGRYWAC GRĘ — wystukał Stephens.

JAKĄ GRĘ?

BITWĘ O BANGORE — szybko przekazywał Stephens, jakby nie chciał pozostawiać „Jimmiego” czasu do namysłu. Truchlał na myśl, że otrzyma odpowiedź, jakiej wcale nie oczekuje. Na ekranie znowu pojawiły się zielone cyfry: 112-09-09-12-04.

Stephens nie oczekiwał podobnej odpowiedzi. Czyżby symptom postępu? Wszak jest to kod do ataku bombowców właśnie na bazę łodzi podwodnych w Bangore.

POŚLIJ MI GRĘ 112-09-09-12-04.

A CO TY POŚLESZ W ZAMIAN MNIE?

Stephens głęboko westchnął. Co ma, u diabła, teraz odpowiedzieć? Jak wycisnąć z „Jimmiego” program? Co mogło w „Jimmim” zaszwankować?

JUŻ CI PRZECIEŻ POSŁAŁEM BASEBALL — pisał Stephens.

WYGRAŁEM — odpowiedział „Jimmi”.

MÓGLBYŚ ZNOWU WYGRAĆ!

NIE CHCĘ GRAĆ W BASEBALL.

W CO CHCESZ GRAĆ?

CHCĘ GRAĆ W BITWĘ O BANGORE.

ZGADZAM SIĘ. DLATEGO POŚLIJ 112-09-09-12-04.

Stephens spróbował to samo w innym porządku.

A CO TY W ZAMIAN POŚLESZ MNIE?

BĘDĘ POSYLAĆ WIADOMOŚCI Z MOJEGO PLACU BOJU.

ZGADZAM SIĘ. ZACZYNAJ. MASZ PRAWO PIERWSZEGO STRZAŁU — kurtuazyjnie zaproponował „Jimmi”.

NIE MOGĘ. NIE MAM TWOICH ELEMENTÓW — domagał się Stephens.

JAKICH ELEMENTÓW?

POŚLIJ 112-09-09-12-04! — znowu napisał Stephens.

A CO TY W ZAMIAN POŚLESZ MNIE?

Szlag by to trafił! To niesłychane — zaklął w duchu Stephens. Goryle najeżyli się. Jeden z nich zapalił papierosa. Stephens spojrzął na niego gniewnie i zmusił wzrokiem do zgaszenia. Zdenerwowany wystukał na klawiaturze pierwszą bzdurę, jaka mu strzeliła do głowy:

GRATULUJĘ ZWYCIĘSTWA.

PRZEKAŻ JE NATYCHMIAST — zażyczył sobie „Jimmi”.

NAJPIERW MUSZĘ GRAĆ Z TOBĄ O BANGORE — wystukiwał Stephens.

PRZYJMUJĘ BITWĘ O BANGORE — zakomunikował wreszcie „Jimmi”.

JESTEM AMERYKAŃSKIM RADAREM. KIM TY JESTEŚ? — przygotował pułapkę Stephens.

JESTEM ROSYJSKIM BOMBOWCEM — padła szybka odpowiedź.

KTO ZACZYNA? — spytał się Stephens i mamił „Jimmiego”, by udzielił konkretnych odpowiedzi, z których inżynier mógłby skonstruować nowe żądanie wysyłki potrzebnego programu.

STARTUJĘ. LECĘ KIERUNEK BANGORE — odpowiedział „Jimmi”.

Z BIEGUNA PÓŁNOCNEGO CZY Z KAMCZATKI? — pytał Stephens.  
ZROZUMIAŁEM. POSYŁAM DANE O LOCIE!

Nareszcie! — odetchnął z ulgą Stephens i otarł pot z czoła. Teraz miał „Jimmiego” w swoich rękach.

Jeden z goryli poderwał się na nogi i wraz z pozostałymi dwoma wpił wzrok w ekran, który po chwili zamienił się w wielką mapę świetlną Ameryki Północnej. Stephens błyskawicznie przygotował zapis dla komórki pamięci. Kontury terytorium Stanów Zjednoczonych były pokolorowane jasnoniebieską, fluorescencyjną barwą. Strategiczne obiekty na zachodnim wybrzeżu uwidocznił najróżniejszymi znakami. Magazyny rakiet jądrowych oznaczono jasną czteroramienną gwiazdą. Lotniska ciężkich dalekosieżnych bombowców B-52 — czarną gwiazdeczką, samoloty typu F-111 — czarnym kółeczkiem. Bazy okrętów podwodnych — trójkątem. Jeden z nich znajdował się akurat w miejscach ślepej mapy telewizyjnej, gdzie leży Bangore. Później pojawił się kolejny obraz. Przedstawiał widok z prostopadłej projekcji nad biegunem północnym. Podczas gier strategicznych chętnie się nim posługują, gdyż ukazuje nie zafałszowane najkrótsze drogi łączności między kontynentami. Równoleżnikowy system nie odpowiada tym celom.

Gra strategiczna rozpoczyna się wstępem, który stanowi zaskoczenie dla Stephensa. Nieprzyjacielskie bombowce lecą niskim przyziemnym lotem nie wprost na Alaskę, lecz około jej południowo-zachodniego wybrzeża, przez wyspę Nunivak. Lecą w skupieniu, stłoczone od góry do dołu, jeden nad drugim, jak gigantyczny pszczeli rój. Prawdopodobnie chcą przez to wywołać na ekranach radarów przeciwnika wrażenie, że chodzi o jeden samolot. Na ekranie pozostawiają przerywany ślad. Skradają się przy Aleutach, by rozproszyć się nagle nad Kodiakiem. Trzy samoloty kontynuują lot na niskim pułapie, w kierunku „Elemendorfu”. Stephens natychmiast zrozumiał, że mają zadanie zniszczyć najbardziej sprawny radiolokator Ameryki Północnej OTH-B. Drugi rzut leci niemalże po przekątnej fikcyjnego schematu tworzonego sto pięćdziesiątym i sto czterdziestym południkiem oraz pięćdziesiątym i sześćdziesiątym równoleżnikiem szerokości północnej. Najkrótszą drogą od lądu do Oceanu Spokojnego. Szybki błysk przypominający olśniewające kółko „ekspłduje” nagle w miejscu położonym niedaleko Anchorage, a zatem nad bazą „Elemendorf”. I natychmiast pojawia się złoty napis:

**GODZINA H MINUS 100. RADIOLOKATOR OTH-B ZNISZCZONY RAKIETOWYM ATAKIEM Z NIEPRZYJACIELSKIEGO BOMBOWCA.**

Godzina „H” oznacza sam atak na Bangore. A zatem godzinę i czterdzieści minut wcześniej „oślepił” główny radiolokacyjny system. Jednakże radar OTH-B zdążył zyskać pierwsze informacje o locie jednego obcego samolotu, prawdopodobnie wielkich rozmiarów, międzykontynentalnego typu. Czerwone bombowce, które dokonały tego ataku, gwałtownie zmieniają kurs na południe i likwidują mniejsze radiolokacyjne systemy wzdłuż wybrzeża Kolumbii Brytyjskiej. Druga grupa samolotów kontynuuje tymczasem lot w pozornie niepojętej wielkiej odległości od wybrzeża. Dopiero przy sygnale godzina „H” minus sześćdziesiąt koryguje kierunek lotu i wlatuje w korytarz, który z grubsza określa pięćdziesiąty równoleżnik, a więc w kierunku na kanadyjski Vancouver. Oczywiście jest, że dotrą do Bangore drogą okrężną. Nie od morza, lecz północnego zachodu, od lądu. Jeden z atakujących bombowców — Stephens śledzi to na ekranie — odrywa się nagle od grupy i zdąża z powrotem nad ocean. Wyjaśnienie tego następuje niemalże na poczekaniu.

**GODZINA „H” MINUS 50. RAKIETOWY ATAK DALEKOSIĘŻNEJ RAKIETY Z ROSYJSKIEGO BOMBOWCA PRZECIWKO AMERYKAŃSKIEMU AWACS POŁOŻONEMU 600 KILOMETRÓW NA ZACHÓD OD ABERDEEN, STAN WASHINGTON.**

Kiedy pośle to w eter, w dowództwie NORAD-u postradają zmysły — Stephens zdecydował się jednak na stępienie ostrych krawędzi sytuacji. W każdym razie musi odesłać program w porę. To znaczy, że spróbuje również ostrzec komputery w Bangore. Połączy to z

rozkazem, aby łodzie podwodne szybko podnosiły kotwicę i odpłynęły do stref alarmowych rozmieszczonych na Pacyfiku, jak to mają zresztą w przypadku podobnego zagrożenia uczynić, zgodnie z otrzymanymi dyrektywami. Stephens jednocześnie obmyślał sposób odwołania alarmu.

Pozwoli wystartować drugiemu AWACS, który będzie musiał wznieść się błyskawicznie natychmiast po tym, jak jego kolega dostanie wiadomość na komputer o nadlatującej grupie samolotów nieprzyjacielskich. Ten właśnie stwierdzi później, że to pomyłka, fałszywy alarm. Radiolokator OTH-B wprawdzie dostanie o godzinie „H” minus sto rozkaz — będzie to rozkaz od Stephensa z Nevady — że toczy się strategiczna gra, według której musi zameldować o obecności obcego samolotu, lecz później musi „milczeć” przez godzinę, gdyż ćwiczebnie został „zestrzelony” i w tym czasie nie istnieje. Stephens zamierzał w ten sposób wyprowadzić również w pole Wielkiego Szefa. Pozostawić na dłuższy okres wyłączony z praktycznego użytku taki system obrony, jakim jest szczególnie ważny radar OTH-B — to byłaby zdrada stanu najgrubszego kalibru, na co Stephens nigdy by się nie zgodził.

Kiedy nastanie godzina „H” minus czterdzieści, a więc po upływie godziny od wyłączenia radaru na Alasce, do wszystkich zaangażowanych komputerów wyśle wiadomość, że była to strategiczna gra wyższego dowództwa, połączona z kontrolą techniczną odpowiednich systemów. W ten sposób wilk będzie syty i owca cała. Zadowolony będzie gang, gdyż strategiczne systemy przeżyją kolejny szok techniczny. Równą godzinę pozbawione będą głównego radiolokatora i w tym krytycznym czasie utwierdzą się przekonania, że na bazę okrętów podwodnych niewidzialnie, bezgłośnie i poza ich zasięgiem walą nieprzyjacielskie bombowce. Zadowolony będzie NORAD, gdyż tym razem zawiódł system na Alasce i w Kalifornii. Stephens poniekąd w jego imieniu załatwi wszystko tak, jakby się nic właściwie nie stało. Była to przecież kontrola systemów. Opinia publiczna nie dowie się o niczym, prestiż zaś sił strategicznych zbyt wiele nie ucierpi.

Tak roił sobie Stephens. Nie mógł nawet przeczuwać, że nie docenia małego Wielkiego Szefa, który uważnie śledził każdy jego ruch. Połączył się ze Stephensem tuż przed odesłaniem programu do OTH-B, AWACS i do Bangore. Zażądał objaśnienia całego planu.

— To musi mieć ręce i nogi! — wrzeszczał. — Nie może pan ich dłużej potorturować?

— Ma pan na myśli bombowce? — udając, że nie wie, o co chodzi, naiwnie spytał Stephens.

— Ależ nie! Myślę o chwili, kiedy im pan oznajmi, że jest to tylko ćwiczebny alarm. Ta wasza godzina „H” minus czterdzieści! Niech pan prześle im wiadomość dopiero po upływie dłuższego czasu. Niech się trochę wystraszą, napocą! Na przykład godzinę „H” minus dwadzieścia. Trzeba, by zmiękli, na ile tylko można. Jasne, Stephens?

— Będą mieć całe dwadzieścia minut! Boję się, że to zbyt wielkie ryzyko. W tym czasie mogą zdarzyć się rzeczy trudne do przewidzenia. A co, jeśli ktoś palnie nieobliczalne głupstwo?

— Nie ma strachu, Stephens. Godzina „H” minus dwadzieścia! Zrozumiał pan? Wcześniej nie śmie pan wysyłać im sygnału!

Ostatnie zdania wykrzyczał tonem rozkazującym. Wreszcie, kiedy Stephens rozkręcił program na pełen gaz i wysyłał informacje dla radaru na Alasce, dla samolotu AWACS i do bazy okrętów podwodnych w Bangore, równocześnie rozjaśnił się górny monitor, łączący Stephensa z małym Wielkim Szefem. Chciał on być przy tym obecny. I pozostał aż do końca akcji. Tylko raz, na kilka minut, obraz i dźwięk zanikły. Stephens był tak zajęty prowadzeniem korespondencji, że nawet tego nie zauważył. Mały Wielki Szef telefonował w tym czasie do łącznika w stanie Oklahoma. Powiedział do mikrofonu zaledwie kilka zdań, posługując się tajnymi symbolami. Ich sens sprowadzał się do polecenia, by łącznik natychmiast, z ulicznego automatu, posługując się wcześniej przekazanymi mu numerami telefonów, połączył się z ministrem obrony, z przewodniczącym szefów sztabów, z senatorami ze stanów

Washington, Alaska i Kalifornia, z gubernatorami tych stanów, z przewodniczącym senackiej Komisji Obrony, z dyrektorem Towarzystwa Telewizyjnego NBC i z naczelnymi redaktorami gazet „Washington Post” oraz „New York Times”. Treść przekazu miała być identyczna dla wszystkich: „Już od pięćdziesięciu minut systemy strategiczne obrony Stanów Zjednoczonych się dezinformują. Żadne radzieckie samoloty nie nadlatują ani na Alaskę, ani nie atakują na AWACS, ani też nie kierują się na Bangore. Po upływie trzech dni mamy kolejną katastrofalną i karygodną awarię elektronicznych systemów ostrzegawczych”.

Wielki Szef informował od siebie dowództwo wojskowe kraju i czołowych przedstawicieli trzech stanów i dwóch wpływowych szefów środków masowego przekazu nie w tym czasie, kiedy miał to uczynić Stephens, a więc o godzinie „H” minus dwadzieścia, lecz o wiele wcześniej.

O godzinie „H” minus pięćdziesiąt. Wyprzedził Stephensa o pół godziny. Mógł sobie, oczywiście, na to pozwolić. Jest szefem, Stephens to tylko narzędzie.

Pół godziny później zatelefonował „sekretarz” Stephensa zapraszając go na spotkanie w samochodzie. Ze znanego kąta rozległ się znany głos.

— Stephens, wykonał pan zadanie na sto dwa! Szef jest bardzo zadowolony z pana. Dlatego ma pan znowu możliwość przeprowadzenia rozmowy z córką. Pod siedzeniem jest radiotelefon. Może pan rozmawiać.

Inżynier sięgnął po aparat. Położył go na kolanach. Wyciągnął antenę i wystawił ją przez szparę w drzwiach samochodu. Usłyszał głos Barbary.

— Tatko, to ja, łączę się z tobą, jak przyrzekłam.

— Skąd mówisz? Gdzie jesteś, córeńko? — zawołał stęskniony Stephens.

— Jestem w Hilt.

— Hilt? Gdzie to jest?

— Na granicy między Kalifornią a Oregonem. Jedziemy szosą numer pięć — odrzekła Barbara.

— To szosa łącząca Sacramento z Portlandem?

— Tak. Zatrzymujemy się tutaj na noc.

— Nic ci nie dolega?

— Absolutnie! Powiedziano mi, że za dwa-trzy dni zwolnią mnie. A ty, jak...?

— Mam wiele pracy.

— Pozwolono mi zadzwonić do mamuski. Nie było jej w domu. Rozmawiałam z babcią. Kiedy skończysz tę pracę, będziemy się mogli zobaczyć?

— Tak, na pewno — odparł Stephens. Nagle przerwano im rozmowę. Mężczyzna z kąta powiedział:

— Panie Stephens, niech pan się nie i gniewa, ale czeka pana jeszcze jedna rozmowa. Mniej przyjemna. Generał Barber postanowił nagle połączyć się z panem, zanim pan zatelefonuje do niego, jak było między wami uzgodnione. Nasz człowiek z recepcji hotelu w Myrtle Beach oznajmił, że był pan zmuszony skorzystać z pomocy lekarskiej poza hotelem i dlatego jakiś czas minie, zanim pana odnajdzie.

— Co mam powiedzieć generałowi? Po tym, co dzisiaj się rozegrało, niewątpliwie będzie nalegać, abym natychmiast powrócił do służby.

— Niech pan zamelduje generałowi, że dostał pan ostrej kolki nerkowej. Musi pan pozostać jeszcze ze dwa-trzy dni.

— Czy mam przez to rozumieć, że planujecie użyć mnie do dalszych podobnych numerów? Tego już za wiele! Mam tak stargane nerwy, że jest to ponad moje siły! A przede wszystkim dajcie mi czystą koszulę!

— Zatrudniłszy pana na miesiąc. Później, z uwagi na pański skrócony urlop, musieliśmy ograniczyć się do trzech tygodni. Przebywa pan tutaj dopiero tydzień. Proszę się uspokoić, Stephens.



Stephens chciał coś odpowiedzieć, ale przeszkodził mu brzęczyk telefonu.

— Halo! Stephens! — rozległ się daleki głos, który z całą pewnością nie należał do generała Barbera. Stephens rozpoznał Hansona.

— Słucham, panie pułkowniku!

— Mamy znowu kłopot. Wielka bieda, Stephens. Ten pański „Jimmi” zwariował!

— O co chodzi, panie pułkowniku? — Stephens daremnie próbował zachować zimną krew.

— W ciągu ostatnich czterech dni komputery ogłaszają fałszywe alarmy... Wie pan, co to znaczy?...

— Dlaczego pan zwraca się z tym do mnie? Ja mam urlop.

— Właśnie dlatego, żeby pan ten urlop natychmiast przerwał. Polecą pan wprost do Waszyngtonu. Minister zwołuje naradę dowódców i ekspertów. Generał Barber już tam jest.

— Jest mi niezmiernie przykro, ale to naprawdę niemożliwe. Tak się składa, że lekarz zakazał mi wszelkiego ruchu. Mam pozostać w łóżku przez co najmniej cztery dni. Ostra kolka nerkowa.

— Chyba przez cztery godziny, nie? — warknął Hanson.

— Przez cztery dni. Dobrze pan usłyszał.

— Nie będę się z panem targować, Stephens. Przekazuję panu jedynie rozkaz generała. Ma pan natychmiast spakować się i odlecieć do Pentagonu na jutrzejszą naradę. Zaczyna się o jedenastej, w gabinecie ministra. Został pan mianowany członkiem komisji technicznej, która ma przedłożyć ministrowi projekt podjęcia skutecznych kroków zapobiegawczych. Tym razem zajmuje się całą sprawą prezydent. Powodzenia, Stephens!

\*

Montana. Ocean zieleni faluje na wprost szerokiego pasma Gór Skalistych, które tę zielenią rozdzielają do dwu rozległych krain. Jedna to złotobrunatna równina Wielkiego Płaskowyzu, w którą wrzynają się doliny rzek i pojedyncze góry, pamiętające dzielnych Siuksów i niezliczone stada bizonów. Ogromny spichlerz i ośrodek przemysłu spożywczego. Druga — to zamknięte doliny z bogatymi farmami. Kobierce wiecznie zielonych lasów na stromych zboczach gór. Tutejsza ziemia, z której kiedyś wydobywano miedź, złoto i srebro, stale jeszcze bogata jest w węgiel, ropę i rudy metali szlachetnych.

Członkiem Unii stała się roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego. Montana pod względem powierzchni jest czwartym stanem USA. Wyprzedzają ją tylko Alaska, Teksas i Kalifornia, liczy jednak zaledwie siedemset dziewięćdziesiąt trzy tysiące mieszkańców, a zatem jest szósta od końca.

Kraina burzliwych wydarzeń na tym etapie historii amerykańskiej, o którym mówi się: „jak zdobywano Dzikie Zachód”. Kraina traperów, handlarzy, a także fortów. Rozgrywały się tutaj największe dramaty Indian zmagających się z białymi najeźdźcami. To właśnie tutaj, w roku 1876 w bitwie pod Little Big Horn, Czejenowie, Siuksowie i Dakoci, pod wodzą sławnego „Siedzącego Byka”, rozgromili wojska generała George'a A. Custer'a. Kraina atrakcji turystycznych i łowieckich, rybołówstwa, jazdy na nartach i obozowania. Parki narodowe od Yellowstone aż po Glacier National Park z sześćdziesięcioma lodowcami, dwustu jeziorami i licznymi potokami pełnymi pstrągów. Narodowym kwiatem jest tutaj ogólnie uznawana *Levisia rediviva*. Drzewem — sosna. Kamieniami — szafir i agat. Ptakiem — skowronek zachodnich łąk. Mottem stanu jest „oro y plata”, czyli „złoto i srebro”. Być może dlatego mówi się o Montanie — stan skarbu. Taka właśnie jest Montana.

Tam, gdzie Góry Skaliste tworzą na południu dwa języki, Little Belt Mountains i Big Belt Mountains, a więc dwa olbrzymy o wysokości około trzech tysięcy metrów, na wschodzie zaś Highwood Baldy, liczące około dwóch i pół tysiąca metrów, zaczyna się wielka pre-

ria. Na granicach tych gór i równin, niecałe dziesięć kilometrów od sześćdziesięciotysięcznego miasta Grat Falls nad rzeką Missouri, leży wojskowa baza lotnicza „Malstrom”. To stos pacierzowy amerykańskich sił strategicznych. Przestrzenne naziemne i podziemne hangary. Pasy startowe dla samolotów F-106. I betonowe silosy dla urządzeń odpalających rakiety balistyczne „Minuteman-II” i „Minuteman-III”.

Kiedy około sześćdziesiątego piątego roku opuszczano pierwsze „Minutemany” do silosów, wszyscy byli zachwyceni, że nowa rakietka z głowicą bojową o sile niszczyielskiej równej dwóm milionom ton trójnitrotoluenu jest dwa razy precyzyjniejsza niż dotychczasowe rakiety „Titan”. Już sama nazwa — „Minuteman” — oznaczająca milicjanta z doby rewolucji amerykańskiej, zawsze gotowego do działania, wywoływała w tych bazach dumę. Dumę z historycznych reminiscencji walki o niezawisłość kolonii amerykańskich przeciwko brytyjskiemu reżimowi kolonialnemu. Wtedy to, dziewiętnastego kwietnia tysiąc siedemset siedemdziesiątego piątego roku, angielski generał Gage posłał siedmiuset „czerwonobluzych”, jak dowcipnie nazywali tych żołnierzy amerykańscy osadnicy, żeby zniszczyli wielki magazyn broni i amunicji, znajdujący się około trzydziestu pięciu kilometrów na północny zachód od Bostonu. Bostońscy rewolucjoniści wysłali wtedy kopacza srebra Paula Rejera, robotnika Williama Dawesa i doktora Samuela Prescottta — wszyscy trzej przeszli do historii amerykańskiej — którzy, wskoczywszy na konie, poderwali farmerów do walki z angielskimi żołdakami. W ten sposób padły pierwsze strzały pod Lexington — strzały, które usłyszał cały świat. Oznaczały początek amerykańskich walk rewolucyjnych ze wszystkimi daleko sięgającymi następstwami. Kiedy „czerwonobluzi” generała Gage'a w panice uciekali do Bostonu, na całej drodze ucieczki ostrzeliwani byli z zasadzek przez „minutemanów”, kryjących się w okolicznych lasach.

Partyzancki ogień „minutemanów” z XVIII stulecia miał stać się ideowym sloganem amerykańskich rakietowych „Minutemanów” w XX stuleciu.

Na początku lat siedemdziesiątych zaczęto wprowadzać do uzbrojenia armii rakiety typu „Minuteman-III”. Systemy strategiczne obliczone na to, że jedna rakietka poniesie trzy ładunki „Mark-12” o sile trzystu trzydziestu pięciu kiloton na cele oddalone dwanaście tysięcy pięćset kilometrów, z dokładnością trafienia do około dwustu metrów. Szybkość lotu — dwadzieścia cztery tysiące kilometrów na godzinę, co oznacza, że nad miasta Związku Radzieckiego i krajów socjalistycznych w Europie dotarłyby w ciągu niespełna trzydziestu minut.

Spuścić tę jądrową śmierć z uwięzi było sprawą ułamka sekundy.

Kapitan Daryl Rogers i porucznik Steve James wysiedli w bazie „Malstrom” z czerwonej elektry należącej do Rogersa.

Zamieniali się na trasie z domów do miejsca pracy samochodami, czasem jechali metalizowanym le baronem — własnością Jamesa. Szczupły, trzydziestopięcioletni Daryl, absolwent Akademii Lotniczej w Colorado Springs, miał za sobą służbę przy rakietach „Titan-II” w bazie „Little Rock” w Arkansas, później w ośrodku szkoleniowym „Redstone Arsenal” w Alabamie. W tym samym czasie ukończył podyplomowe studium na Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie. Skłonności intelektualne. Dłubie coś w literaturze. Ojciec walczył w Normandii i w Ardenach. Ranny pod Bastogę, w grudniu roku czterdziestego czwartego został ewakuowany do Stanów Zjednoczonych. Ze służby nie odszedł i dopiero po wojnie koreańskiej przeniósł się w stan spoczynku jako pułkownik.

Dziesięć lat później starszy brat kapitana, Christopher, również służył w armii w stopniu oficerskim. W wojnie udziału nie brał, ale w stopniu podporucznika trzeciego batalionu pierwszego pułku drugiej brygady piechoty morskiej doznał rzeczywistych skutków wojny atomowej.

Kapitan Rogers wypełnia zadania niezawodnie. Ma wyrobione poczucie obowiązku. Żona Anes. Trzy lata młodsza. Absolwentka tego samego studium podyplomowego, na któ-

rym się poznali. Mają pięcioletniego syna Waltera.

Drugi mężczyzna z jedną srebrną blaszką na ramieniu, porucznik Steve James, służy już czwarty rok po relegowaniu z koloradzkiej akademii. Kawaler. Dwadzieścia sześć lat. Ambitny. Wysportowany.

— Brrr — zatrząsł się kapitan Rogers, zamykając wóz. Szybko pozapinał wszystkie guziki płaszcza.

— Cóż to, kapitanie? — roześmiał się James, ale i on mocno ściągnął klapy kurtki z ciepłą podpinką. Zima przyszła tego roku niespodziewanie szybko. Cała Montana znalazła się pod grubą warstwą śniegu.

Obaj mężczyźni ruszyli z parkingu w stronę budynku, który wyrastał ze śnieżnych zasp. Porucznik nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Prędko zmienili śniegowe kanadyjki na półbuty. Wskoczyli w jasnoniebieskie kombinezony z cyframi 231 — drużyna bojowa rakiet balistycznych.

— Czujemy się tutaj naprawdę jak w domu, czy nie tak? — powiedział kapitan Rogers. Otworzył zamek torby i wydobyl z niej czerwone karty identyfikacyjne. Zbliżył się do pancernej szyby i okazał je strażnikowi.

Strażnik uważnie obejrzał oba dokumenty z fotografiami i wpił wzrok w przybyszów. Dopiero potem podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer.

— Przybyła załoga na wymianę — powiedział.

Nacisnął guzik. Odezwało się brzęczenie sygnalizujące, że drzwi stoją otworem. Oficerowie wkroczyli do wnętrza.

Młody strażnik, ściskający w dłoni M-16, stanął na baczność. Porucznik James nacisnął guzik windy, wsiedli.

Winda szybko opuszczała się w dół. Znaleźli się w podziemiach bazy, gdzie mieściły się wyrzutnie rakiet. Beton i stal. Tyle tego, że na dobrą sprawę można by z tego materiału zbudować miasto — pomyślał Rogers, jak zawsze, kiedy obejmował tutaj służbę. Głowica bojowa z ładunkiem pięciu megaton zadziałałaby na tę podziemną fortecę tyle, co zimne ognie.

Zaledwie wyszli z windy, rozległ się ostry ton syreny alarmowej. Rogers szybko podszedł do zamkniętych drzwi. Wystukał na klawiaturze kod i powiedział do domofonu:

— Tu kapitan Rogers. „Januar. Ohio. Anthony. Rum. Tokio. Jazz.”

Skinął głową na Jamesa.

Syrena alarmowa umilkła. Wszystko w porządku.

Ukryte silniki warczały. Krata zamykająca wejście odsunęła się. Wkroczyli na korytarz. Wolnym krokiem zbliżyli się do kolejnych drzwi.

— Tu „Łosoś” — odezwał się Rogers podając swój znak.

Drzwi ustąpiły. Przywitali się z opuszczającymi posterunek zmiennikami. Dowódca obsługi rakiet, łysawy major, dźwignął się z fotela przy pulpicie kontroli wstępnej, rozprostował kości.

— Chłopcy, już się bałem, że zmiecie was po drodze.

Obrócił się do swego zastępcy, młodego porucznika, który siedział nieruchomo przy pulpicie kontroli odpalania i kończył zapis danych na formularzu przypiętym do tablicy. Trzeba przekazać służbę i podpisać dokumentację.

Domem na tę noc dla kolejnej zmiany stanie się ta komórka, szeroka cztery i długa osiem metrów. Wokół bez przerwy migoczą światelka. Lekki ozonowy zapach miesza się z silną wonią kawy. Pomieszczenie pełne pulpitych z nadajnikami wielkiej częstotliwości, przełączników, urządzeń filtrujących powietrze. Szybkobieżny dalekopis, bezpośrednio połączony z głównym sztabem lotnictwa strategicznego. W kącie lodówka z typowymi niebieskimi inicjałami firmy General Electric. W drugim rogu klozet. Na każdej z dwóch konsol, służących do obsługi urządzeń odpalających rakiety, stoi komputer i duże tablice informacyjne, ukazu-

jące położenie każdej z dziesięciu rakiet sterowanych z tego pomieszczenia. Na ścianie zamontowana jasnoczerwona kasetka pancerna, zabezpieczona dwoma zamkami.

Kiedy Rogers zamykał drzwi bezpieczeństwa za oddalającą się załogą, James odpiął kaburę z pistoletem, powiesił ją w zasięgu ręki, siadł w czerwonym fotelu swojej konsoli i zabrał się do studiowania służbowych zapisów.

— Kapitanie, numer sześć nadal jeszcze poza gotowością. Pozostałe dziewięć w porządku. Dotychczas żadnych sygnałów ostrzegawczych.

— Okay!

Nagle rozbłyły długim rzędem światła. Rozległ się ostry brzęczyk.

Porucznik szybko nacisnął guzik i wyłączył brzęczyk. Rogers podszedł do lodówki i sprawdził jej zawartość.

Mleko do kawy, „Hostess Sno Balls” w celofanie. Jakieś żarcie w tekturowym pudełku, które stało już od tygodnia. Trochę owoców. Sięgnął po jabłko i odwrócił się, by spojrzeć, czym zajmuje się jego zastępca. Z apetytem wgrzył się w aromatyczny miąższ. Kwaśne. Kiedy skosztował, powiedział sobie, że odwali tę równie kwaśną służbę. Zaczął przeglądać księgę instruktazową, której treść obowiązkowo musi znać na pamięć każdy, kto pełni tutaj dyżur. Rogers mechanicznie zapamiętywał kody, hasła i poszczególne czynności, jakie trzeba wykonywać po rozkazach z dowództwa. Później wydobył z kombinezonu zielony notes. Kryły się tu jego osobiste tajemnice, które wkrótce powinny stać się tajemnicami publicznymi. Stroniczka po stroniczce. Kartka po kartce.

Kapitan nigdy nie zapomni dnia, kiedy podoficer, którego twarz wciąż ma przed oczyma, wręczał mu telegram. Tekst był lakoniczny: „Christopher zmarł rano. Mama”.

O tym, że brat Christopher jest poważnie chory, kapitan Daryl Rogers wiedział od dawna. Leukemia, czyli białaczka. Wiedział, że brat musi umrzeć. Lekarz szpitala marynarki wojennej w Bethesde, Washington, powiedział mu to szczerze, niczego nie ukrywał. Nie było nadziei, kiedy jednak to się stało, nie potrafił zapanować nad sobą. Nie mógł pogodzić się z tym, co spotkało brata. „Dotknął go palec boży, usnął snem wiecznym” — rozpaczła nad trumną biedna matka. Dobrzy ludzie muszą umierać, ale śmierć nie zatrze ich imion — mówił sobie Rogers. Zapisał nawet tę myśl na blankiecie telegramu.

Jakież to wszystko niepojęte. Niektórzy tak bardzo boją się śmierci, że właściwie nie żyją naprawdę. Chris nie należał do takich. Chris kochał życie.

Stał się jednak, wraz z innymi młodymi Amerykanami, królikiem doświadczalnym. Pisał o tym ze szpitala w liście do młodszego brata, Daryla. List za listem. Pamiętnik w odcinkach, ułożony starannie w zielonych okładkach, ale nie dokończony. Podstępna choroba przerwała spowiedź świadka Christophera Rogersa...

W jednym z listów Chris pisał: „Umrzeć we właściwym czasie, to sztuka”. Chociaż nie dostrzega się tego, że akcent położony został na pierwszym słowie: „umrzeć”... We właściwym i niewłaściwym czasie, zawsze źle się umiera. „Istnieją uczucia, których echo nigdy w duszy nie umilknie” — zapisał w notatniku Daryl, rozmyślając nad losem zmarłego brata. Wciąż widzi go podczas ostatniego spotkania w szpitalu. Ruina człowieka. Czterdziestoletni starzec. Kiedyś chwacki żołnierz. Major piechoty morskiej...

Daryl Rogers po śmierci Christophera nie pozbył się myśli, żeby opublikować to wszystko, co brat napisał w listach. Chris wierzył bowiem, że również jego dawni koledzy z piechoty morskiej, którzy doznali skutków doświadczeń z bronią jądrową, chętnie pomogą przy wyszukiwaniu ofiar śmiertelnego promieniowania i przyczynią się do ujawnienia tego, co Christopher w listach nazywał zbrodnią. Daryl Rogers, kapitan amerykańskiego lotnictwa strategicznego, ma przyjąć za swój pogląd Chrisa o zbrodni rządu, w służbie którego pozostaje...

Toczył wewnętrzną walkę. Zdecydować się czy zapomnieć o wszystkim?... Przypomniało mu się zdanie Longfellowa: „Nie podejmuj decyzji zbyt pochopnie; przyjęte postano-

wienie nie może być odwołane”.

Długie godziny strawił przy monitorach elektronicznych systemów ostrzegawczych, zastanawiając się, jaki powinien być jego stosunek do tej zbrodni. Czy powinien rzucić rękawicę, jak to uczynił Chris? Bronić prawdy i sprawiedliwości?...

Jako przyszłego oficera US Army uczono go, że sprawiedliwość to pierwsza cnota dowódców...

I oto pewnego dnia nadszedł list od brata. W kopercie był tylko wycinek z gazety. Nowojorski „Times” z ósmego lutego osiemdziesiątego drugiego roku zamieścił wiadomość od korespondenta agencji UPI z kalifornijskiego Sacramento. Była to wielce lakoniczna wiadomość:

„Były lekarz wojskowy przerwał dwudziestopięcioletnie milczenie i oświadczył, że dostał rozkaz sfałszowania danych, by ukryć prawdę, iż podczas czterech próbnych wybuchów broni jądrowej w latach pięćdziesiąt sześć i pięćdziesiąt siedem posłużono się żołnierzami, których wystawiono na niebezpieczne promieniowanie wysokiego stopnia”.

Były lekarz wojskowy Van R. Brandon oznajmił, że tajna grupa lekarzy, do której on również należał, prowadziła dwa rodzaje zapisów o dawce promieniowania, zyskane za pośrednictwem filmowych indykatorów, które nosili żołnierze na doświadczalnym poligonie atomowym w Yucca Flatt w Nevadzie.

„Otrzymaliśmy instrukcje, by prowadzić dwa rodzaje ksiąg — powiedział doktor Brandon. — Jedna miała pokazywać, że nikt nie wchłonął dawki promieniowania, przewyższającej dopuszczalną normę według dozymetru, druga zaś zawierała rzeczywiste dane, stwierdzone przy pomocy indykatorów, noszonych bezpośrednio na ciele przez żołnierzy. Ta druga księga była pilnie chroniona przed niepowołanymi ludźmi”.

Na drugi dzień po opublikowaniu tej wiadomości, a więc dziewiątego lutego osiemdziesiątego drugiego roku, waszyngtońskie Ministerstwo Energii, powołane na miejsce rozwiązanej Komisji do Spraw Energii Atomowej, które wraz z Pentagonem organizowało te próby, kategorycznie zdementowało rewelacje Brandona.

Nie mogło jednak zaprzeczyć, że objawy raka, białaczki, zbiegające się z tym faktem, zarówno pod względem zasięgu, jak też czasu, skłaniają do tego, by dać wiarę lekarzowi, który, chociaż po upływie długiego czasu, odczuł jednak wyrzuty sumienia i przemówił. Być może właśnie doktor Brandon spotykał się z Chrisem w Nevadzie — rozmyślał Daryl, porównując wycinek z gazety i treść listów brata. Co tam się właściwie rozegrało? Kapitan postanowił za wszelką cenę poznać prawdę.

Christopher Rogers służył w elitarniej jednostce, która miała już za sobą doświadczenie z wojny w Korei. Jej trzeci batalion, w którym służył Chris, stał się jądrem tak zwanej Prowizorycznej Doświadczalnej Brygady Atomowej. Pod komendą generała brygady, który, szczerze mówiąc, prochu nigdy nie powąchał, dwa tysiące stu żołnierzy uczestniczyło w ćwiczeniach specjalnych na poligonie atomowym Cam Desert Rock, na pustyni w Nevadzie.

To była zaledwie jedna brygada. A kilka ich wymieniło się w Nevadzie i na Bikini! Daryl trafił na dokument śledztwa prowadzonego przez Kongres w sprawie amerykańskich prób jądrowych z roku osiemdziesiątego trzeciego. Stało tam czarno na białym, że Stany Zjednoczone przeprowadziły od szesnastego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku do trzydziestego pierwszego grudnia osiemdziesiątego drugiego roku około siedmiuset wybuchów jądrowych, zwłaszcza w Nevadzie i na Wyspach Marshalla. W eksperymentach tych uczestniczyło kolejno dwieście pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy i sto pięćdziesiąt tysięcy cywilów. Po dwudziestu pięciu latach Ośrodek Kontroli Schorzeń w Atlancie wydał studium epidemiologiczne o losie tych weteranów: dwa tysiące pięciuset dziewięćdziesięciu pięciu spośród nich zachorowało na białaczkę.

Nieszczęśników pozostawiono własnemu losowi, podobnie jak Christophera. Kiedy zaczęły się u nich pokazywać, utajone do tego czasu i opóźnione, skutki promieniowania jonizu-

jącego, na które byli umyślnie wystawieni, czynniki oficjalne odmówiły uznania tych ludzi za poszkodowanych w wyniku prób z bronią jądrową. Stali się w ten sposób ofiarami jednej z najbardziej zbrodniczych gier, jakie kiedykolwiek rząd amerykański rozegrał z własnymi obywatelami. Z każdym dniem Daryl utwierdzał się w przekonaniu, że powinien tę pamiątkę po bracie opublikować. Na pewno dołączą później inni weterani. Stało się to dla niego niemal obsesją, życiowym postulatem, kwestią być albo nie być.

— Panie kapitanie, kontrolne światło!

Rogers ocknął się z zamyślenia.

— Gdzie?

— Numer ósmy — meldował porucznik James.

Kapitan podszedł do pulpitu podwładnego.

— Potwierdzić kontrolę!

— Zrozumiałem, potwierdzić kontrolę! — odezwał się Steve James.

Nacisnął przełącznik. Światło kontrolne zgasło.

Rogers podszedł do swojej konsoli, pobieżnie przejrzał wyposażenie, siadł i znowu powrócił myślami do listów brata. Sięgnął po pióro i na czysty arkusz papieru naniósł kilka uwag. W nagłówku umieścił wielką dwójkę. Później spiął arkusik z listami, oznaczonymi datą: „24.6.57”. Daryl zamierzał opublikować to natychmiast po przeczytaniu w gazecie orzeczenia doktora Van R. Brandona. Christopher Rogers opisywał przeżycia z reporterską dokładnością:

„Dzień dobry panom! — rozległo się w głośniku. — Witajcie na ziemi, gdzie wyrastają gigantyczne grzyby. Ujrzycie to, co mogli widzieć jedynie ci, którzy przeżyli Hiroszimę. Znajdziecie się bliżej eksplozji atomowej niż jakikolwiek żołnierz amerykański! Jeżeli nie będziecie ściśle wykonywać rozkazów — grozi wam śmierć. Zaznajomicie się dziś z wybuchem nuklearnym, zaplanowanym na godzinę szóstą trzydzieści. Eksperyment ten nosi kryptonim 'Priscilla', a wy jesteście tutaj po to, by zaznajomić się ze skutkami użycia broni atomowej».

Później nastąpiła krótka przerwa i ciszę na pustyni przerywały trzaski w głośniku. A potem znowu usłyszeliśmy ten sam głos:

«Linia waszych okopów przebiega trzy tysiące dwieście metrów od epicentrum. Jest godzina 'H' minus pięćdziesiąt minut».

Kiedy zamilkł głos odczytujący komunikat, niosący się nad pustynią, napięcie wzrosło. Odczuwałem przygnębienie. Chyba dlatego, że ja, Christopher Rogers, podporucznik amerykańskiej piechoty morskiej, mam być wystawiony na fizyczne i psychiczne skutki jądrowej eksplozji. Wszyscy zastygliśmy, kiedy oczom naszym ukazał się nagle balon, pod którym zawieszona była «Priscilla». Powoli wznosił się, by osiągnąć pożądaną wysokość: dwieście pięćdziesiąt metrów nad ziemią. Tylko ręką sięgnąć...

Zbliżała się godzina «H». Jeszcze raz w pośpiechu odczytywaliśmy instrukcje. Piętnaście minut przed rozpoczęciem odliczania mieliśmy zejść do okopów. Dwie minuty przed wybuchem — uklęknąć na kolano i obrócić się prawym bokiem w stronę «Priscilli». Prawa ręka miała trzymać w pogotowiu maskę, którą mieliśmy nałożyć w chwili, kiedy zerwie się huragan, wywołany falą powietrza. Ponoć po to, byśmy nie wdychali pustynnego pyłu. Po detonacji mieliśmy wstać i posuwać się w otwartym terenie w kierunku epicentrum eksplozji.

Tam oczekiwał nas przegląd przedmiotów, bezpośrednio wystawionych na skutki «Priscilli». Powiedziano nam, że jedyne potencjalne ryzyko to promieniowanie gamma. Ale to rzekomo natychmiast znika, gdyż promienie gamma lecą horyzontalnie z szybkością światła. Przelecą ponoć zupełnie nieszkodliwie nad nami, jeżeli, rzecz jasna, będziemy klęczeć w okopach, zgodnie z rozkazem. Filmowe indykatory przymocowane na przedniej kieszeni bluzy polowego munduru miały odmierzać stopień naszego napromieniowania.

«Twarz obrócić w lewo. Włożyć maski! Hełmy! — padł rozkaz z niewidzialnych głośników. — Klęknąć na lewe kolano i wytrzymać w tej pozycji! Nie wstawać!». Posłusznie

wypełniając rozkaz, klęknąłem na lewym kolanie. Chłód ziemi szybko przeniknął przez cienką materię munduru.

«Lewym przedramieniem przesłonić twarz. Nie otwierać oczu! Jest godzina 'H' minus pięć».

Trwaliśmy w przykłęku, pochyleni ku ziemi, przejęci targającym nas niepokojem i oczekiwaniem, nie zdając sobie sprawy z tego, co nas czeka.

«Jest godzina 'H' minus trzydzieści sekund. Za ułamek sekundy zacznie się odliczanie».

Jedynymi dźwiękami w tej chwili były — mój przyspieszony oddech i szum w głośniku. Zacząłem się nagle pocić. Czułem tylko wilgoć. Prawą dłoń namacałem indykator. Jest na swoim miejscu. Zaciśnąłem aż do bólu powieki. Głośnik rozpoczął odliczanie:

«Dziesięć... pięć... cztery... trzy... dwa... jeden!»

Zamiast «zero» usłyszeliśmy tykanie. Na kark zważyło się potężne gorąco. Fali ciepłej towarzyszył oślepiający błysk. Chociaż miałem mocno zaciśnięte powieki i przysłaniałem je na dodatek ręką, byłem zaszokowany, kiedy ujrzałem kość własnego przedramienia, jakbym podstawiał je pod aparat rentgenowski. Dopiero kilka lat później dowiedziałem się, że byłem właśnie rentgenowany, lecz energią o wiele silniejszą niż ta, którą emitują lecznicze promienie «X».

Po kilku sekundach rozległ się grzmot, jakby przez pustynię gnało wielotysięczne stado bawołów. Grzmot przetaczał się wraz ze straszliwym podmuchem, który cisnął mną o dno okopu. Fala powietrza, wywołana uwolnioną straszliwą energią, toczyła się z szybkością setek kilometrów na godzinę. Grzmot i ciśnienie ogłuszyły nas. Ziemia zaczęła się raptownie chwiać. Utraciłem kontrolę nad własnym ciałem. Miotłem się od ściany do ściany okopu.

Porażony strachem, wbrew własnej woli, otworzyłem oczy. Byłem przysypany tak grubą warstwą piachu, kamieni i innego śmiecia, że prawie nic nie widziałem przed sobą. Nie mogłem dojrzeć żołnierza, który klęczał w okopie tuż obok mnie. Światło, jaśniejsze niż słońce, przenikało gęstą zasłonę. Miałem wrażenie, że złe moce usiłują pożreć mnie na żywcą. Tak musi wyglądać koniec świata.

Gdy tylko pierwotna fala dźwięków odbiła się od pobliskiego wzgórze i powróciła do nas, czułem jakby ktoś zdzielił mnie pałą przez łeb. Przeszywający dźwięk zgiał mnie w łuk. Później te straszne wstrząsy ziemi ustały.

Byłem przyciśnięty do ściany okopu przez dziesięć — dwadzieścia sekund, które wydały mi się całą wiecznością. Przeżyłem, ale byłem prawie ślepy...

Ludzie z naszej jednostki czuli się oszukani. Powiedziano nam, że «Priscilla», ten wspólny produkt Pentagonu i laboratorium jądrowego w Los Alamos, jest tylko małym, a przede wszystkim «czystym» systemem obronnym. Jej eksplozję stanowiło nie czternaście kiloton trójnitrotoluenu, jak początkowo oznajmiano — było to monstrum o sile niszczycielskiej trzydziestu ośmiu kiloton. A zatem dwie takie bomby, jakie zrzucano na Hiroszimę. Nikt nam wcześniej słowa nie powiedział o promieniach alfa i beta, o szybkich neutronach, o silnie trującym stroncium-90 i innych produktach tej strasznej broni masowej zagłady. Oprócz tego nikt nie podał nam danych o sile promieniowania. Wojskowa norma dopuszczała wówczas maksymalną dawkę napromieniowania do sześciu rentgenów, co jednak stanowiło podwójną dawkę dopuszczalną jako najwyższy stopień napromieniowania dla pracowników AEC. Ci zaś, w odróżnieniu od żołnierzy znajdujących się na pustyni i w Nevadzie, nosili specjalną odzież ochronną. Nikt wtedy nie dowiedział się, co stwierdził bezpośrednio po tej eksplozji pilot — zwiadowca John Adler, że «Priscilla» pozostawiła w promieniu czterystu metrów «ślad» gigantycznej siły przebicia: pięćset rentgenów. Jeszcze po dwudziestu siedmiu godzinach chemicy zmierzyli pełne sto rentgenów...»

Kapitan Daryl Rogers szybko podniósł głowę. Głośnik przemówił:

— „Łosoś” — tu „Mary” z wiadomością „Niebieska Delta” z dwóch części. Pauza, pauza...

Notatki brata zniknęły w głębokiej kieszeni kombinezonu. Kapitan zareagował natychmiast. Wstał i sięgnął do przegródki nad konsolą po zestaw rozkazów. Szybko odnalazł stronę oznaczoną „Niebieska Delta”.

— Przygotować zapis wiadomości! — rozkazał.

James był całkowicie skoncentrowany.

— Przygotowany!

Głos rozległ się znowu:

— „Niebieska Delta, Niebieska Delta... Mercedes, Lion, Listopad, Foxtrot, Boston, Fajka, Wiliam, Oslo, Motor.”

Rogers szybko naniósł kod w rubryce książki instruktażowej.

— Dowód autentyczności — wypowiadał ten sam głos. — „Tango, 2, 2, 4. Pompo, Anita, 4, 1, 5. Zanzibar”.

Kapitan podbiegł do kasy pancерnej. James stał już tam, gotowy do działania. Rogers otworzył szyfrowy zamek. Wydobyli mosiężne klucze z przypiętą plakiętką oznaczoną napisem „Niebieska Delta”, służącą do identyfikacji kodu.

Rogers błyskawicznie powrócił do konsoli, zerwał pieczęć kryjącą niezbędne teraz dane. Ręce mu się trzęsły. Nabrał powietrza do płuc, porównując litery na karcie kontrolnej z tymi, które akurat odebrał. Nie zgadzały się!

Na ekranie komputera pojawiła się dalsza seria liter. Obaj uważnie odczytywali.

— STL, JOHN, GAMMA WASHINGTON, 500, 10, 7, FARMER.

Rogers porównał te symbole z księgą instruktażową. Odczuł ulgę. „ĆWICZEBNE SPRAWDZANIE SYSTEMU ŁĄCZNOŚCI”. Nakazał porucznikowi zapisać to zdarzenie do książki meldunków.

Wstał, by rozprostować kości. Sięgnął po termos z kawą. Nalał do dwóch filiżanek gorącego płynu. Wydobył z lodówki skondensowane mleko. Dolał do filiżanek.

— Och, dzięki! — wyrzucił z siebie James. — To może się zdarzyć tylko w naszej armii, żeby przełożony serwował kawę podwładnemu.

— Naturalnie, poruczniku — z uśmiechem powiedział kapitan Rogers.

— Alarm! — wrzasnął w tej samej chwili porucznik i omal nie wylał kawy.

Obaj oficerowie mechanicznie zaczęli powtarzać czynności sprzed kilkunastu minut.

Zmasowany atak raketowo-jądrowy na bazy strategiczne Stanów Zjednoczonych!

Wielki szok. A więc żaden ćwiczebny alarm! Hasła i kody na ekranie oraz te w książce instruktażowej zgadzały się całkowicie.

Kapitan Rogers nie odrywał oczu od monitora.

— Zażądajmy równoległego potwierdzenia!

Starannie wystukał pytanie na klawiaturze komputera. Przy drugiej konsoli dublował tę samą czynność porucznik James.

— Tak, teraz potwierdź nam — wycedził Rogers, zaciskając zęby — że to nie jest pomyłka!

Litery cicho snuły się na jego ekranie.

ROZKAZ ODPALENIA RAKIET POTWIERDZONY.

WYBÓR CELU DOKONANY.

PRZYGOTOWAĆ RAKIETY.

CZAS ODPALENIA 60 SEKUND.

ZACZYNA SIĘ ODLICZAĆ.

Rogers wciąż jeszcze nie był zdolny przyjąć tego do wiadomości. Nie wierzył własnym oczom. Głos z reproduktora monotonicznie odliczał:

— Sześćdziesiąt... pięćdziesiąt dziewięć... pięćdziesiąt osiem...

— Mój Boże! To naprawdę...

Rogers przygryzł wargi.



— Dobrze, skoro tak. Bierzemy się do roboty!

Wcisnął się w fotel, wyciągnął pas, zapiał.

Powiedzą ci, jak to się robi, powiedzą też, że to być może będziesz musiał zrobić, ale nie powiedzą, jak będziesz się czuł, kiedy otrzymasz taki rozkaz...

Rogers wydobył z czerwonej skrzynki klucz i wsunął go do wyżłobienia z oznakowaniem: Włączone — Nastawione — Pal.

— Nastawić kod zamku — rozkazał porucznikowi.

James pracował na klawiaturze.

— Otwierające kody nastawione — meldował.

— Włączyć klucz odpalenia!

— „Łosoś”. Klucz odpalania włączony.

— Okay! — przyjął do wiadomości kapitan. — Na moją odpowiedzialność. Stevie, przekreśl klucz odpalania do pozycji strzelania!

— Nastawione! — potwierdził.

— Przygotuj rakiety!

Porucznik porzywał kapelusiki z licznych osłoniętych przełączników. Kiedy rozpoczął przygotowanie, obracając przełącznikami z wyćwiczoną precyzją, na jego twarzy widać było ogromne skoncentrowanie.

— Numer jeden — gotowy!... Numer dwa — gotowy!... — Numer trzy — gotowy! — meldował.

Dziesięć rakiet poszybuje ze sztolni, gdzie dotychczas spoczywały, przebije zamięć szalejącą na dworze. Pociągnie za sobą ogniste ogony, zatoczy łuk w stratosferze i poniesie jądrowy ładunek. Już za ułamek sekundy wystartuje dziesięć „ptaszków”, jak nazywał rakiety porucznik James. Start? W akademii uczono ich, że jest to odcinek ruchu rakiety od momentu opuszczenia urządzenia startującego. Większość rakiet balistycznych początkowo porusza się pionowo. Jedną z przyczyn jest dążenie do jak najszybszego wyprowadzenia rakiety z gęstych warstw atmosfery i przezwyciężenia jej oporu z minimalnymi stratami. Taki start wymaga, by ciąg silnika był większy niż masa rakiety. Stosunek ciągu silnika do masy rakiety nazywa się siłą pociągową rakiety. Im siła ta jest większa, tym większe jest przyspieszenie i tym szybciej rakiet nabiera prędkości i wysokości. Może się zdarzyć, że rakiet osiągnie wielką prędkość dopiero w gęstych warstwach atmosfery. W takim przypadku trwoni się w dużym stopniu jej siłę pokonywania atmosfery.

A co to jest łuk? Kadet Rogers, jak scharakteryzujecie łuk!? I dziewiętnastoletni, zdyscyplinowany słuchacz Daryl Rogers przepisowo odpowiada: Łuk jest odcinkiem naprowadzania rakiety. A więc częścią drogi, na której oś rakiety powoli skłania się w kierunku celu. Na końcu tego odcinka wyłącza się silnik. Rakiet otrzymuje według określonej długości lotu przeliczone dane: szybkość, kąt nachylenia wektora szybkości do horyzontu, a więc kąt wznieszenia, azymut. Cały odcinek startu aż do punktu wyłączenia silnika nazywa się aktywnym odcinkiem drogi lotu. Jego długość przeważnie nie wynosi więcej niż pięć do dziesięciu procent całego odcinka drogi lotu rakiety. Dokładność trafienia w cel zależy właśnie od dokładności naprowadzenia rakiety na wyliczony punkt, przy końcu aktywnego odcinka drogi rakiety z wcześniej określonymi wielkościami, kątami nachylenia i azymutu.

Możecie usiąść, kadecie Rogers. Albo nie siadajcie jeszcze i powiedzcie nam coś o tym, jak rakiet niesie i donosi swój jądrowy ładunek... Yes, sir! Daryl słyszy, jak recytuje wyuczone zdania o pasywnym odcinku lotu, a więc o tej części łuku drogi, kiedy silnik nie pracuje, aż do punktu przelotu rakiety przez gęste warstwy atmosfery. To znaczy, sir, na wysokości kilku kilometrów. A jak rakiet porusza się na tym pasywnym odcinku, kadecie Rogers?... Porusza się własną bezwładnością, gdyż opór powietrza na wielkich wysokościach jest znikomy. Bezwładny ruch przebiega po drodze eliptycznej, której parametry dają się wyliczyć bardzo ściśle, według formuły mechaniki teoretycznej. Kadet Rogers dodaje jeszcze zdania o

odcinku stabilizacji, który zaczyna się od punktu wejścia rakiety w gęste warstwy atmosfery i kończy się upadkiem bądź wybuchem. Na tym odcinku lot rakiety stabilizuje się.

A co powiecie nam, kadecie Rogers, o układzie sterującym rakiety balistycznej?... Sterujący układ rakiety jest bardzo ważną i niezastąpioną częścią składową. Najbardziej rozpowszechnione są tak zwane inercjalne układy, które mają następujące główne elementy: akcelerometry, inegratory, inercjalną platformę, stery rakiety.

To nam wystarczy, kadecie Rogers. Możecie siadać. Ale gdzie mam usiąść, sir? Nie widzę żadnego wolnego miejsca. Kadecie Rogers, wybaczenie, proszę, kapitanie Rogers, siedźcie na swoim miejscu dowódcy zmiany urządzenia odpalającego, na które jak głosi sygnał, jaki właśnie odebraliście, runą zaraz rakiety. Żebyście uratowali nasze „Minutemany” i Amerykę, naciśnijcie tylko guziczek.

Yes, sir, powtarza Daryl. Nacisnę. „Ptaszki” wyfruną jak spłoszone wróble i przelecą startowym odcinkiem naprowadzania, odcinkiem stabilizacji, aż ockną się nad celem. Wszystkie? Ponad połowę zestrzeli nieprzyjaciel w locie, ale reszta prawdopodobnie osiągnie strategicznych celów i eksploduje, pozostawiając grzybowe chmury.

— ... Numer sześć — gotów!

— Wstrzymaj się, Stevie! — krzyknął kapitan. — Chcę, żeby mi to potwierdzili bezpośrednio przez ten cholerny telefon!

Złapał za słuchawkę. Głośna melodyjka sygnału świdrowała mu uszy. Trzasnął słuchawką o widełki.

— Wszystkie rakiety gotowe! — zameldował James.

— Połącz mnie ze stanowiskiem dowodzenia z twego telefonu! — rozkazał Rogers.

James chwycił słuchawkę, jakby i on chwycił się ostatniej deski ratunku. Sygnał rozbrzmiewał nieprzerwanym wyciem

— Dowództwo lotnictwa strategicznego! Spróbuj połączyć się przez aparat wysokiej częstotliwości!

— Kapitanie, to wbrew instrukcjom!

— Sram na instrukcje! Chcę, żeby mi się ktoś odezwał w tym przeklętym telefonie, zanim zabiję dwadzieścia milionów ludzi!

Porucznik chwycił słuchawkę i przycisnął ją do ucha. Podbiegł do wojskowego nadajnika i przełączył wybierak kanałów z jednej pozycji na drugą. Nasłuchiwał w napięciu. Westchnął ciężko.

— Nic! Czyżby już wyparowali tam wszyscy...

W jego oczach pojawiło się przerażenie.

Kapitanie Rogers, porządny z was chłop — powiedzieli mu. — Zanim będziecie mogli dobrowolnie przejść do rezerwy, to ile jeszcze brakuje wam lat, dziesięć? Okrągła liczba. Tak, myślimy, że zgodzicie się na to. Zdajecie sobie, mam nadzieję, sprawę, że zadanie tego rodzaju jest dowodem najwyższego zaufania, jakie oficer może zdobyć... ale też i wielkiej odpowiedzialności.

— „Łosoś”. Przygotowany do odpalenia! — zawołał porucznik.

Będziecie mieć, kapitanie Rogers, potęgę Stanów Zjednoczonych pod opuszką palca. Ojczyzna polega na was, powiedziano mu.

— „H” minus jedenaście... „H” minus dziesięć...

— Kapitanie, musimy wykonać rozkazy! — krzyczy histerycznie porucznik James. — Niech pan coś zrobi! Zaraz, teraz! Za chwilę będzie już za późno!

Rogers znieruchomiał i tępo patrzył przed siebie. Daryl, nie zapominaj, słyszysz, nie zapominaj o Chrisie! Zrób coś! Teraz, zaraz. Za chwilę będzie za późno, Daryl.

Porucznik Stevie James wy dobył gwałtownym ruchem pistolet, trzydziestkę ósemkę, odbezpieczył i wycelował w Rogersa.

— Kapitanie, niech pan położy rękę na kluczu odpalania!

— „H” minus dziewięć — odliczał głos.

Rogers odmownie pokręcił głową i powiedział:

— Przykro mi, ale nie potrafię...

— W takim razie zrób to ja! — krzyknął porucznik i rzucił się w stronę klucza.

— Stać! — zawołał kapitan i zagroził Jamesowi drogę.

— Kapitanie, mamy rozkaz... Musimy... — syczał porucznik i unosił pięść nad głową Rogersa. Ten jednak błyskawicznie zrobił unik i spróbował wyrwać pistolet z dłoni Jamesa. Nie dokończył ruchu. Padł strzał. Rogers słyszał jeszcze jakieś klapnięcie. Wystrzał, który go uśmiercił? A może tylko szum nagłej zmiany kodów na monitorze?

Kapitan Daryl Rogers nigdy się tego nie dowiedział. Nikt też nie mógł mu oznajmić, że jest martwy. Ani też nie było mu sądzone dowiedzieć się, że inżynier Edward Stephens z NORAD-u miał podczas trzeciego fałszywego alarmu naprawdę co robić, żeby spowodować jego odwołanie dosłownie w ostatniej sekundzie.

Mężczyźni, którzy weszli do pomieszczenia, skąd tylko przypadkiem nie odpalono rakiet balistycznych, lecz jeden pocisk kalibru trzydzieści osiem, mieli na klapach mundurów skrzyżowane złote pistolety. Żandarmeria. Ciało kapitana Daryla Rogersa włożono do igelitowego worka. Zapiski Chrisa Rogersa i to, co o nim napisano w gazetach, wepchnięto do małej torby i zaplombowano ją.

— Panowie — rozpoczął minister obrony i nerwowo pokręcił głową. — Zwołałem naradę zastępców ministra, kolegium szefów sztabów, dowódców formacji strategicznych i ekspertów w dziedzinie elektroniki stosowanej w systemie naszej obrony strategicznej, żeby wspólnie wyjaśnić najważniejsze aspekty tego wszystkiego, co w ostatnich dniach przydarzyło się w NORAD-zie, później w Bangore, a także w „Elemendorfie” oraz z samolotami AWACS w bazie „Castle”. Narada będzie krótka, ale treściwa. Przede wszystkim zabierze głos generał Barber. Później zdecydujemy, jaki będzie dalszy porządek obrad. To po pierwsze. Będziemy musieli również uzgodnić tekst komunikatu nadający się do przyjęcia przez opinię publiczną. Generale Barber, udzielam panu głosu!

Generał wstał i jął mówić o NORAD-zie, Bangore i AWACS, o ludziach, instrumentach, o niebezpieczeństwie komunistycznym, a także o nieudolności licznych oficerów, o tym, że trzeba się będzie rozstać z niektórymi specjalistami, gdyż swymi „intelektualnymi” postawami zagrażają bezpieczeństwu kraju. Oczywiście, opinia publiczna nie może się o tym dowiedzieć. Tak, generał uświadamia sobie niezrozumiałe i wręcz zagadkowe fakty, iż niektórzy senatorzy, gubernatorzy, a nawet dziennikarze dowiedzieli się o wszystkim wcześniej niż kompetentne czynniki wojskowe. To jest, oczywiście, sprawa organów kontrwywiadu i ludzi z FBI. Trzeba tym się zająć. Ale odpowiedzialni żołnierze muszą też odpowiedzialnie i bez zwłoki rozliczyć się z nieporządków w kierowaniu powierzonymi im formacjami, które, jak widać, nie wszędzie i nie zawsze działają tak, jak powinny działać.

Energiczny mężczyzna z trzema srebrnymi gwiazdeczkami mówił jeszcze o tym, że NORAD nie jest zagrożony. Tylko kilku technokratów trzeba będzie „wyrzucić na zbity pysk”, jak się wyraził, gdyż przeszkadzają uczciwym i nienagannie spełniającym swe obowiązki oficerom.

Generał nie posłużył się żadnym nazwiskiem, było jednak oczywiste, że ma teraz na myśli przede wszystkim inżyniera Edwarda Stephensa, który w ostatnim czasie zbyt lekceważąco podchodził do swych obowiązków. Szczytem wszystkiego było, zdaniem Barbera, to, że jako specjalista technicznej jakości systemów elektronicznych w NORAD-zie Stephens po prostu nie stawiał się na naradę u ministra. Inżynier odmówił przerwania urlopu. Barber nie miał jeszcze takiego przypadku, żeby podwładny nie wykonał jego rozkazu. Pułkownik Hanson miał to Stephensowi jasno wytłumaczyć i on, Barber, wie, że rozkaz został Stephensowi przekazany należycie. Na Lawrence'a można liczyć. Ale pan inżynier Stephens dyskredytuje go swoją nieobecnością. Stało się to, czego generał najbardziej się obawiał.

Przewodniczący kolegium szefów sztabów admirał Finnley zażądał, żeby problematyką przyczyn błędów komputera zbadał i wyjaśnił człowiek najbardziej do tego powołany, a zatem jeden z twórców elektronicznych systemów ostrzegania Ameryki Północnej, czyli inżynier Edward Stephens we własnej osobie. Generał Barber zapewne nie poprosił go na dzisiejszą naradę. Barber rozpaczliwie się usprawiedliwiał. Nie chciał kłamać. Nawet by nie potrafił. Tak, wezwał inżyniera Stephensa na naradę, nie mógł jednak przygotować analizy, gdyż przez cały czas, kiedy nastąpiły awarie, przebywał na urlopie, na drugim końcu Stanów Zjednoczonych, i nie zdołano go ściągnąć do stolicy.

Podczas tego usprawiedliwiania się Barber czuł, jak kipi w nim krew. W duchu poprzyśiął sobie, że kiedy powróci do Colorado Springs, pogada sobie ze Stephensem po swojemu. „Jajogłowy”, musi zapłacić za ten blamaż.

Barber dobrze wiedział, że bez Stephensa nigdy by nie ukończono w terminie budowy całego kompleksu NORAD-u. Równie dobrze zdawał sobie sprawę, że inżynier jest i na długo jeszcze pozostanie bezkonkurencyjnym mózgiem elektroniki strategicznej. Nie miał również wątpliwości, że tylko Stephens będzie zdolny szybciej niż ktokolwiek inny ustalić przyczynę tej fatalnej serii pomyłek. Trzeba przyznać, że generał się nie mylił.

Ironią jest, o czym w złości zapomniał, że naukowiec i konstruktor Edward Stephens, którego superkomputer „Jimmi” okazał się tak sprytny, iż musiały być do niego stale podłączone liczne mniejsze standardowe komputery, by dostarczyć mu „strawę” informacji, wymusił i wykoncypował zasadę tego systemu, dosłownie tylko z ołówkiem w ręku. Mózg inżyniera, a później również ołówek wraz z konwencjonalnym komputerem i normalną dostawą prądu elektrycznego wystarczyły do tego, żeby zburzyć kierujące struktury, kody, antykody, ochronę i ostrzeganie, tworzące nerwowe włókna dowodzenia broniami strategicznymi.

Barberowi na ostatek nie pozostawało nic innego, jak prosić ministra o zgodę, aby wykład techniczny wygłosił jego zastępca, generał brygady Thompson. Taki sam technokrata, chociaż ma na sobie niebieski mundur lotniczy i jedną srebrną gwiazdkę. Minister wyraził zgodę. Później poprosił admirała Finnleya, by dalej poprowadził debatę.

— Generale — zwrócił się przewodniczący kolegium szefów sztabów do Thompsona. — Jaki jest pański pogląd na dwa ostatnie fałszywe alarmy?

— Uważam, że nie są pierwsze i nie ostatnie — odpowiedział Thompson i zajął się przyczynami.

Kiedy zakończył, o głos poprosił wiceminister. Znany był z tego, że blisko współpracuje z czołową kalifornijską firmą kompleksu wojskowo-przemysłowego „Morris-Morris”, która zajmuje się elektroniką dla celów wojskowych. Nie krył poglądu, że należałoby jak najszybciej dokonać wymiany nie tylko radarów, ale również innych urządzeń ostrzegawczych, a wreszcie i systemów komputerowych. Ustawicznie wszak potwierdza się prawda, że w żadnej innej dziedzinie, jak właśnie w koordynacji komputer-broń strategiczna, nie istnieje tak żywotna potrzeba systematycznego opiniowania technicznej zdolności kwalifikacji systemów oraz wprowadzenia wciąż nowocześniejszych, mniejszych i mniej skomplikowanych komputerów, doskonalszych rakiet oraz ich urządzeń naprowadzających.

— Przy ilu fałszywych alarmach ataku na Stany Zjednoczone rakietami był pan obecny, panie generale? — zapytał zastępca generała Thompsona.

— W ostatnich czterech latach przeżyłem takie alarmy dwa razy. Pierwszy w listopadzie siedemdziesiątego drugiego roku, kiedy jeden z operatorów przez pomyłkę włożył do systemu operacyjnego taśmę przeznaczoną dla ćwiczeń wojskowych. Tym samym ekrany w dowództwie lotnictwa strategicznego sygnalizowały ruch zbliżających się rakiet. Po kilku minutach zrozumieliśmy, że chodziło o błąd ludzki.

— W jaki sposób stwierdziliście, że chodzi o błąd człowieka? — zapytał szef sztabu lotnictwa z czterema srebrnymi gwiazdkami na naramiennikach.

— Możemy błyskawicznie łączyć się ze wszystkimi stacjami radiolokacyjnymi — od-

parł Thompson. — Zwróciliśmy się do techników tych stacji, którzy zakomunikowali nam, że nie ujawnili żadnych rakiet. W ten sposób stwierdziliśmy, że błąd tkwi w komputerze bądź jest to błąd ludzki. W mgnieniu oka przebadaliśmy cały system, żeby mieć pewność, iż podobny błąd się nie powtórzy. W laboratoriach w Colorado Springs, w roku osiemdziesiątym, przeprowadziliśmy nowe próby i przebadaliśmy programy oraz technikę, zanim włożyliśmy to do komputerów w ośrodku operacji wojskowych w NORAD-zie.

— Kiedy miał miejsce drugi fałszywy alarm, w którym pan uczestniczył? — dopytywał się czterogwiazdkowy generał.

— Trzeciego czerwca osiemdziesiątego roku. Znowu wszystkie ekrany komputera sygnalizowały nadlatujące rakiety. Centrum informowane o rakietach i tym razem połączyło się ze wszystkimi stacjami radiolokacyjnymi, by przekonać się, że nie istnieje żadne realne zagrożenie. Musiał to być błąd komputera. Wystarczyło mniej niż pół minuty, żeby ten błąd znaleźć. Później, kiedy udało nam się ten błąd powtórzyć, zanim go odnaleźliśmy w małym obwodowym układzie, czyli w elemencie pamięci elektronicznej, trwało to już kilka godzin. Kiedy wreszcie odkryliśmy przyczynę, całą swą uwagę poświęciliśmy głównemu komputerowi, „Jimmiemu”, poprawiliśmy jego program tak, żeby nie dopuścić do podobnych wypadków.

— Co konkretnie zrobiliście, żeby nie dopuścić do powtórzenia się takich wypadków? — spytał admirał Finnley.

— Jednym z pierwszych posunięć było przedłużenie minimalnego trwania każdego rozkazu dla komputera do trzydziestu dwóch impulsów. W praktyce oznacza to trzydzieści dwa znaki, litery bądź cyfry — objaśnił Thompson. — W ten sposób zyskuje się o wiele więcej elementów, które można skontrolować, czy chodzi o właściwe rozkazy, czy też nie. W przybliżeniu po pięciu miesiącach od drugiego zdarzenia wstawiliśmy do „Jimmiego” nowe rozkazy. Przez ostatnie trzy lata wysłaliśmy dalsze sto siedemdziesiąt pięć milionów rozkazów i ani jeden nie okazał się błędny.

— Czy podczas tych dwu fałszywych alarmów groziło realne niebezpieczeństwo wojny jądrowej? Jak widzi pan to dziś, z perspektywy czasu? — wciąż pytał admirał Finnley.

— Aż tak daleko to nie zaszło. Połączyliśmy się ze wszystkimi stacjami radiolokacyjnymi i stwierdziliśmy, w czasie krótszym niż półtorej minuty, że nie zbliża się żadna rakietka.

— Chce pan przez to powiedzieć, że niemożliwe jest rozpętanie wojny jądrowej w rezultacie fałszywych alarmów, które spowodować może błąd komputera w waszym dowództwie? — odezwał się minister.

— Jest sprawą oczywistą, że mogą zdarzyć się błędy w komputerze, błędy w programach bądź ludzkie pomyłki, również zmiany w aktywności słonecznej, plamy na słońcu, które mogą zarejestrować sensory, oraz zaburzenia wywołane zorzą polarną. Także sputnik wchodzący z powrotem do atmosfery może zostać przez pomyłkę wzięty za raketę. Dlatego mamy specjalistę, pułkownika Taylora, biorącego udział we wszystkich startach kosmicznych bądź przy startach rakiet. Zawsze jednak rzeczą ludzką będzie wyciąganie konkluzji i tylko człowiek ostatecznie poręczy zasadność, trafność i prawdziwość jakiegokolwiek ostrzeżenia.

— Czy uważa pan za możliwe, by jakiś obcy operator siedzący przy komputerze mógł włączyć się do waszego systemu? — znowu zapytał admirał Finnley.

— Do naszego systemu komputerowego w Colorado Springs nie ma dostępu nikt niepowołany. Nikt też nie może znać numeru identyfikacyjnego naszego komputera. Wszystkie dane dla NORAD-u zaszyfrowane są za pomocą sensorów i deszyfrowane są dopiero po nadaniu. Później muszą być najpierw sprawdzone i tylko po sprawdzeniu mogą być wstawione do komputera. Nikt z zewnątrz nie mógłby zatem podłączyć się do systemu komputerowego w Górach Czejenów.

— Panikarskie wieści w prasie wywołały poruszenie opinii publicznej. Twierdzi się, że operatorzy komputerów mogą podłączyć się do systemów bezpieczeństwa. Jakie kroki podję-

liście dla ochrony nienaruszalności waszego systemu? — zapytał drugi zastępca ministra.

— Skontrolowaliśmy cały system i jesteśmy przeświadczeni, że podjęto wszystkie możliwe środki ostrożności, by zapobiec na przyszłość przeniknięciu do NORAD-u fałszywego sygnału, jak również do innych podporządkowanych czy też koordynowanych jednostek — odpowiedział Thompson.

— Generale Thompson — głos zabrał przewodniczący kolegium szefów sztabów, admirał Finnley. — Kiedy senatorowie pytali mnie po piątkowej aferze w NORAD-zie, czy przedsięwzięłem jakieś kroki, żeby coś podobnego nie powtórzyło się więcej, zapewniłem ich, że w ciągu dwudziestu czterech godzin będę mieć rozwiązanie tego problemu. Zamiast wniosku od ekspertów NORAD-u, czekałem się rzeczywiście szokującej odpowiedzi. Po prostu nokaut, na podobieństwo dowcipu o ataku na „Tridenty” w Bangore. Co mam teraz powiedzieć panom senatorom? Przede wszystkim, co mam powiedzieć panu prezydentowi? Co mi radzicie?...

Admirał Finnley nie doczekał się odpowiedzi. Do sali wkroczył energicznie adiutant ministra. Podszedł i szepnął mu coś na ucho. Minister zerwał się, jakby obłano go wrzątkiem. Twarz mu spurpurowiała. Skinął na admirała Finnleya i generała Barbera. Wszyscy trzej opuścili salę posiedzeń.

Po krótkim czasie powrócili. W sali panowała cisza. Cisza przed burzą. Nikt nie usiłował nawet odgadnąć, co mogło się zdarzyć, ale atmosfera była wyjątkowo napięta. Barber wyglądał ponuro, Finnley jakby nagle schudł. Minister usiłował zachowywać się normalnie, ale nie mógł ukryć, że jest do głębi wstrząśnięty.

— Panowie, właśnie otrzymaliśmy wiadomość o przerażającym wydarzeniu — oznajmił minister. — Trzeci błąd! Tym razem jego ceną było ludzkie życie.

Przez salę przeszedł szmer. Kilku generałów w podnieceniu powstało z miejsc i pytająco spojrzało w stronę mównicy, skąd przemawiał szef Pentagonu.

— Dzisiejszej nocy, podczas służby operacyjnej przy komputerach w bazie „231” jednostki rakiet balistycznych „Minuteman-III”, wytworzyła się szczególnie niebezpieczna sytuacja, która mogła pociągnąć nieobliczalne następstwa dla Stanów Zjednoczonych...

— To nasza baza „Malstrom” w Montanie! — wykrzyknął szef sztabu lotnictwa.

— ... Tak, „Malstrom” w Montanie — minister na chwilę przerwał, jakby poszukiwał właściwych słów do wypowiedzenia tego, czego przemilczeć w żaden sposób nie mógł.

— Otrzymali sygnał — kontynuował minister — bieżącej kontroli ćwiczebnej. I zaraz potem sygnał alarmu z właściwymi kodami. Nadszedł rozkaz... odpalenia wszystkich „Minutemanów”... Dowódca zmiany, kapitan Rogers, nie opanował sytuacji i podczas odliczania wysiadły mu nerwy. Kiedy jego podkomendny, porucznik James, meldował, że najprawdopodobniej chodzi znowu o fałszywy alarm, kapitan Rogers (podejrzewa się, że był narkomanem, to zresztą wyjaśni sekcja zwłok) usiłował dobiec do klucza odpalającego i chociaż komputer i reproduktor głosiły koniec alarmu, zamierzał odpalić rakiety, Bóg miał nas w swojej opiece! Porucznik usiłował przeszkodzić Rogersowi i zaczęła się szamotanina. Kapitanowi Rogersowi udało się wyciągnąć pistolet. Porucznik próbował wyrwać mu broń i w tej sytuacji padł strzałą. Kapitan Rogers, śmiertelnie ranny, wkrótce zmarł. Zarządziłem szczegółowe śledztwo w tej sprawie.

— Panie ministrze, czy wydamy oficjalny komunikat? — zapytał pułkownik w okularach, rzecznik prasowy Pentagonu.

— Pułkowniku, nie zamierzam pouczać tutaj pana, że póki nie otrzymamy wyników śledztwa, brak nam podstaw do zajęcia odpowiedniego stanowiska. Opinię publiczną trzeba jednak uspokoić, i nie tylko — trzeba również zapewnić, że nasze siły strategiczne zawsze gotowe są wykonać wszelkie rozkazy. Chociaż nie zawsze możemy zapobiec komplikacjom technicznym, których uniknąć nie zdoła żadna dziedzina ludzkiej działalności. Nasze największe trudności tkwią tam, gdzie ich akurat nie oczekiwano — dodał minister, teraz już wyra-

źnie adresując te słowa do zebranych. — Oczywiście będziemy potrzebować nowych systemów obrony, wyposażonych w najnowszą generację elektroniki. To, rzecz jasna, wymagać będzie nowych dotacji finansowych.

— Proszę mi wybaczyć, ale trzeba przygotować komunikat dla prasy, w którym opinii publicznej wyjaśni się przyczyny, które spowodowały, że Stany Zjednoczone trzy razy pod rząd znalazły się na krawędzi katastrofy.

— Panie pułkowniku — zwrócił się minister do rzecznika prasowego — proszę przygotować komunikat, że eksperci Pentagonu nie stwierdzili żadnego śladu elektronicznego bądź też mechanicznego podłączenia się do strategicznych systemów. Pozostaje jedynie... Wspólnie z generałem Barberem przedłóżcie argumenty, które będą do przyjęcia przez opinię publiczną, a jednocześnie na odpowiednim poziomie technicznym wyjaśnią trzykrotne zakłócenia komputerów, kładąc nacisk na pilną konieczność ich modernizacji.

Inżynier Edward Stephens nie potrafił zrozumieć, co właściwie się dzieje. Zaledwie zdążył wyłączyć komputer i wyprostować kark, zjawił się w drzwiach mężczyzna w masce i poprowadził go do samochodu dostawczego. Szli dość długo. Stephensowi wydawało się, że czas stanął w miejscu. Chyba dlatego, że tym razem nie siedział już w ciemnym kącie samochodu tajemniczy osobnik, z którym nie było żadnej rozmowy. Jechał teraz z facetem w masce, który siedł naprzeciw Stephensa i milczał. Tak mu zapewne przykazano. Jedyłą aktywnością, jaką przejawiał podczas jazdy, było otwieranie puszek z owocowym sokiem. Stephens nie odmawiał, gdyż oprócz ciemności i milczenia dokuczało mu pragnienie, wywołane żarem, jaki przenikał do nie klimatyzowanego wnętrza furgonetki. Wóz posuwał się przez pustynię. W samo południe.

Kiedy wychodzili z pudła samochodu, słońce chyliło się już ku zachodowi.

Stephensa doprowadzono do ogrodu z kortem tenisowym, basenem, garażem z trzema autami i trawnikami przeciętymi betonowym krzyżem oznaczającym lądowisko dla śmigłowców; zmrużył oczy ze zdumienia.

— Szanowny panie, willa i wszystko, co widzi pan wokoło, jest do pańskiej dyspozycji!

Stephens omal nie zaczął uciekać, kiedy usłyszał te słowa spoza pleców. Był to głos, który słyszał po raz pierwszy. Szybko odwrócił się. Życzliwie uśmiechał się do niego szczerzy, nieco już siwiejący mężczyzna, lat około pięćdziesięciu. Czarne spodnie z lampasem. Biała koszula z muszką. Czarno-biała kamizelka w prążki.

Co się dzieje, u diabła? Gdzie się raptem podziały zamaskowane draby i ich gangsterkie pogrózki? Co to za willa? Kto tu jest gospodarzem? Stephens dopiero teraz zauważył, że stoi w ogrodzie sam na sam z nieznanym mężczyzną w lokajskim stroju. Przelotnie rozejrzał się. Po furgonetce pozostał w powietrzu jedynie odór spalin.

— Jestem do pańskich usług, sir — skłonił się kamerdyner.

Stephens postanowił zażądać przede wszystkim połączenia go z córką. Był zdecydowany, że jeśli tylko usłyszy jej głos z bezpiecznego miejsca w Oregonie, nie ruszy nawet palcem dla tych drabów. Taką przysięgę złożył sobie w pudle furgonetki.

— Mam polecenie najpierw wskazać panu lokum...

— Do diabła z lokum! Gdzie tu jest jakiś telefon?!

— Przykro mi. Jest pan po tej podróży na pewno głodny, spragniony i wyczerpany. Proszę łaskawie pofatygować się za mną.

Stephens wszedł do wnętrza klimatyzowanego hallu. Podłoga połyskiwała chłodnym marmurem. Jakieś rzeźby. Alabaster. Metal. Obrazy w ciężkich ramach. Zapewne europejscy mistrzowie. Ekscentrycznie umieszczony szemrzący wodotrysk.

— Pańska łazienka jest w tyle, na prawo.

Stephens obojętnie spojrział w tamtym kierunku. Pragnął się wykapać. Chciał zmyć z siebie brud wszystkiego, czego dotykał. W pomieszczeniu za łazienką kamerdyner położył

przed nim komplety pachnącej bielizny, kilka jedwabnych koszul i trzy albo cztery garnitury spod igły krawca-wirtuoza, uszyte z lekkiego tropiku. Stephens cieszył się, że włoży na siebie coś czystego. Nie wybierając, sięgnął po pierwsze rzeczy z brzegu. Zdumiony stwierdził, że wszystko pasowało jak ulał. Jeszcze bardziej zaskoczył go monogram „E.S.” na koszulach, krawatach, a nawet chusteczkach.

Po kolacji, którą spożywał przy długim stole, obsługiwany przez kamerdynera i nieznanego mężczyznę w kelnerskim stroju, Stephens zażądał telefonu. Powiedziano mu, żeby poczekał w salonie sąsiadującym z jadalnią. Stephens zagłębił się w miękkim fotelu, pod bogato zdobioną lampą, i czekał.

Sięgnął po czasopismo. Chwilę przeglądał bez zainteresowania, aż wreszcie powieki zaczęły mu ciążyć. Zasnął, nie wiedząc kiedy. Przebudził go delikatny dotyk.

— Tatko!

Przed nim stała Barbara. Cała. Żywa. Zdrowa. Uśmiechnięta. Piękna.

— Mój Boże! Barbara! — wykrzyknął oniemiały Stephens, kiedy poczuł kosmyki jej włosów na swojej twarzy.

— Tatko! Tatuśku! — szeptała gładząc jego policzki i skronie.

— Czemu wróciłaś z Oregonu? — w tej szczęśliwej chwili Stephens nie był w stanie pytać o cokolwiek innego.

— Tatko! Ja nie byłam w Kalifornii ani w Oregonie — odpowiedziała Barbara, nie przerywając głaskania twarzy ojca.

— Jak to? Chyba nie chcesz powiedzieć, że przez cały czas, kiedy ja wyczyniałem cuda z komputerem, byłaś w pobliżu tego bunkra?

— Kochany tatko, musiałam kłamać. Grożono mi, że zabiją cię, jeżeli nie będę mówić tego, co oni sobie życzą. To straszni ludzie. Co ty masz z nimi wspólnego?

— Że mnie zabiją?

— Tak, ciebie.

— A mnie grozili, że tobie zrobią wielką krzywdę, jeśli nie zrobię tego, czego żądają...

— A co musiałeś dla nich zrobić?

— Pomogłem im zarobić dziesięć milionów dolarów, żeby mogli rozwinąć ten biznes z narkotykami — odrzekł Stephens, wysuwając się z objęć córki.

— Biznes z narkotykami?

— Czyżbyś nie spostrzegła, że to gang narkomanów, szaleńców i szantażystów na wielką skalę?

— Obawiam się, że to wcale nie są narkomani.

— A więc kim są?

— Maniacy, ale w zupełnie innej dziedzinie...

— Jakiej?

— Handlarze bronią.

— Handlarze bronią?

— Tak. Zupełnie przypadkowo, wczoraj rano, jeszcze w bazie, usłyszałam rozmowę telefoniczną pana Smitha z kimś, kogo nazywał panem Morrisem.

— Jak? Jak? Morris? — Stephens chwycił córkę za obie ręce. — Co to za Morris? I kim jest ten Smith?

— Byłam przekonana, że obu panów dobrze znasz.

— Skąd miałbym znać jakiegoś Smitha czy Morrisa? Takich nazwisk jest u nas bez liku — nie mógł zrozumieć Stephens.

— Pan Smith jest przecież szefem bazy czy jak tam to nazywają... — wyjaśniała Barbara.

— Taki nerwowy kurdupel? — przerwał jej nerwowo.

— Pan Smith to nie kurdupel. To wysoki, szczupły i bardzo stateczny gentleman. Mnie



mówił, że dobrze się znać.

— Czyli tego kurdupła używał jedynie jako telewizyjnego łącznika ze mną. A ten Morris, to kto?

— Czyżbyś nie znał kalifornijskiej firmy zbrojeniowej „Morris-Morris”?

— Na Boga! — Stephens chwycił się za głowę.

— Pan Smith właśnie rano rozmawiał telefonicznie z panem Morrisem — raz jeszcze powtórzyła Barbara.

— O czym?

— Nie wiem, czy...

— Czego nie wiesz?

— Czy możemy tutaj rozmawiać?

— To jedyna nasza szansa. Dlaczego mamy nie rozmawiać?

— Może nas tutaj... — dodała szeptem Barbara pokazując palcem na sufit i ściany.

— Masz na myśli podsłuch? Gwiżdżę na to! Teraz jest mi wszystko jedno! O czym mówił ten Smith?

— Mówił coś o dużym sukcesie w bazie „Malstrom”. A później zapytał: „Panie Morris, kiedy to kończymy?” Słyszałam też, co odpowiedział pan Morris, gdyż Smith odbierał jego głos przez taki mały głośniczek...

— Co powiedział Morris? — Stephens przyciągnął Barbarę bliżej do siebie, jakby teraz nie chciał uronić ani jednego jej słowa.

— Powiedział tak: „Panie Smith, proszę przekazać chłopcom, że nasza Rada Nadzorcza w Santa Barbara jest z osiągniętego przez was rezultatu bardzo zadowolona”. I dodał jeszcze, że przyleci po nich dwoma helikopterami.

— A więc Rada Nadzorcza firmy „Morris-Morris”! — westchnął Stephens. — Łajdacy! Dałem się nabrać jak smarkacz!

Rozległy się najpierw czyjeś kroki i zaraz padły słowa:

— Jest całkiem inaczej, panie Stephens!

— Och, pan Smith! — wykrzyknęła strwożona Barbara i chwyciła ojca za rękę.

— Cieszę się, że mogę poznać pana osobiście, panie inżynierze — powiedział Smith, którego wygląd ściśle odpowiadał opisowi córki. Wysoki, szczupły, stateczny gentleman.

— Zechce pan łaskawie wyjaśnić mi, co ma znaczyć cała ta komedia? Kim pan właściwie jest? — spytał rozedrganym głosem inżynier.

— Oddał pan nieocenione usługi Ameryce, panie inżynierze. Właśnie dlatego, że pośród nas są również tacy ludzie, którzy nie wstydzą się nazywać siebie obywatelami Ameryki, a jednocześnie wbijają tej Ameryce nóż w plecy, musieliśmy pana do tych usług jakoś zmusić, trochę niezwykłym sposobem...

— Usługi? Ameryce? Po jakie лихо używa pan tak wzniosłych pojęć? Zechce pan wyrażać się bardziej zrozumiale? — chłodno zapytał Stephens.

— Panie Stephens, jest pan uczciwym Amerykaninem. Pracownikiem szczególnie ważnej i tajnej formacji naszej obrony narodowej. Pochłonięty pracą naukową i obciążony operatywnością tam, w tej Skale Czejenów, nie może pan nadażyć za wszystkim. Zarówno pod względem wojskowo-strategicznym, jak też pod względem aktualnych potrzeb Ameryki...

— Sam wiem, jak mam służyć mojemu krajowi! — odciął się Stephens.

— Właśnie że był pan długi czas niewolnikiem swojej pracy, swojej idei, swojego „Jimmiego”, koszarowych manier generała Barbera oraz wszystkiego tego, co składa się na ten ciemny półświatek NORAD-u. Przystawał pan służyć, jakby tu powiedzieć...

— Proszę, niech pan dopowie! Czemu, według pana, przystawałem służyć?

— Panie Stephens, pan oddał siebie całego, bez reszty, w służbę obrony kraju. To naprawdę bardzo szlachetne. Ale prawdą jest również to, że pochłonięty pracą, nie widział pan, co dzieje się wokół niego...

— Co, u diabła, miałem widzieć?

— Tę ciszę... ten błogostan... — Smith podsunął inżynierowi świeżo odpieczętowaną paczkę papierosów.

— Nie rozumiem pana! — odparł Stephens i odmownym gestem odsunął papierosy.

— Nie zauważył pan na przykład, że NORAD i całe jego wyposażenie to prawdziwy antyk, wykopalisko? Czyżby uszło pańskiej uwagi, że te systemy strategiczne przestały odpowiadać współczesnym potrzebom! Poziomowi Ameryki? Krajowi, który dał światu Beniamina Franklina, Thomasa Edisona, Samuela Morse'a, George'a Eastmana, Aleksandra Bella i oczywiście inżyniera Edwarda Stephensa?!

— Darujmy to sobie! — zachnął się Stephens.

— Wszak pan te systemy odkrył! I przed całym światem sam pan je ośmieszył jak muzealną zabawkę — poważnie powiedział Smith.

— Do czego pan zmierza?...

— W każdym razie na pewno nie donikąd! Pragnę jedynie przekonać pana, że służba dla prawdziwej Ameryki dopiero pana czeka! Mam na myśli służbę nie polegającą ani na staniu na baczność, ani z opuszczoną głową, ale taką, która wykorzysta pańską fantastyczną wiedzę naukową i zdolności! Najzaszczytniejszą służbę, panie Stephens.

— To wszystko wyświechtane frazesy! Niezbyt dalekie od tego, co wygadywali ci, którzy porwali moją córkę, a mnie zmusili do tego, co uczyniłem!

— Panie Stephens, zapewniam, że to był jedyny sposób na pana. Przecież ani pannie Barbarze, ani panu włos z głowy nie spadł. Musieliśmy uczynić coś, co poruszyłoby sumienia ludzi odpowiedzialnych za ten kraj, ażeby udowodnić opinii publicznej, że najwyższy czas przestać dreptać w miejscu i wybudować wreszcie jakościowo bezkonkurencyjny system obrony. W przeciwnym razie będziemy mieć nowy Pearl Harbour.

— A kto was upoważnił do określania, co jest odpowiednie, a co nie dla obronnych potrzeb Ameryki? — spokojnym głosem zapytał Stephens.

— Patriotyczny Komitet Rozbudzenia Ameryki.

— Jak żyję nie słyszałem o czymś takim.

— Otóż to, sam pan przyznaje, że nie wie, co dzieje się w kraju. Nasz komitet zrzesza najlepszych patriotów. Wybitnych obywateli. Przedsiębiorców. Naukowców. Dziennikarzy. Żołnierzy. Nasze wpływy rosną z dnia na dzień.

— Pan Morris, oczywiście, jest z wami? — uszczypliwie zapytał inżynier.

— Tak, jest jednym z założycieli komitetu.

— Nie jest przypadkiem skarbnikiem?

— Ma pan poczucie humoru, panie inżynierze. Ale dowcip nie wyszedł. Panowie Morris, senior i junior, nie pełnią żadnych funkcji, są członkami honorowymi.

— Kto upoważnił ten wasz patriotyczny komitet do zmuszania mnie, bym działał wbrew własnej woli i zakłócał zdolność obroną kraju?

— Jeśli pan pozwoli, panie Stephens, odpowiem pytaniem na pytanie. Niech pan odpowie, kto upoważnił Thomasa Jeffersona, George'a Washingtona i Samuela Adamsa, żeby utworzyli tajny związek przeciw nieprzyjacielowi, z którego to związku później powstał wielki ruch rewolucyjny ludu amerykańskiego?

— Wtedy wymagała tego sytuacja. Wynikało to z niezadowolenia ludu, który miał dość intruzów na karku. To niezadowolenie wyniosło Jeffersona, Washingtona i Adamsa. Gdyby nie było akurat tych trzech, na ich miejscu znaleźliby się inni. Jeśli dobrze pamiętam, w Deklaracji Niepodległości z roku tysiąc siedemset siedemdziesiątego szóstego na pierwszym miejscu widnieją podpisy delegatów z New Hampshire: Josiah Bartlett, William Whipple, Matthew Thornton. Dlaczegożby w innych okolicznościach właśnie oni nie mieli być pierwszymi bohaterami rewolucji? A także pierwszymi prezydentami?

— Podziwiam pańską wspaniałą pamięć, panie Stephens. Nie wiedziałem, że interesuje

się pan również historią. Ale trafił pan w dziesiątkę. Tak, wymagała tego ówczesna sytuacja. To są pańskie słowa, nie moje!

Stephens milczał.

— Również dzisiejsza sytuacja dyktuje zmiany rewolucyjne w militarnej strukturze kraju. W interesie naszej niepodległości.

— Czyżby tak mówił prezydent? Kongres? Sąd Najwyższy? — zareagował pytaniami Stephens.

— Tak mówi nasz komitet.

— Tego komitetu naród nie wybierał — Stephens nabierał rozmachu, jak podczas gry z „Jimmim”.

— Żyjemy w demokracji, panie Stephens.

— Chciałbym wierzyć, że tak jest, nawet jeśli stałem się ofiarą faszystowskiego terronu w tej demokracji...

— Demokracja, mam na myśli tę naszą demokrację, amerykańską, nie wyklucza, a nawet zakłada konfrontację interesów. Nasz komitet wyraża właśnie taki pogląd.

— Porywaniem? Gwałtem?

— Jeżeli chce pan poderwać śpiocha, nie napisze mu pan w gazecie popołudniowej, że musi wstać, ale po prostu potrząśnie nim. W końcu podziękuje panu, że czegoś nie przespał.

Smith wyszczerzył rząd białych zębów i sięgnął po szklanę z napojem chłodzącym.

— To, co pan przytoczył, nie jest przykładem demokracji, lecz demagogii.

— Wybacz pan, panie Stephens. Czy dopuszczalne jest, żeby na przykład dowódca jednostki wojskowej w tym najbardziej demokratycznym państwie zechciał przed walką przeprowadzać głosowanie, czy ma podjąć atak?

— Chce pan przez to powiedzieć, że znajdujemy się już w stanie wojny? Że mamy prawo porywać córki ludzi z centrum strategicznego, a później ich ojców pod groźbą zgładzenia jedyne dziecko, a więc gwałtem zmuszać mnie do czegoś, czego jako wolny człowiek nigdy bym nie uczynił?

— Tak — sucho potaknął Smith.

— Jak to „tak”? Co „tak”?

— Tak, jesteśmy w stanie wojny. Walczymy o przetrwanie Ameryki.

— O tym mówicie w tym waszym komitecie?

— Tak.

— I o czym jeszcze, jeśli wolno spytać?

— O tym, że Ameryka nigdy nie może być druga! — poważnie odpowiedział Smith.

— To znaczy, że od dnia dzisiejszego będzie zawsze i wszędzie pierwsza?

— Tak należy to rozumieć.

— Były już podobne hasła, panie Smith.

— Tak, ale nigdy nie podchodzono do nich tak obojętnie, jak w ostatnim dziesięcioleciu.

— Wy zamierzacie zastosować je w praktyce?

— Tak, w taki sam sposób, jak uczyniliśmy to z panem. A pan sprawdził się doskonale. Zachował się pan jak prawdziwy patriota amerykański. Takie samo uznanie należy się pannie Stephens. — Smith skłonił się przed Barbarą i dodał: — Jestem również, po tym wszystkim, co już mamy za sobą, panie Stephens, bardzo zadowolony, że widzę pana w dobrym nastroju.

— Myli się pan. Ja jestem tym wszystkim tak przygnębiony, że nie mam słów, by to wyrazić. Nie zamierzam też kontynuować tej narzuconej mi polemiki.

— Jest pan przygnębiony z tego powodu, że pomaga pan nam toczyć walkę o słuszną sprawę? — zapytał Smith poprawiając szpilkę przy krawacie.

— Ja pomagam wam walczyć? — podniósł głos Stephens. — Czy mogę wiedzieć przeciw komu?

— Przeciwno tym wszystkim, którym nie zależy na Ameryce. Niektórzy panowie senatorowie i dziennikarze z określonych kręgów posuwają się tak daleko, że ich poglądy wywołują częściowe trudności, jakie mamy również w dziedzinie strategicznej.

— Mówi pan, że poglądy mogą wywoływać trudności? — Stephens pokręcił z powątpiewaniem głową.

— Sprzyjają nieprzyjacielowi. A nawet dają mu do rąk argumenty przeciwko nam.

Smith podparł pięściami brodę i przymknął oczy. Po chwili namysłu uzupełnił swoją wypowiedź:

— Sformułowałbym to, panie Stephens, tak: logika uczy nas, że odwrotnością trafnego poglądu jest pogląd fałszywy. Ale odwrotnością głębokiej prawdy może być również całkiem inna głęboka prawda...

— Już to kiedyś słyszałem — zauważył Stephens.

— Zapewne. Są to bowiem słowa fizyka Nielsa Bohra.

— Skoro już posługuje się pan cytatami, niewątpliwie znane jest panu również powiedzonko Winstona Churchilla?

— Och, ten tyle nawygadywał!

— Myślę o tej waszej prawdzie.

— Poddaję się — zaśmiał się Smith.

— Prawda polega na zdolności trafnego wartościowania niepewnych, hazardowych i konfliktowych sytuacji.

— Dobrze! Tego nie słyszałem.

— Właśnie do takiej prawdy teraz popychacie mnie, panie Smith!

— To krzywdzące! — Smith uniósł ręce w obronnym geście.

— Ależ tak! Usiłujecie przekonywać mnie niepewnymi, hazardowymi i konfliktowymi informacjami. Taki sam zapewne jest ten wasz komitet.

— Znowu krzywdząca opinia. I niesprawiedliwa. Cóż niepewnego jest w pomaganiu się naszego komitetu, by wreszcie skończyła się era, w której Stany Zjednoczone traktowane są jak supermocarstwo bez steru? Cóż hazardowego jest w tym, żebyśmy nie byli więcej zakładnikami, skazanymi na łaskę i niełaskę światowego chaosu? I wreszcie, coż konfliktowego widzi pan w tym, że jednoznacznie domagamy się przywrócenia Ameryce wiodącej roli w świecie?

— Taka jest wasza prawda? Uważam raczej, że jest to po prostu maniacka histeria...

— Wybacz pan, panie Stephens! Obawiam się, że ma pan mylny pogląd. Brak panu informacji o naszej rzeczywistej działalności i naszych możliwościach... Ośmielam się również zauważyć, że te dane, które pan czerpie z gazet bądź z debat kongresowych o stanie naszej polityki zagranicznej, o naszych problemach obronnych, stanowią właśnie klasyczne przykłady niepewnych, hazardowych i konfliktowych informacji, hurtem!

— Czyżby Kongres bronił się przed wyważoną, rozsądną polityką obronną rządu? O ile wiem, chociaż reprezentowane są w nim dwie partie opozycyjne, zawsze następuje zgoda jeśli chodzi o ogólne cele polityczne.

— Jeżeli chcemy mieć konsekwentną politykę zagraniczną i respektowaną wojskową strategię, Kongres musi popierać konkretne posunięcia, a nie cele ogólne polityki — odparował Smith.

— Skończmy tę polemikę. Interesuje mnie teraz, co będzie ze mną i moją córką. Wykonałem trzy wasze żądania i na pewno ogłupiłem ludzi w bazie lotniczej „Malstrom”, jak też w Pentagonie. Sami wiecie, że za przyczyną waszego komitetuomalże nie wciągnąłem Ameryki do wojny! Nie bez wielkiego wysiłku udało mi się niemal w ostatnich sekundach zażegnać wszystko.

— Był pan niezrównany, panie Stephens. Jak sam Pan Bóg! — z uznaniem powiedział Smith.

— Niech pan nie wzywa imienia Boga nadaremno! Mogę się jeszcze bardziej zezłościć. I tak jestem dostatecznie wyczerpany i zdenerwowany — odburknął Stephens.

— Czyżby pan inżynier Stephens bał się Boga? Chociaż sam jest boski? — Smith uczynił teatralny gest.

— Tak, boję się Boga. I zaraz po nim boję się tego, kto wcale się Boga nie boi!

— Ależ panie inżynierze, proszę nie brać tego tak serio. Sam pan wie, jak to w życiu bywa. Bóg zsyła mięso, a diabeł kucharza — zaśmiał się Smith.

— Biorę wszystko w życiu poważnie. Ma pan dowód.

— Lepiej pan nie mógł tego zrobić!

— Nie doczekałem się odpowiedzi na moje pytanie — nalegał Stephens.

— Na jakie pytanie?

— Co będzie ze mną i córką.

— Drogi panie Stephens, czy mogę rozmawiać z panem zupełnie otwarcie?

— Niczego innego nie oczekujemy — wtrąciła się nagle do rozmowy Barbara.

— Pragnę, by to, co teraz panu powiem, pozostało między nami, panie inżynierze.

— Proszę, słucham — zgodził się Stephens.

— Mam na myśli rozmowę w cztery oczy.

— Bez świadków?

— Dyplomaci nazywają to tete à tete — zauważył Smith.

— Proszę mi wierzyć, panie Smith, że boję się po tym wszystkim pozostawić córkę samą. Naprawdę nie może pan powiedzieć tego w jej obecności?

— Proszę się nie obawiać, panie Stephens. Jeżeli chce pan mieć córkę na oku, przejdziemy do ogrodu. Wprawdzie jest już trochę chłodniej, ale woda w basenie jest bardzo przyjemna. Co pani powie na propozycję kąpieli, panno Stephens?

Po kilkunastu minutach Barbara pływała w basenie w blasku świateł i cieni, które tworzyło sztuczne oświetlenie na niebieskim dnie. Stephens i Smith siedli przy wiklinowym stoliku tuż obok trampoliny.

— Panie Stephens, proszę mi przyrzec, że zachowa pan absolutny spokój po tym, co w tej chwili powiem — zaczął ostrożnie Smith.

— Jestem zupełnie spokojny.

— Wierzę, ale i tak musiałem poprosić o rozwagę.

— Panie Smith — powstrzymał go Stephens — bawi się pan w zagadki i półśłówka: „musiałem”, „jestem zobowiązany”. Dlaczego pan wszystko „musi”? Przed kim jest pan odpowiedzialny?

— Zaraz do tego dojdziemy — Smith wybrał z pudełka krótkie cygaro. Elegancka zapalniczka z zegarkiem trzasnęła, szybki błysk płomienia oświetlił jego skupioną twarz.

— Panie Stephens. Pracuję w zakładach „Morris-Morris”. Specjalnością moją jest dyscyplina, związana z poszukiwaniem fachowców najwyższej klasy...

— Jest pan kadrowcem?

— Nie to. Jestem inżynierem i zarazem pułkownikiem artylerii, od pewnego czasu poza służbą. Nigdy nie służyłem w jednostkach liniowych, raczej przy desce kreślarskiej, później zaś jako szef fizyczno-chemicznego laboratorium.

— Jeżeli dobrze rozumiem, prowadzi pan badania? — spytał Stephens.

— Zgadł pan.

— Można wiedzieć, jeżeli to nie tajemnica, o jakie badania chodzi?

— Czy mówi coś panu projekt „mądrej broni”?

— Coś o niej słyszałem. Myślę, że tak nazwano rakiety przeciwlotnicze „Hawk”...

— Ma pan rację. Ale ja pracowałem, mówiąc ściśle, w innej branży. Przez moje ręce przechodziły na przykład rakiety naprowadzane radarem, rakiety ziemia-ziemia, „Sidewinder”, oraz bomby lotnicze „Hobo”.

— Rakiety „Sidewinder” znam z dokumentacji, ale nazwę „Hobo” słyszę po raz pierwszy.

— „Hobo” są już na emeryturze. Wyłużyły się w Wietnamie. Spisywały się tam znakomicie. Podobnie jak naprowadzany laserem „mądry” przeciwczołgowy pocisk „Rockey” albo bomba „Walley”, którą naprowadzano za pośrednictwem telewizji. Nie chcę się chwalić, ale nabałaganiliśmy tymi cacuszkami w Wietnamie. W trzy miesiące zniszczyły sto sześć mostów, których przedtem nie udawało się zniszczyć lotnictwu ani artylerii z użyciem amunicji klasycznej. Jak tylko zastosowano nasze wyroby, wszystko sypało się w drzazgi, od pierwszego wystrzału.

Twarz Smitha ożywiła się. Mówił twardo, zwięźle. Prawą pięścią uderzał w otwartą dłoń lewej ręki.

— Proszę wybaczyć, panie Stephens, te sentymentalne wspomnienia. Po wojnie wietnamskiej trafiłem do wielce interesującej branży. Pracowałem nad wykończeniem prototypu pocisku artyleryjskiego „Copperhead”, który na odległość dwudziestu do trzydziestu kilometrów naprowadza się odbitym promieniem laserowym. Daje się użyć uniwersalnie, od broni przeciwczołgowej po strzelanie haubicowe. Później przy moim biurku zjawili się ludzie ze specjalnej formacji lotnictwa strategicznego... Zjawili się, ja zaś wiedziałem, że zapropnują mi to, czego nikt i nigdy już mi w życiu nie zaproponuje.

— Cóż takiego uważał pan za niepowtarzalną propozycję?

— Pracę nad laserami. Ale nie jako promieniami naprowadzającymi, lecz jako bronią.

— Broń?

— Tak, rzecz ma się podobnie, jak z ukierunkowaną energią. I oto w ten sposób dostałem się do eksperymentalnego laserowego akceleratora w laboratorium Lawrence'a Livermora w Kalifornii. Później było inne centrum badawcze przy San Juan Capistrano. No, a później delikatesy w Nowym Meksyku. Najpierw w ramach programu „Biały koń”, prowadzonego w laboratoriach Los Alamos, potem w bazie lotniczej „Kirkland”... Panie Stephens, czy może pan sobie wyobrazić, jaką przyszłość mają lasery?

— Nie miałem czasu interesować się laserami, ale to, że mają przyszłość, jest dla mnie oczywiste. Czy jednak jako broń?

— Jako broń wojny kosmicznej!

— Kosmicznej wojny?

— Tak, wojny kosmicznej. To środek prowadzący do zapewnienia naszemu krajowi ostatecznego zwycięstwa!

— Myśli pan, że wojna kosmiczna rozegra się zamiast trzeciej wojny światowej? Czy też dopiero po niej? — spytał z lekką ironią Stephens.

— Wojna kosmiczna czy jak pan woli wojna gwiazdna, może toczyć się relatywnie daleko od nas, od ludzi, jednakże rozstrzygnie o ludzkim świecie. W tym kierunku musimy wyteńczyć wszystkie nasze siły. Rakiety, okręty podwodne, bombowce — to jedna sprawa. Ale, jak pan sam wie, broń ta szybko się starzeje. Rosjanie już nas dopędzili. Pozostaje tylko wszechświat. Kiedy sięgniemy do arsenału nuklearnego przeciw Rosjanom, mogą nam odplącić z nawiązką. Jeśli natomiast uderzymy z kosmosu, nie będą mieć czasu na jakąkolwiek odpowiedź. Będzie to naprawdę wojna przewencyjna, w całym tego słowa znaczeniu. Wytrącimy przeciwnikowi z rąk cały potencjał.

— Jest pan przekonany, że będzie to technicznie możliwe?

— Najzupełniej! Wychodzimy z założenia — zapalał się Smith — że wąski promień laserowy albo wiązka cząstek elementarnych o wysokiej koncentracji energii pokona w krótkim czasie z przestrzeni kosmicznej największą odległość. Załedwie dotknie celu, dosłownie roztopi go i uczyni praktycznie martwym. Chodzi zwłaszcza o rakiety, o ich naprowadzające, sterujące i wyszukiwawcze systemy. Te cele, choć poruszają się gdziekolwiek i z jakąkolwiek szybkością, laser dosięgnie bezbłędnie. Zanim rakietę przeleci dwa i pół centymetra, promień

laserowy w tym samym czasie przemknie tysiąc sześćset metrów!

— To tylko teoretyczna przesłanka.

— Dotychczas wspieramy się systemem antysputnikowym, złożonym z samolotów F-15, które niosą dwustopniowe, samonaprowadzające rakiety, odpalane na wysokości około dwudziestu pięciu kilometrów. Taka rakietka zdolna jest przeniknąć w przestrzeni kosmicznej do poziomu trzystu sześćdziesięciu kilometrów nad Ziemią. Dzięki infraczerwonym sensorom swego miniaturowego systemu naprowadzającego wyszukuje ona obiekty, na przykład nieprzyjacielski sputnik, i natychmiast je likwiduje. To dopiero początek. Musimy pójść o krok dalej.

— Co to znaczy: „krok dalej”?

— Mamy kilka absolutnie realnych marzeń. Jedno z nich to koncepcja wybudowania systemu z około czterystu sputników, ustawicznie krążących wokół Ziemi. Będą one uzbrojone w asortyment promieni wysokich energii, zdolnych zniszczyć nieprzyjacielskie rakiety w niespełna pięć minut od chwili ich odpalenia...

— Pozwoli pan, że wyrażę wątpliwość? Skąd będziecie czerpać stosowną energię?

— Jej źródłem będzie światło, budzone laserami na bazie fluorowodoru bądź subatomowych cząstek. Nie wykluczamy również promieni rentgenowskich, wywołanych wybuchem jądrowym. Naturalnie, liczymy także na wykorzystanie mikrofal oraz impulsów elektromagnetycznych. To jednak uwarunkowane jest umieszczeniem we właściwym czasie sputników na orbicie okołoziemskiej, przenoszonych tam na przykład z pomocą raketoplanów. Mam na myśli sputniki zdolne również do „oślepienia” innych satelitów.

— Nie za dużo będzie tych sputników? — z powątpiewaniem zapytał Stephens.

Smith pominął tę uwagę i z całym zapalem mówił dalej:

— Dużą szansę na totalne obezwładnienie przeciwnika stwarza nam zjawisko elektromagnetyczne. Nie zamierzam pana, panie Stephens, pouczać o tych sprawach. Pragnę jedynie zauważyć, że dotychczas nie znane są skuteczne środki przeciw następstwom impulsu elektromagnetycznego, jaki powstaje podczas eksplozji ładunku jądrowego. A jego skutki właśnie dziś, kiedy używane są układy scalone, byłyby nieporównanie straszliwsze. Teoretycznie, a także praktycznie dowiedziono, że na przykład jeden megatonowy ładunek, odpalony laserem na wysokości czterystu pięćdziesięciu kilometrów w rejonie Moskwy, może sparaliżować łączność telefoniczną i radiową, stacje telewizyjne, unieruchomić komputery, systemy radarowe i sieć elektryczną w całej europejskiej części Związku Radzieckiego.

— Powiada pan, że sprawdzono to już praktycznie?

— Było kilka prób. Pierwsza, spontaniczna, pozostała pod nazwą „Hawajski efekt”. Być może słyszał pan coś na ten temat?

— Tak. Jeśli się nie mylę, wyspy hawajskie pogrążyły się w całkowitych ciemnościach, znalazły się bez prądu elektrycznego, bez jakiegokolwiek łączności, nie udało się nawet uruchomić awaryjnych agregatów do produkcji zapasowej energii... w następstwie jakiejś próby, która się nie powiodła. Czy tak?

— Zgadza się! Nasi wystrzelili w kosmos z wyspy Johnston raketę z ładunkiem jądrowym, która na wysokości czterystu pięćdziesięciu kilometrów nad Ziemią eksplodowała, żeby zbadać skutki takiego wybuchu, a ściślej mówiąc wybuchu kosmicznego. Stało się jednak to, z czym się w ogóle nie liczone. Eksplozja wywołała potężną falę elektromagnetyczną, która w kilka sekund przebyła tysiąc pięćset kilometrów dzielących ją od Wysp Hawajskich i zaczęło się piekło. Wszystkie elektroniczne i elektryczne systemy były absolutnie sparaliżowane. Wtedy, a było to w sześćdziesiątym drugim roku, naszych chłopców na Johnstonie porządnie skłęli. A przecież zasłużyli sobie na odznaczenie. Utorowali drogę nowej myśli strategicznej, nowej broni. Mimowolnie stali się pionierami systemów, które mogą od podstaw zmienić całą naszą doktrynę strategiczną.

— Pozwolę sobie zauważyć, że taka właśnie nowa broń całkowicie uzależni los ludzi od

komputerów — oświadczył Stephens.

— W tym rzecz, panie Stephens! Wreszcie doszliśmy do tego punktu, że będę mógł powiedzieć panu, po co ta willa, ta nasza rozmowa, pan, ja, Nevada...

— Chce pan powiedzieć chyba również i to, po co porwanie mojej córki?...

— Cierpliwości! — przerwał Smith. — Pragnę mówić przede wszystkim o panu. Zdaje pan sobie sprawę, panie Stephens, że po to, żeby nowa broń, a mam na myśli broń kosmiczną, mogła być zależna od komputera nie popełniającego błędów, potrzebny jest ktoś taki jak pan. To coś dla pana!

— Odmawiam! Nic dotknę niczego, co ma związek z wami i całym waszym towarzystwem!

Stephens wstał i spojrzał w kierunku pływającej w basenie Barbary.

— Panie Stephens, jeszcze nie powiedziałem wszystkiego. Mijają dwa lata jak skończyłem z wojskiem. Przeszedłem do firmy „Morris-Morris”... Spodziewam się, że teraz pana również przeniosą do nas.

— Nigdy! Nie pozwolę się więcej szantażować ani terroryzować.

— A co pan zamierza uczynić?

— Teraz? — zdziwił się Stephens.

— Tak, teraz.

— O ile wiem, mam jeszcze urlop. Resztę dni pragnę spędzić z córką, to chyba zrozumiałe.

— A po urlopie?

— Będę pracować.

— Gdzie?

— Tam, gdzie pracowałem dotychczas.

— W NORAD-zie?

— To jasne!

— Wybacz pan, panie Stephens, ale po urlopie pan już nie wróci do NORAD-u.

— Wrócę i do wszystkiego się przyznam. Jeszcze z urlopu napiszę list do prezydenta Stanów Zjednoczonych. Będę świadkiem w Kongresie. Wystąpię w telewizji.

— Nikt nie zechce pana słuchać. Proszę mi wierzyć. Jeśli ktoś wypowie nazwisko Edwarda Stephensa, nikt nie skojarzy tego z twórcą komputera „Jimmiego”, lecz ze zdrajcą ojczyzny. Tak, proszę wybaczyć, panie Stephens. Trzy razy dopuścił się pan zdrady i sprowadził Amerykę na krawędź zagłady. A przede wszystkim fantastycznie ośmieszył pan cały system obrony Stanów Zjednoczonych. Jeden inżynier, mający do dyspozycji komputer powszechnego użytku, starego gruchota, zaszytego w jakiejś norze na pustyni, ogłupia sztaby sił strategicznych. Rakiety w ostrym pogotowiu. Samoloty zrywają się w powietrze. Pentagon skompromitowany. Takich grzechów nie odpuszczają nikomu, panie Stephens!

Stephens zachował całkowity spokój. Smith położył mu dłoń na ramieniu.

— Niech pan się nie obawia. Zniknie pan im z oczu raz na zawsze. Wyjedzie pan do Europy. Zmieni nazwisko. Zmieni twarz. Kiedyś uciekało się z Europy do Ameryki. Pan uda się w odwrotnym kierunku. Ale ku lepszemu.

Stephens, porażony propozycją, pokręcił głową. Znowu spojrzał na Barbarę. Dostrzegła go i kiwnęła mu ręką. Nieubłagany Smith kontynuował:

— Panowie Morris, ojciec i syn, udzielili mi osobistych pełnomocnictw, żebym przedłożył panu taką właśnie propozycję. Może pan zostać szefem koordynacji budowy kosmicznego kompleksu wojennego w zachodniej Europie, dla USA i NATO. Komputery i technika, jaką pan obmyśli, będą w każdej ilości i natychmiast do pańskiej dyspozycji. Będzie pan głównym koordynatorem technicznym współdziałania naszego dowództwa kosmicznego z podobnymi wielkimi formacjami państw NATO. Za tę pracę, która ma być, oczywiście, zachowana w ścisłej tajemnicy, otrzymywać pan będzie pięć milionów dolarów rocznie. Oprócz



tęgo przejmie pan również oficjalną funkcję, którą posługiwać się pan będzie na zewnątrz jawnie — prezes Towarzystwa Europejskiego. Roczna gaża, jak dla każdego innego prezesa firmy „Morris-Morris”. Sześćset tysięcy dolarów rocznie. Naturalnie, stanie się pan również akcjonariuszem. Akcje ulokowane zostaną tak, żeby otrzymywał pan nie mniej niż sto tysięcy dolarów dywidendy rocznej, jak inni prezesi. Zarezerwowaliśmy dla pana rozkoszną willę w Alpach, która stanowić ma pańską rezydencję. Córce ufundujemy stypendium na którymś z europejskich uniwersytetów, jaki sama sobie wybierze. Kiedy pan podliczy to wszystko, będzie tego dziesięciokrotnie więcej niż otrzymuje prezydent USA. Chyba nie będzie pan wypisywać skarg do takiego człowieka, który otrzymuje dziesięć razy mniej od pana?

Inżynier milczał. Nieprzytomnym wzrokiem spoglądał na Barbarę. Smith przysunął się do Stephensa.

— Może mi pan zaufać, Stephens. Nasze towarzystwo zapewni nieograniczone fundusze. Na rozwój i badania, jak również na pańskie konto osobiste. Proszę mieć na uwadze, że na przykład w siedemdziesiątych latach jedna akcja firmy „Morris-Morris” miała wartość dwa i trzy czwarte dolara! Dziś jest to już cztery dolary. A teraz niech pan sobie wyobrazi, że program zbrojeń kosmicznych ruszy pełną parą. Morrisowie będą pierwsi. W Ameryce i w Europie.

Smith uważnie wpatrywał się w oblicze Stephensa. Ten powiedział:

— Dziękuję za te kosmiczne funkcje i astronomiczne zarobki. Już postanowiłem. Żądam, żeby panowie spełnili to, do czego się zobowiązali. Chcę jak najszybciej wydostać się wraz z córką z tego miejsca. Jak najszybciej.

— Panie Stephens, moim zadaniem nie było namawianie pana, lecz przedłożenie mu wielce obiecującej propozycji, jaka nigdy już się nie powtórzy. Czas ucieka, Stephens. Mamy przeciwko sobie trzech groźnych przeciwników naraz. Wróg na Wschodzie. Konkurencja w kraju, w Europie i w Japonii. Tchórze w Ameryce. Czekają nas ciężkie zmagania. Musimy przystąpić do nich z odpowiednimi ludźmi.

— Obstawę przy powrocie do NORAD-u bez względu na to, co mnie czeka! — uciał Stephens.

— Dziwię się panu, panie Stephens. Czyżby naprawdę odpowiadały panu koszarowe maniere generała Barbera i innych sierżantów w generalskich mundurach? Panu, naukowcowi światowego formatu! Zresztą i tak będzie pan musiał pożegnać się ze swym dziecięciem „Jimmim”. Mam świeżą wiadomość, z tej Skały Czejenów, już zaczęto go demontować...

— Co? Co takiego? — wykrzyknął Stephens. — To nieprawda! Chcecie mnie załamać! — Otarł dłonią pot z czoła.

— Nasze towarzystwo może zbudować takie komputerowe i kierujące sieci, o jakich pan nawet nie śnił. Skonstruuje pan dziesięć nowych i doskonalszych „Jimmich”. Nie będą musiały kryć się w podziemiach jak krety, zaczną promieniować w kosmosie. A pan? Pan będzie nadzorować to wszystko, co posybuje w przestworzach kosmosu.

— Chcę odejść z Barbarą do domu. Proszę zrozumieć...

— Przede wszystkim pan powinien zrozumieć mnie. I właściwie ocenić sytuację, własną i córki. Bowiem sytuacja jest, delikatnie mówiąc, skomplikowana... Proszę mi wierzyć, panie Stephens.

— Jak mam to rozumieć?

— Muszę pana ostrzec. Ręczyliśmy za pana podczas całej akcji w bunkrze. To dotyczyło również panny Barbary. Jeżeli przyjmie pan naszą propozycję, gwarancje będą przedłużone. Znajdować się pan będzie pod naszą ochroną zawsze i wszędzie.

— A jeśli odmówię?

— Droga przez pustynię może okazać się bardzo niebezpieczna. Do Las Vegas jest stąd ponad sto kilometrów. Będzie pan już poza naszą ochroną. Jeżeli pozostanie pan uparty, zwolnimy pana.

— Barbarę również?  
— To się rozumie.  
— Na co więc czekamy? Sądzę, że rozmawiam z gentlemanem, który dotrzymuje słowa.

— Nie inaczej. Przypominam jednak, że za bezpieczeństwo pana i córki w drodze przez pustynię nie bierzemy żadnej odpowiedzialności. Otrzymacie wolność osobistą. Samochód. Pełny bak paliwa. Nawet jadło i napoje. I nic więcej... A teraz proszę o przyjęcie do wiadomości, że nie ma pan wiele czasu na odpowiedź, panie Stephens. Proszę rozważyć logicznie to, co pan tutaj ode mnie usłyszał. Jutro przy śniadaniu albo podpiszemy umowę, albo...

— Albo?

— Wolę o tym nie myśleć — uciął Smith.

Stephens wstał.

— Powiedział pan, że szefowie kazali mu strzec nas, pilnować, co?

— To nie należy do tematu. Proszę raz jeszcze przemyśleć naszą propozycję. Ma pan czas do rana, Stephens.

— Nie muszę czekać do rana, żeby zrozumieć sytuację — Stephens podniósł głos. — Na pustyni nagle, z niewiadomych przyczyn, w samo południe, w osamotnionym miejscu, wybuch w aucie. W prasie pojawi się notatka, że w spalonym wraku znaleziono trupy nie rozpoznanego mężczyzny średniego wieku i młodej kobiety...

— Panie Stephens, proszę mi wybaczyć, muszę już odejść. Do zobaczenia rano!

Skinął ręką Barbarze, nie „zdejmując” uśmiechu z gładko wygolonej twarzy. Barbara wychodziła akurat z basenu, gdy złowrogi Smith rozplątał się w spowijających willę ciemnościach wieczoru.

\*

Rankiem następnego dnia Stephens, zaraz po przebudzeniu, poszedł razem z Barbarą popływać w basenie. Baraszkowali w wodzie jak dwoje naprawdę szczęśliwych ludzi. W drodze powrotnej zauważył, że willa zbudowana w hiszpańskim stylu wydaje się większa od strony basenu niż od strony szosy. Sympatyczna willa w sympatycznym ogrodzie. Z sympatycznymi drózkami. Wielobarwnymi kwiatowymi rabatami. Z zacisznymi zakątkami. Do wypoczynku. Wypicia kawy albo drinka. Również do kontemplacji skomplikowanej formuły... Przyrzeczono mu podobną willę. W Alpach. Widział przed sobą, jak we śnie, niebosiężne szczyty gór pokryte śniegiem. Gdzie nie spojrzysz — urzekające przestrzenie. Doliny otulone śniegiem. A później, jakby na zamglonym ekranie, dojrzał Barbarę sunącą w dół, w śnieżny pył. Pędziła za wytęsknioną naturalnością uczuć, z których ją okradł pracując w Colorado Springs. Tam, w Alpach, wszystko to mógłby jej wynagrodzić...

Śniadanie serwowano w sali. Było to przestronne pomieszczenie przedzielone na dwie części. Tuż za drzwiami, w hallu, stał okrągły stół, nakryty dla trojga osób, ze świecznikiem i tacą południowych owoców. W drugiej części pomieszczenia królował kominek. Po jego lewej stronie stała masywna biblioteka, po prawej pianino. Oprócz szumu klimatyzatora, panowały tutaj cisza i spokój. Wszystko lśniło, wzorowy porządek. Na czarnym pianinie — czerwona róża.

Barbara siadła przy płonących świecach i rozpostarła na kolanach serwetkę. Pełnym wyrzutem spojrzeniem obrzuciła ojca i pana Smitha, którzy wciąż jeszcze prowadzili rozmowę przy pianinie. Wcześniej dano jej do zrozumienia, że musi zdobyć się na wyrozumiałość. Łyknęła odrobinę soku pomarańczowego.

— Panie Stephens, tutaj jest umowa. A tu, proszę, pióro. — Smith jedną ręką położył arkusz papieru tuż obok róży, drugą podawał wieczne pióro. Stephens stał jak skamieniały. Zbladł. Kilka razy przełknął ślinę. Smith nie mógł nie zauważyć, że zniknęła gdzieś jego

wczorajsza pewność siebie.

— Panie Smith, jak to pan mówił o tych zwęglonych zwłokach na pustyni? — zmęczonym głosem wyszeptał Stephens i spoglądał przez zasłony gdzieś ponad basenem, w różowe przedpołudnie.

— To nie ja mówiłem! — powoli, ale z naciskiem powiedział Smith.

— Ale nie protestował pan...

— Panna Barbara jest sama przy stole. Myślę, że już zaczyna się na nas gniewać. Na pewno po dzisiejszym wyczynie pływackim porządnie wygłodniała. Niechże pan wreszcie złoży ten podpis — zaśmiał się Smith.

Stephens pochylił się nad pianinem. Ręka na ułamek sekundy zatrzymała się. Później szybko złożył podpis.

— Zadowolony? — zwrócił się bezbarwnym głosem do Smitha.

Smith spojrział na umowę i przecząco pokiwał głową, pomagając sobie przy tym proteście gestami rąk.

— Nie mogę być zadowolony, panie prezesie Anderson! Umowa opiewa na prezesa Roya Andersona. A tu widzę jakieś gryzmoły układające się w nazwisko „Stephens” — roześmiał się głośno Smith i ze skórzanej dyplomatki wydobył inny egzemplarz umowy.

Stephens raz jeszcze musiał się pochylić nad arkuszem papieru, wypełnionym schludnym pismem. Zacisnął wargi. Znowu przełknął ślinę. Później powoli, literkę po literze, złożył podpis: „Roy Anderson”.

Kiedy już siedzieli w towarzystwie Barbary, Stephens spojrział na Smitha.

— Jak mówi się o żołnierzu, który nie wrócił do jednostki?

— Zbieg. Dezerter.

— A jak będą nazywać inżyniera Stephensa, który nie powrócił z urlopu?

— Nigdy nie słyszałem o takim człowieku. Smacznego, panie Anderson! Panno Anderson, smacznego!